co widział prorok?

zielony weekend

skarb

centrum tajnego frontu

ODGŁOSY

ROK XIX NR 11 (953) 11 MARCA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

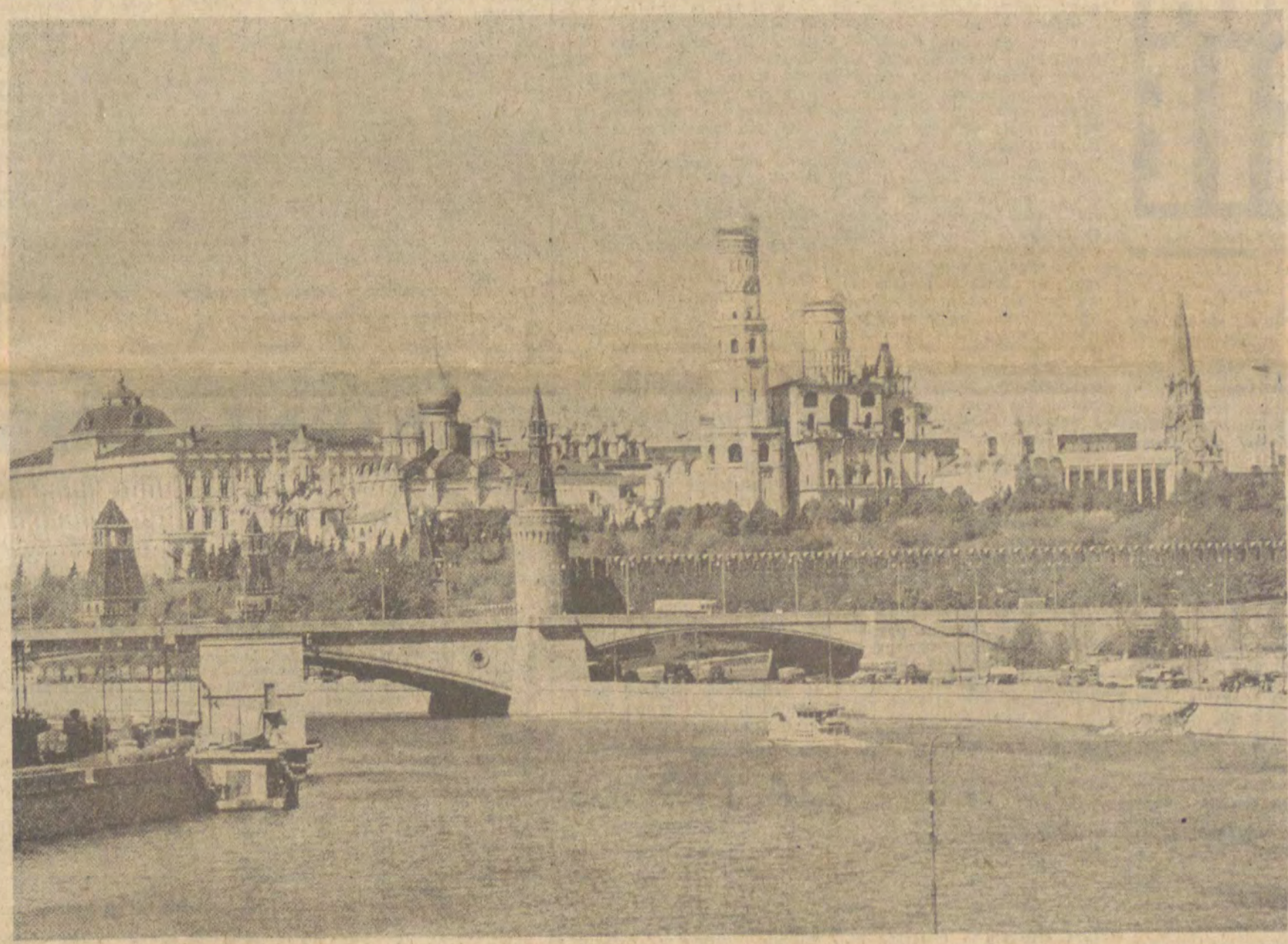

KRAJ RAD

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DZIESIĄTA: POKOJU I POSTĘPU

Obrady radzieckich komunistów zawsze budziły żywe zainteresowanie światowej opinii. Jedni z życzliwością słuchali oceny dokonań minionych pięciolatek. Inni — wrogowie Związku Radzieckiego — szukali potknięć i błędów. Tak było w przeszłości. Dziś, choć wrogów nie brakuje, a siły reakcji nie kapitulują, inne są echa XXV Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Słowa wypowiadane w Kremlowskim Pałacu Zjazdów uważnie są słuchane przez przyjaciół i wrogów, i uważnie analizowane. Dziś Związek Radziecki jest bowiem mocarstwem, z którego głosem, opinią i propozycjami nie można się nie liczyć. A słowa wypowiadane z trybuny zjazdowej będą określały i ważyły na polityce wewnętrznej i zagranicznej Kraju Rad.

XXIV Zjazd KPZR stworzył podstawy pod zwrot w stosunkach międzynarodowych. Zapoczątkował erę pokojowego odprężenia na naszym globie. **XXV Zjazd KPZR** odbywał się w okresie, który był rezultatem polityki zapoczątkowanej pięć lat temu. **„Trybuna Ludu"** określiła XXV Zjazd mianem **„Zjazdu ery odprężenia"**.

A inni?

„Washington Post": „Breżniew zapowiedział nowe inicjatywy odprężeniowe".

Londyński **„Times": „Moskwa oferuje redukcję sił zbrojnych dla wyjścia z impasu".**

„Le Monde": „ZSRR będzie kontynuował politykę pokoju ze zdwojoną energią".

Tylko w Chinach prasa nie poinformowała czytelników o obradach XXV Zjazdu KPZR, nasilając jednocześnie ataki na Związek Radziecki. Również w niektórych kołach politycznych RFN pokojowe inicjatywy KPZR przyjęto zdecydowanie niechętnie.

DLA UTRWALENIA POKOJU

Leonid Breżniew zaproponował skierowanie uwagi polityków na kilku węzłowych sprawach.

Na czoło wysunął — jako sprawę najistotniejszą — **umacnianie jedności bratnich państw socjalistycznych** i wzmacnianie ich wspólnego wpływu na utrwalanie pokoju.

Na drugim miejscu postawił sprawę dalszego rozbrojenia. A więc trzeba przede wszystkim zakończyć przygo-

Dalszy ciąg na str. 3

PORTRETY

RYSZARD BINKOWSKI

SKOK Z ANTRESOLI

Po szybach spływają krople deszczu. W holu cisza, trwają lekcje. Stoję na lśniącym parkiecie, pani w białym fartuchu nieufnie zerka na moje buty. Kiedy wyjawiam cel wizyty, jej twarz pogodnieje. Prowadzi do sekretariatu. Od okna, otoczona grupą robotników, odrywa się szczupła, jasnowłosa kobieta. Jest bezpretensjonalna, uśmiechnięta, ma lekko zadarty nos; brązowe oczy patrzą z kobiecym ciepłem, życzliwością. Wymiary talii bioder itp. bardzo proporcjonalne, wiek młody lecz nieokreślony.

— Muszę wskazać miejsce — mówi. **— Przyjechali cyklinować salę gimnastyczną. Zakupiliśmy materiał, PZPB wykona pracę w czynie. To nasz opiekun.**

Takie jest moje pierwsze zetknięcie z **MARIĄ KOTLICKĄ** — dyrektorem I Liceum Ogólnokształcącego w Pabianicach. W minionej kadencji Poseł na Sejm PRL, obecnie kandyduje ponownie z okręgu wyborczego numer czterdzieści jeden.

Siadam w fotelu pod fikusem, czekam. Poniedziałek jest dniem nagłych i niespodziewanych wizyt.

1.

W drzwiach staje siwowłosy mężczyzna w czarnej uszatce.

— Panie Śpionek, znalazł pan „siłę"?

— Wkręcę coś i może zabić. Ja się na tym nie znam.

— Elektryk też się nie zna?

— Ma swoją robotę. Tak mówi.

— Jak to, robótkę na drutach przyniósł? Pan przypilnuje, żeby można było włączyć tę maszynę do cyklinowania.

Spionek jest woźnym. Dojeżdżał kilkanaście kilometrów na rowerze i miał chorą żonę. Kotlicka załatwiła mu mieszkanie. Młody woźny poszedł do wojska i trzyma stare mieszkanie. Jak wróci, będą boje. Elektryka szkoła nie zatrudnia. Przed cyklinowaniem powinno się przerobić oświetlenie, jest za duże przeciążenie, ale wyrósł problem kabla: nie ma tego przekroju. Ramy okienne wylatują. Ale nie od decybeli wzniecanych na przerwach. Młodzież licealna nie wyje. Materiały są kiepskie.

Zapala papierosa. Często pali. Dłonie ma nerwowe, u nauczycielki to normalka, ale nie wymuskane (papierki, długopis): ślady zaczerwienień, pewnie od prania.

Dalszy ciąg na str. 5

ŁODZIANIE-75

Fot. W. Parys

NASZ PROGRAM

Co dziś, u początku 1976 roku, znaczy być patriotą?

Odpowiedź może być prosta: kochać Polskę! Ale każdy z nas czuje, że jest to odpowiedź niewystarczająca, że nie obejmuje tego wszystkiego, co dziś rozumiemy pod pojęciem patriotyzmu.

Pojęcie patriotyzmu kształtowało się historycznie. Przez całe lata patriotyzmem była walka o samoistnienie narodu, o niepodległość, o sprawiedliwość społeczną. Najwyższa forma patriotyzmu było złożenie życia w ofierze dla przyszłości i trwałości narodu. Jeszcze w pierwszych latach istnienia Polski Ludowej pojęcie patriotyzmu wiązało się z walką. Ci, którzy przyszłość Polski wiązali ze społecznym postępem, którzy pojęli historyczne znaczenie rewolucyjnych przemian niejednokrotnie poświęcali życie w walce z wrogami postępu. W miarę jednak umacniania się władzy robotników i chłopów, w miarę dokonywania się rewolucyjnych przemian pojęcie patriotyzmu musiało ulegać zmianie.

Jak dziś rozumiemy patriotyzm?

W epoce pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach, w epoce rewolucji społecznej i rewolucji naukowo-technicznej uległ zmianie ideał patrioty. Naszym wspólnym wysiłkiem, przez przeszło 30 lat, przeobraziliśmy Polskę. Kraj nasz, nasze państwo, zajęło należne mu miejsce wśród innych państw. Polska dziś liczy się w światowej opinii. A liczy się nie dlatego, że zmienił się stosunek do naszego kraju, ale dlatego, że nasza praca stworzyliśmy realne podstawy dla takiej zmiany. Jest to uznanie dla tego, co dokonaliśmy.

Przed kilku dniami **„Trybuna Ludu"** przypomniała sprawy, które powinny być powszechnie znane, a które czasem uchodzą naszej uwadze. **„Trybuna Ludu"** pisała:

„Obecnie w roku 1976, co drugi obywatel — 17 milionów Polaków — to ludzie czynni zawodowo. Jest to wskaźnik aktywności zawodowej najwyższy w naszych dziejach i jeden z najwyższych w świecie. Nie chodzi jednak tylko o statystykę. Za tym wskaźnikiem kryje się coś więcej: realizacja jednego z podstawowych założeń ustrojowych — stworzenie warunków dla pełnego zatrudnienia. Wieloletni, ogromny wysiłek całego społeczeństwa doprowadził do rozwiązania ciążącego nad naszym krajem przez dziesiątki lat problemu o wielkiej społecznej doniosłości — problemu braku pracy, bezrobocia, marnotrawstwa twórczych sił narodu."

I jeszcze dwa fakty: 90 proc. stanowisk pracy stworzyliśmy w procesie socjalistycznej industrializacji i rekonstrukcji gospodarki. Blisko 10 milionów osób zdobyło kwalifikacje i rozpoczęło pracę zawodową w Polsce Ludowej.

Te fakty w zdecydowany sposób rzutują na dzisiejsze rozumienie patriotyzmu. Jeśli w przeszłości wyrazem patriotyzmu była walka z bronią o istnienie narodu, to dziś takim wyrazem staje się praca dla pomnażania naszego potencjału, dla umacniania i utrwalania tego, co do tej pory zrobiliśmy. Nie jest to jednakże pojęcie abstrakcyjne. Praca dla dobra Polski wiąże się bowiem nierozerwalnie z pracą dla dobra każdego z nas. Cele ogólnonarodowe nie stoją w sprzeczności z celami jednostkowymi.

Program przyszłości Polski zawarty został w uchwale VII Zjazdu PZPR. Jest to program dynamicznego rozwoju społeczeństwa i gospodarki. Jest to program dalszego umacniania naszej pozycji na międzynarodowej arenie. Postawiliśmy sobie cel zbudowania rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, a więc takiego społeczeństwa, w którym cele ogólne jeszcze silniej będą powiązane z celami jednostki.

W niedzielę, 21 marca 1976 roku odbędą się w Polsce wybory do Sejmu i wojewódzkich rad narodowych. Można byłoby powiedzieć: formalność, bo któż z nas nie jest za przyszłością Polski, za jej rozkwitem. A przecież taki stosunek do aktu obywatelskiej powinności byłby błędny. Jeśli każdy z nas wyraża poparcie dla programu rozwoju Polski, to powinien uczynić to nie tylko w akcie głosowania. Ten akt powinien stać się nie tylko deklaracją poparcia dla tego programu, ale zobowiązaniem do czynnego jego realizowania, zapewnieniem wobec siebie samego, że poparcie udzielone programowi FJN zmusi każdego z nas do rzetelnej i sumiennej pracy na rzecz dobra nas wszystkich.

Przewodniczący Rady Państwa — **Henryk Jabłoński** powiedział niedawno:

„Niechaj więc wybory staną się manifestacją patriotyzmu i jedności Polaków, niechaj przyniosą powszechne poparcie dla programu i kandydatów FJN. A wówczas wyłonione z nich organa władzy — Sejm i wojewódzkie rady narodowe — reprezentować będą wolę ludu, który zbiorowym wysiłkiem — słowa programu zamieni w czyn godny socjalistycznej Polski, marzeniom pokoleń nada najwyższy walor — codziennej rzeczywistości."

O taki wysiłek właśnie chodzi, bo dziś jest on najwyższym wyrazem patriotyzmu Polaków.

SZTUKA I ŻYCIE

Jerzy Wawrzak

1.

Po raz ósmy Czytelnicy naszego pisma wyłonili w plebiscycie, który trwał kilka tygodni, najpopularniejszych łodzian. W ubiegłą niedzielę odbyła się w Muzeum Historii Miasta skromna uroczystość, wręczenia laureatom symbolicznych nagród: pamiątkowych talerzy z herbem Łodzi, albumów i oczywiście... kwiatów. Z kwiatami prześcignęli nas jednak czytelnicy, przyjaciele i wielbiciele honorowych ŁODZIAN ROKU 1975 prof. Olgi Olginy, Janiny Szydleckiej i Leszka Jezierskiego. Byli więc studenci i wychowankowie Pani Profesor, współpracownicy towarzyszki Janiny z „Gwardii Ludowej", działacze i piłkarze RTS Widzewa (prosto ze zwycięskiego pojedynku w łódzkich derbach). Uroczystość pomyśleliśmy jako kameralną, ale nam się to nie udało (na szczęście), bo przyszło ponad 200 osób. Rodzinną na wpół atmosferę udanie podtrzymywała kapela „Familijna" Mariana Stysiaka i piosenki Heleny Baranowskiej, których nie trzeba chwalić, a przy pierwszej okazji posłuchać.

Daleki w tym momencie jestem od jakichś uogólnień na podstawie ostatniego plebiscytu. Jednak obserwując uważnie cztery ostatnie konkursy, zastanawiałem się, dlaczego ten, a nie inny kandydat zdobywa największą ilość głosów. Zainteresowania i sympatie czytelników dla ludzi kultury, twórców i działaczy, są pośrednim obrazem ich samych. Często przecież utożsamiamy się z postawami ludzi, którzy wyrastają ponad przeciętność, odnoszą sukcesy, zdobywają wyróżnienia talentem i ciężką pracą. I ten ósmy plebiscyt odpowiada, że z wysoką akceptacją społeczną spotykają się postawy społeczników — wychowawców (zauważmy, wygrali: pedagog, działaczka, trener). Jaki z tego wniosek dla pisarzy, artystów plastyków, artystów scen, reżyserów??... Nie zaryzykuję żadnego wniosku. Cała nasza tegoroczna dziesiątka dobrze zasłużyła się kulturze Łodzi. I to jest najważniejsze.

2.

W marcu, 30 lat temu ukazał się pierwszy numer prasowego organu Zw. Zaw. Prac. Przem. Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego „Nasze Życie". (Wówczas jeszcze pod tytułem „Życie Włókiennicze", nawiązujące do tradycji ukazującego się od 1923 r. „Włókniarza", miesięcznika klasowego związku włókniarzy).

Dwutygodnik „Nasze Życie" nie jest tylko branżowym informatorem, ale organizatorem ważnych akcji, popularyzacji wiedzy ogólnej i zawodowej, współzawodnictwa i racjonalizacji. Pismo jest instrumentem kształtowania i wyrażania opinii włókniarskiej społeczności, walczy o poprawę stosunków międzyludzkich, o rozwój kultury i oświaty. Redakcja organizowała konkursy prasowe, liczne spotkania z czytelnikami, skupiła wokół siebie dużą grupę korespondentów, pomagała zakładowym radiowęzłom, przygotowując dla nich audycje. W roku 1972 za całokształt pracy „NŻ" otrzymało Nagrodę Prasową CRZZ II stopnia; posiada także zbiorow. Odznakę Zasłużonego Działacza Związkowego. Z okazji jubileuszu dołączamy nasze życzenia.

3.

Spora paczka książek z Wydawnictwa Łódzkiego, poza jedną, wszystkie autorstwa łódzkich pisarzy i naukowców. Będą je na tych łamach recenzować specjaliści, ja chciałbym wspomnieć tylko o jednej. Powodów tego wyróżnienia jest kilka. Tom opowiadań Andrzeja Sroczyńskiego „Spotkanie z grizzly" jest debiutem. Ostatnio w Łodzi, urodzajnej w talenty poetyckie, debiutów prozatorskich nie było. Po drugie, młody autor jest również naszym „odgłosowym" debiutantem, u nas zdobywał szlify literackie i miło nam stwierdzić, że się na nim nie zawiedliśmy. Czytelnicy otrzymali natomiast ciekawą książkę, autentyczną, bo napisaną z autopsji. Lektura to zwłaszcza interesująca dla łodzian, kto wie, czy nie była to ostatnia okazja do „zapisania" obrazu starych Bałut, które już odeszły w przeszłość, takich artystycznych dokumentów czasu nie posiadamy zbyt wiele.

4.

Kiedyś przed laty redaktorzy gazet codziennych walcząc o czytelnika zaczęli m.in. drukować w odcinkach sensacje i kryminały. Podobno była to deska ratunku. Od lat jednak, jak mi wiadomo, prasa codzienna rozchodzi się prawie bez zwrotów. W ostatnim roku, w związku ze światowym kryzysem papierowym, trzeba było zmniejszać nakłady i nadal są one limitowane. Zwyczaj jednak pozostał, wiadomo, stereotypy myślowe mają dłuuugi żywot.

Jest więc dla mnie małą sensacją, że „Dziennik Popularny" wyłamał się z tego jednolitego frontu, rozpoczynając druk powieści „Małpi Gaj" pióra Andrzeja Makowieckiego, popularnego łódzkiego pisarza i reportera. Podobno jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale jestem z pełnym uznaniem dla szefa „DP" red. Walendy za taką decyzję. Głupio aż pisać, chwalenie to trochę żenujące zajęcie, ale jak nie oddać sprawiedliwości red. Hamplowi z tego samego dziennika za drukowanie wierszy najmłodszych poetów-debiutantów. Jaka to przecież rzadkość na łamach innych dzienników.

Eliminacja z łamów prasy codziennej koszmarnych powieścideł kryminalnych, wypaczających gust literacki i będących kpiną z logiki i zdrowego rozsądku — to według mnie bezpośredni udział w trudnej walce o czystość mowy i podnoszenie poziomu kulturalnego społeczeństwa.

5.

Od lat współpracuje z „Odgłosami" dr Andrzej Feliks Grabski, łodzianin, od wielu lat pracujący, jako docent w Warszawie, w PAN. Na ile mu czas pozwala, publikuje u nas większe artykuły o tematyce historycznej, ale, jako felietonista — lektor — jest obecny na trzeciej kolumnie w każdym numerze. Często wpada do redakcji na dyskusje, ale przy jego erudycji cały nasz zespół nie ma cienia szansy, żeby wziąć nad Grabskim górę. A w dodatku, kiedy naukowiec jest melomanem (na własne oczy widziałem tych kilka tysięcy płyt z muzyką poważną), jest znawcą teatru, miłośnikiem literatury, w podróżach naukowych zjeździł pół świata... Państwo rozumieją, że takiemu lepiej zejść z drogi. Ale rychło do spotkania dojść musi, bo kilka dni temu Rada Państwa mianowała historiofizyczną podporę naszego pisma profesorem nadzwyczajnym nauk humanistycznych, nie patrząc na młody wiek (czterdziestolatek), lecz bogaty dorobek naukowy. Serdeczne gratulacje, Andrzeju, nadzwyczajny profesorze!

NOMINACJE PROFESORSKIE

Rada Państwa na wniosek Prezesa Rady Ministrów przyznała tytuł prof. zwyczajnego 34, a profesora nadzwyczajnego 89 osobom. 5 bm. nowo mianowani profesorowie spotkali się w Belwederze, by odebrać z rąk przewodniczącego Rady Państwa, **Henryka Jabłońskiego** akty nominacyjne.

Spośród łódzkich naukowców tytuł profesora zwyczajnego nauk przyrodniczych otrzymała **WACŁAWA POTAPCZYK** — prof. nadzw. w Uniwersytecie Łódzkim.

Tytuły naukowe profesora nadzwyczajnego otrzymali:

— nauk farmaceutycznych: **STEFAN GROSZKOWSKI** — doc. w Akademii Medycznej w Łodzi;

— nauk humanistycznych: **SALOMEA KOWALEWSKA** — doc. w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w Łodzi i **JOLANTA KULPIŃSKA** — doc. w Uniwersytecie Łódzkim;

— nauk matematycznych: **JULIAN MIECZYSŁAW ŁAWRYNOWICZ** i **WŁODZIMIERZ WALISZEWSKI** — doc. doc. w Instytucie Matematycznym w Łodzi;

— nauk medycznych: **KAROL STĄPOR** — doc. w Akademii Medycznej w Łodzi;

— nauk rolniczych: **ALINA KĘPKOWA** — doc. w Instytucie Warzywnictwa w Skierniewicach;

— sztuki filmowej: **KAZIMIERZ KONRAD** — doc. w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

ZA TYDZIEŃ:

w „ODGŁOSACH":

— wypowiedzi kandydatów na posłów i radnych do wojewódzkiej rady narodowej,

— **Krzysztof Pogorzelec** publikuje pierwszy artykuł z cyklu „Oblicze kapitalizmu" pt. **„Macki olbrzymów"**,

— **Ewa Ostrowska** rozpoczyna cykl refleksji o współczesnej szkole widzianej oczyma pisarki i matki artykułem pt. **„Wędrując z teczką po piętrach"**,

— **Adam Lewaszkiewicz** pisze o **„Perfidnym testamencie milionera"**,

— **Bogdan Krakowian** prezentuje dalszy ciąg relacji z książki Josefa F. Blumricha — amerykańskiego specjalisty od budowy rakiet, który analizuje proroctwo Ezechyjela,

— **Konrad Turowski** prezentuje **„Samochód jego marzeń"**.

TELEWIZJA

BARDINI I INNI

Nadzwyczaj udane występy prof. Aleksandra Bardiniego w ramach telewizyjnego „Studia-2" nakazują zastanowić się nad regułami tego typu sukcesu. Jest to bowiem sukces niezmiernie rzadki, mimo iż posiada fundamentalne znaczenie dla społecznej funkcjonalności telewizji. Istnieje amerykański slogan, który trafia w samo sedno istoty tego środka przekazu, mówiąc: „Telewizja jest kwestią osobowości". Otóż Bardini potwierdza tę prawdę z wyjątkową siłą. Dowiódł on, że jest w stanie wypełnić swoją prywatnością cały program i stworzyć spektakl nieporównanie bardziej atrakcyjny aniżeli emisja widowiska filmowego czy teatralnego. W ten sposób Bardini dał miarę możliwości ekspresyjnych telewizji między innymi w zakresie tej roli, jaką jest rola prezentera.

Jest to sprawa wagi kapitalnej, bowiem w naszej telewizji można znaleźć i opisać kilka pseudoosobowości, które są niezbicie przekonane o swojej szczególnej atrakcyjności. Właśnie owa nadmierna pewność siebie jest tutaj rysem dominującym ich charakterystyki. Jest nią skażony nieuleczalnie sposób zachowania się Ireny Dziedzic, której nie sposób odmówić cennej umiejętności błyskotliwej konwersacji, ale jednocześnie nietrudno zauważyć, że jest to polor tyleż efektowny, co sztuczny. Dzieje się tak dlatego — jak sądzę — iż pani Dziedzic miast o partnerze rozmowy pamięta przede wszystkim o telewizyjnej kamerze, co jej uśmiechom, gestom i mimice nadaje wyraz daleki od naturalności, wymuszony i obliczony „na sprzedaż".

Inną postacią małego ekranu, której w sposób nazbyt widoczny zależy na atrakcyjności jest red. Pach. W tym przypadku mamy do czynienia z manifestacyjną swobodą bycia, której sens pozostaje niejako retoryczny. Pach usiłuje zapewne przełamać sztywną sztampę rządzącą zachowaniami w obliczu kamery. Niestety, sam rozluźniony styl nie wystarcza. Winien on rodzić się z wartości zakorzenionych głębiej, które sprawiają, że mówi się nie tylko bez cienia tremy, ale również interesująco.

Do roli „gwiazdy" telewizyjnej pretenduje również p. Mikołajczyk. Pretenduje, ale nie urasta. I właśnie narzucającą się cechą p. Mikołajczyka jest ta chęć przemożna do bycia za wszelką cenę strasznie fajnym i równym gościem. Jednakże im bardziej p. Mikołajczyk stara się, tym bardziej mu to nie wychodzi. Nie wie bowiem, że sekret sympatyczności nie polega na tym, że się chce być, ale na tym, że się jest.

Natomiast ta trudna sztuka udała się Tomaszowi Hopferowi. Ale gdyby zastanowić się nad przyczynami niewątpliwej popularności i sympatii do Tomasza Hopfera, to łatwo dojść do wniosku, że bierze się ona — prawem paradoksu — z pewnych defektów jego prezenterskiego kunsztu. Hopfer każdy występ bardzo przeżywa, jest bardzo stremowany i stąd wynikają różne zabawne lapsusy, gafy i przejęzyczenia, które decydują o jego mimowolnym wdzięku. Powodzenie Hopfera opiera się na znanej zasadzie efektu identyfikacji, ponieważ odzwierciedla on nasze samopoczucie w sytuacji publicznej.

Na tym tle Bardini objawił się jako postać prawdziwie olśniewająca niekłamanym i zniewalającym wdziękiem. Telewizyjny efekt Bardiniego wynika nie tylko z ogromnej kultury osobistej, urzekającego sposobu bycia, wielkiej inteligencji, dobrodusznego poczucia humoru i doskonałego refleksu. Te wszystkie cechy są jego bezcennym bogactwem, ale decydujące znaczenie ma tutaj fakt, że Bardini jest nie tylko uroczym dżentelmenem, ale przede wszystkim znakomitym aktorem. Ta okoliczność sprawia, że Bardini z wielkim wyczuciem roli potrafił zagrać samego siebie. Brzmi to nieco pokretnie, ale aktor istotnie potrafił z wielką maestrią zagrać samego siebie, albo inaczej: jego aktorstwo w pełni ujawniło i podkreśliło jego cechy osobiste.

A przy tym najważniejszym wrażeniem wyniesionym ze spotkania z Bardinim była maksymalna szczerość i naturalność zachowań, czyli to czego tak bardzo brakuje naszym telewizyjnym „gwiazdom" i „gwiazdorom".

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

towania **„do nowego układu między ZSRR i USA o ograniczeniu i redukcji zbrojeń strategicznych".** Uczynić wszystko, aby doprowadzić do zawarcia międzynarodowych układów o powszechnym i całkowitym zaprzestaniu prób z bronią nuklearną, o zniszczeniu broni chemicznej. Doprowadzić do tego, aby świat zobowiązał się do nie tworzenia nowych systemów broni masowej zagłady, zrezygnował z groźby oddziaływania na środowisko naturalne w celach militarnych i w innych wrogich człowiekowi celach.

Poważnym zagrożeniem dla światowego pokoju są niewygasłe ogniska wojen. Stąd też postulat uregulowania spraw na Bliskim Wschodzie, a przede wszystkim ograniczenie zbrojeń w tym rejonie świata. Stąd też nakaz aby **„zmierzać do zapewnienia bezpieczeństwa w Azji na podstawie wspólnych wysiłków państw tego kontynentu".**

Wśród kanonów zagranicznej polityki Związku Radzieckiego, nakreślonej na XXV Zjeździe, znajduje się też postulat uznania **„za jedno z najważniejszych zadań międzynarodowych całkowitą likwidację wszystkich pozostałości systemu ucisku kolonialnego, ograniczenia równości praw i niezależności narodów oraz wszystkich ognisk kolonializmu i rasizmu".**

NIE MA SPRZECZNOŚCI

między dążeniem do utrwalenia i rozszerzenia pokojowego współżycia, do utrwalenia atmosfery odprężenia na świecie, a jednoczesnym poparciem wyrażanym dla rewolucyjnych dążeń różnych narodów, przeciwdziałaniu wszelkiemu uciskowi i przemocy. Nie ma sprzeczności dlatego, że rewolucyjna walka narodów, dążenie do swobód demokratycznych i do socjalistycznych przemian jest naturalnym dążeniem, wynikiem wewnętrznego rozwoju społeczeństw i narodów, przejawem działania obiektywnych praw społecznego rozwoju.

Leonid Breżniew stwierdził między innymi w swoim referacie:

„...pokojowe współistnienie dotyczy stosunków międzypaństwowych. Oznacza to przede wszystkim, że spory i konflikty między krajami nie powinny być rozstrzygane poprzez wojny ani przez stosowanie przemocy lub przez grożenie przemocą. Odprężenie bynajmniej nie anuluje i nie może anulować ani zmienić praw walki klasowej. Nikt nie może liczyć na to, że w warunkach odprężenia komuniści pogodzą się z wyzyskiem kapitalistycznym, lub że monopoliści staną się zwolennikami rewolucji. A przecież ścisłe przestrzeganie zasady nie ingerowania w sprawy innych państw oraz poszanowanie ich niezależności i suwerenności — to jeden z koniecznych warunków odprężenia".

Nikt jednak nie zamierza też ukrywać, że pokojowe odprężenie służy socjalizmowi. Pokój i socjalizm są pojęciami nierozłącznymi. Pokój jest potrzebny dla dalszego rozwoju sił socjalizmu. Siły te mogą gwarantować trwały pokój. Cała dotychczasowa polityka zagraniczna Związku Radzieckiego, określana przez KPZR, stanowi dowód dla takiego twierdzenia.

JEST TO MOŻLIWE

dlatego, że podstawą tej polityki jest potęga gospodarcza i militarna Związku Radzieckiego oraz jedność państw socjalistycznych. Zadania minionej, dziewiątej pięciolatki zostały pomyślnie wykonane. Nastąpił dalszy wzrost produkcji przemysłowej, dokonano postępu w rolnictwie, umocniła się gospodarka kołchozowa i sowchozowa. Wzrósł poziom życia ludzi radzieckich.

Rezultaty pracy ludzi radzieckich w minionej pięciolatce spowodowały, że ZSRR dziś zajmuje pierwsze miejsce w świecie nie tylko w produkcji węgla, rudy, żelaza, cementu, ale także stali, ropy naftowej i nawozów sztucznych.

W poprzednich pięciu latach nastąpił wzrost efektywności produkcji. Wzrosła wydajność pracy. I tak np. w przemyśle dzięki wyższej wydajności pracy osiągnięto przyrost produkcji w 84 proc., a w budownictwie — w 78 proc. W rolnictwie natomiast cały przyrost produkcji osiągnięto przez wzrost wydajności pracy. O takich wynikach zadecydował wzrost kwalifikacji ludzi pracy oraz wyższa technika. W minionych pięciu latach do pracy przyszło 9,3 miliona absolwentów szkół zawodowych i przeszło 9 milionów ludzi z wyższym i średnim wykształceniem technicznym. W przemyśle w tym czasie wymieniono środki trwałe w 40 proc., a w rolnictwie — w 56 proc.

Analizując te dane, trzeba pamiętać o skali Związku Radzieckiego, o ogromie potrzeb i możliwości tego kraju i o tym, że naród radziecki dla wypełnienia celów i zadań określanych przez partię sięga obecnie po bogactwa Syberii, że tysiące ludzi radzieckich pracuje w niezwykle trudnych warunkach tego surowego kraju. Praca w tych warunkach, praca nieraz pionierska zyskała już sobie rangę bohaterstwa. A z trybuny XXV Zjazdu KPZR padły słowa podziękowania i uznania pod adresem tych, którzy pracują na Syberii.

DZIESIĄTA PIĘCIOLATKA

nieprzypadkowo zyskała sobie miano pięciolatki jakości i efektywności. Celem strategicznym tej pięciolatki jest bowiem dalsze zwiększenie potencjału ekonomicznego ZSRR, rozbudowa i modernizacja bazy ekonomicznej, poprawa warunków pracy i życia ludzi radzieckich, postęp w ochronie zdrowia i w kulturze. Stworzenie warunków dla wszechstronnego kształtowania osobowości ludzi Kraju Rad i doskonalenia socjalistycznego stylu życia.

Trwać będzie dalsze zagospodarowywanie Syberii. Rozbudowywać się będzie potencjał gospodarczy wszystkich radzieckich republik. **XXV Zjazd KPZR** postawił jednak przed ludźmi pracy Związku Radzieckiego zadanie dalszego zwiększania wydajności pracy, podnoszenia efektywności gospodarowania. Nadal rosnąć będzie potencjał ekonomiczny ZSRR, ale obecnie wysokie wyniki gospodarcze należy osiągać nie tylko poprzez budowę nowych fabryk, poprzez zwiększanie liczby ludzi pracujących, ale poprzez lepsze wyzyskiwanie tego, co już stworzono, przez lepsze gospodarowanie energią, surowcami, materiałami, maszynami.

Zadania dziesiątej pięciolatki realizować się będzie w warunkach trwającej rewolucji naukowo-technicznej. Dlatego też **XXV Zjazd KPZR** — wychodząc z założenia, że **„tylko w warunkach socjalizmu rewolucja naukowo-techniczna przybiera właściwy, zgodny z interesami człowieka i społeczeństwa kierunek"** — zwraca też szczególną uwagę na konieczność przyspieszenia postępu naukowo-technicznego. Jeśli bowiem tylko w warunkach socjalizmu rewolucja naukowo-techniczna przybiera właściwy kierunek, to tylko **„opierając się na przyspieszonym rozwoju nauki i techniki można rozwiązać ostatecznie zadania rewolucji socjalnej — można zbudować społeczeństwo komunistyczne".**

W ostatnich latach nastąpił w Związku Radzieckim poważny rozwój nauki i techniki, ale na XXV Zjeździe KPZR, ciesząc się z sukcesów, nie ukrywano, że wiele jest jeszcze do zmienienia, wiele do zrobienia. Opracowano projekt programu kompleksowego rozwoju nauki i techniki na lata 1976 — 1990 oraz ich socjalno-ekonomicznych następstw. Taki program pozwala orientować się w konkretnym planowaniu zadań społeczno-ekonomicznych. Musi on być jednak doskonalony i rozwijany. Bez takiego programu, bez planowanego i wszechstronnego rozwoju nauki i techniki nie można właściwie kierować gospodarką, nie można zapewnić należytej i sprawnej realizacji postawionych celów.

Komentując obrady XXV Zjazdu KPZR dla „Trybuny Ludu" jej korespondenci: K. Gruszecki i Z. Leśnikowski stwierdzili, że w Związku Radzieckim panuje zgodna opinia: **„realizację uchwał poprzedniego Zjazdu odczuła każda radziecka rodzina".** Stąd wiara i optymizm, że realizacja zadań dziesiątej pięciolatki również przyniesie pozytywne skutki, jakie każy odczuje w warunkach swego życia. Delegatka Omskich Zakładów Petrochemicznych — tow. Lebiediewa opinię tę wyraziła następująco:

„— Plany są napięte i wszyscy zdajemy sobie sprawę, że ich wykonanie wymagać będzie od całego narodu wiele wysiłku. Zrobimy wszystko, aby ten program przekształcić w rzeczywistość."

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: Archiwum

DZIESIĄTA: pokoju i postępu

NIE TYLKO HISTORIA

WCZORAJ I DZIŚ ADMINISTRACJI

Terminem administracja posługujemy się w bardzo różnych znaczeniach. Jeżeli historyk pragnie się dziś zatrzymać nad historią administracji, nie chodzi mu o dzieje, nawet najbardziej burzliwe, jakiegokolwiek „personelu kierowniczego", nawet gdyby miała to być administracja „Odgłosów". Historyka i prawnika w jednej osobie Andrzeja Ajnenkiela skłoniła do podjęcia rozważań historycznych dokonana w naszym kraju wielka reforma administracyjna, reforma tego aparatu, który „realizuje funkcje państwowe, nie będące ani ustawodawstwem, ani sądownictwem". Oczywiście historyk uczynił to nie dlatego, aby tęsknie westchnąć nad tym, co już minęło, ale po to, aby na przekształcenia dokonujące się we współczesności spojrzeć w kategoriach historycznych, to znaczy z punktu widzenia zmienności w czasie. Historyczne spojrzenie bowiem, to wcale nie budzenie resentymentów, aktywizowanie tęsknoty za tym, co przeszłe. To widzenie zjawisk w ich dynamice, ujawnianie ogólniejszej perspektywy przemian, pozwalające na zrozumienie ich kierunku i sensu. Książka Andrzeja Ajnenkiela „Administracja w Polsce. Zarys historyczny", wydana niedawno (1975) przez „Książkę i Wiedzę", jest właśnie dziełkiem, prezentującym tego rodzaju historyczne widzenie problematyki: historycznym a zarazem współczesnym. Autor postawił sobie na celu ukazanie czytelnikowi historycznego rozwoju administracji w naszym kraju, na całym obszarze czasów nowożytnych. Jak to się stało, że udało się rzecz doprowadzić do współczesności, że książka objęła również dzieje niedawno dokonanej reformy, której projekt, jak pamiętamy, był przedstawiony na XVII Plenum KC PZPR dnia 12 maja, zaś dopiero następne miesiące przyniosły jej realizację, pozostanie zapewne tajemnicą Autora i Wydawnictwa. Tak przywykliśmy już do chronicznej opieszałości naszej bazy poligraficznej, że wprost wierzyć się nie chce, że można było zdążyć, chociaż chodziło o zwykłą książkę, nie zaś o jakąś nadzwyczajną publikację, która musiała się ukazać szybko ze względu na wyższe racje.

Książkę tę można czytać na różne sposoby. Uczeń czy student przygotowujący się do egzaminu, nauczyciel przygotowujący lekcję z wychowania obywatelskiego, zacznie najpewniej od końca: od szerokiego, kompetentnego wykładu o dokonanej w naszym kraju reformie administracji. Zatrzyma się nad podawanymi przez Autora faktami, przeczyta jego interpretacje. „Wprowadzenie dwustopniowej struktury terenowych władz i organów administracji — pisze A. Ajnenkiel — tak jak i samo zjawisko reformowania struktur aparatu państwowego, to wyraz dążenia do tego, by aparat ten odpowiadał stojącym przed nim zadaniom. Nie jest to zresztą zjawisko wyłącznie polskie. W ciągu ostatnich lat w kilku zbliżonych pod względem wielkości do Polski państwach socjalistycznych, takich jak: Rumunia, Bułgaria i Węgry, nastąpiło częściowe zrezygnowanie z dotychczas istniejącego wielostopniowego podziału jako zbyt kosztownego, komplikującego procesy podejmowania decyzji oraz hamującego niezbędny obieg informacji. Również w niektórych państwach kapitalistycznych widoczna jest wyraźna tendencja do upraszczania struktur aparatu administracyjnego". A więc nasze własne zmiany mieszczą się w ogólniejszym nurcie przemian współczesności, także w porównaniu z innymi krajami. Autor, dążąc do ukazywania przemian w ich historycznej dynamice, pozwolił sobie nawet na sformułowanie prognozy. „Wydaje się — pisze dalej A. Ajnenkiel — iż należy się liczyć jako z konsekwencją reformy, z koniecznością dokonania w przyszłości zmian na szczeblu centralnym, zarówno w samej metodzie pracy jak i — być może — w strukturze organizacyjnej poszczególnych organów władzy i administracji państwowej". Przyszłość pokaże, czy przewidywania te się sprawdzą.

Ale książkę tę można również czytać w inny sposób: nie tylko jako zbiór wiadomości o współczesności, ale jako historię. Historię, która relacjonuje skomplikowane dzieje administracji ziem polskich pod zaborami, oraz trudności i kłopoty, związane z tworzeniem administracji niepodległej Polski, po zakończeniu I Wojny Światowej. Opowiada o dziejach administracji w okresie II niepodległości i w czasach okupacji, relacjonuje trudne początki ludowego aparatu władzy, o których napisano tak wiele, choć wciąż jeszcze niemało pozostało do wyjaśnienia. Przedstawia przemiany administracji w Polsce Ludowej w przeciągu całości jej dziejów, pozwalając spojrzeć na naszą współczesną reformę z ogólniejszego, historycznego punktu widzenia. I to jest właśnie sposób, w jaki tę książkę czytać jest najlepiej, bowiem przy takiej właśnie lekturze możemy zrozumieć, że dokonana po VI Zjeździe PZPR reforma, największa inicjatywa reformatorska w dziedzinie administracji w dziejach Polski Ludowej, nie jest jakimś kataklizmem, który spadł z nieba na ziemię, przewracając urzędnicze biurka i szafy, ale ważkim zwrotem w procesie świadomego i celowego kształtowania socjalistycznej rzeczywistości w naszym kraju. „Doskonalenie socjalistycznego państwa wymaga stałego dostosowywania organizacji i metod działania do nowych warunków" — mówił Edward Gierek na XVII Plenum KC PZPR. Temu celowi służy reforma administracji, której trzeci etap właśnie się dokonał.

LEKTOR

MIECZYSŁAW KUCNER

STOLICA

Niekiedy, gdy zapada dzień
w łunach lęków, psychoz, frustracji,
w trwodze nasłuchuję twojego pulsu,
ty, ciemna przepasko na oczach,
stolico dróg
urywających się nad przepaścią czasu
i proszę o siłę nadpamięci;
niech wzmocniony klęską
i pełen winy,
niech nauczę się żyć.

Bo ja nie z faktu,
ja nie ze świadomości,
rzecz jest moim domem,
światłem,
dystansem.

Głowa metafizyki pełna
nurza się w konspiracji,
to polski los: konspiracja,
żyjemy w jej cieniu,
w jej krzyku,
w jej niewiedzy bolesnej.

Bo ja to nie ja
połamany rozkazem,
wbijany na pal zleceń,
wzlatujący orgazmem,
erekcją,
omija mnie kobieta, przeznaczenie i księżyc,
piramidy pamięci spółkujące z losem.

Podaj mi teraz rękę, stolico jasna,
podaj mi ręce, wyobraźni nasza,
najdotkliwsza ludzka samotności,
w plazmie dziejów tkwiąca jak w pochwie.

ELEGIA PRZYSTOSOWANIA

Przechodzień, sąsiad, brat
spotykany codziennie,
gdy zza szyby zmysłów
daje ci znak;
rozgarnia ciemność jak włosy
opadające na oczy.
Co ty o nim wiesz,
kiedy układasz wiersz,
kiedy wchodzisz w muzykę,
rozkrawasz cień,
wybrzmiewasz materią,
oddalając od siebie
kubek melancholii,
która rdzą osiada
na widzialnej rzeczy.
Co ty o nim wiesz,
który w milczenie
odchodzi bez protestu;
zapada się horyzont,
ziemią nadzieja zarasta,
niebo takie odległe,
a obojętność tak bliska:
do gardła podpływa,
tamuje oddech,
zaciska tętnice.
Co ty o nim wiesz,
ilekroć myślą zaprzeszłą
z okolic peryferyjnych
w centrum samego siebie,
wracasz w żywioł wieczny,
który strukturę niszczy,
zamiar obraca w klęskę.
Co ty o nim wiesz,
kiedy słowo w-pół-wypowiedziane
tężeje na ustach.

TADEUSZ PAPIER

STARE CIENIE

„Prawdę mówiąc — opowiada Bronek — to bałem się trochę tej Hedwig. Czy jej przyjazd nie wprowadzi zamieszania do naszego domu? Może za dużo powiedziane: bałem się. Odczuwałem pewien niepokój. Było nie było, miałem z nią listowną kłótnię. A przede wszystkim: widziałem, w jakim świecie się obraca, uciekła z Polski w 45 roku. Pamiętam jej chytre listy z NRF, pisane do Irenki. Ale znasz mnie. Kłócić się potrafię i niech mnie diabli wezmą, jeżeli ustąpię komu na krok, kiedy czuję, że racja po mojej stronie. O tym nie ma mowy. Zwłaszcza w takich sprawach, jak z Hedwig. Ciekaw byłem, co ona znowu wymyśliła? Dlaczego przyjeżdża? Z prostej ciekawości? Dla zaspokojenia, jak pisała, kaprysu jej Hansa?

— Nie domyślasz się, co to oznacza? — pytam Gertę. A ona: czy to takie dziwne? Czy nikt stamtąd nie przyjeżdża? — Właściwie, to racja, mówię.

Pytasz się, jaki mam stosunek do Hedwig. Wrogi, obojętny, ironiczny? Trudno odpowiedzieć. Moje zachowanie było różne. Powiedziałem Gercie, że nie mam nic przeciwko przyjazdowi jej siostry. Może nawet lepiej, że odwiedzi nas i zobaczy, jak my żyjemy. Bóg wie, czym ją tam karmią. Jakie wiadomości o nas sieją. Przyjedzie, na miejscu zobaczy. A nawet powiem ci, że w końcu zacząłem wyglądać jej przyjazdu. Ostatecznie, nie mam się czego wstydzić. Oko jej zbieleje, myślałem, jak zobaczy nasz dom. Ale mój stosunek do niej? Zobaczymy, myślałem, jak ona się zachowa. Postanowiłem nie przybierać z góry określonej pozy. Po prostu, życie niech się toczy swoim trybem. Nie zakrywać niczego.

Nie wiedziałem, kiedy przyjedzie. Tak się złożyło, że ja ją pierwszy przywitałem. Stałem przed domem, na drodze. Patrzę, zajeżdża wóz, ford taunus (dzięki moim chłopakom znam się na markach), rejestracja niemiecka. Za kierownicą siedzi chłopak, blondyn, włosy jak u Kazka rozwichrzone, nie za długie, ale i nie krótkie, na twarzy uśmiech. Otwiera drzwi, wychyla się. Obok niego siedzi kobieta, dość zażywna, w kapeluszu. Byłem pewny, że to oni. Wysiedli obydwoje. Kobieta zbliża się do mnie, patrzy bystro, a potem pyta: Bronek? — Tak — odpowiadam. — Poznałam cię — mówi kobieta. — Jestem siostrą Gerty. Mówi po polsku, trochę się zacina, przypomina mi w wymowie starych ludzi, którzy używają gwary. — No i jestem — mówi. Podaje mi rękę. Psia krew, myślę sobie, jeśli ty do mnie w ten sposób, to ja ci odpłacę tym samym. Biorę ją w ramiona, całuję w policzek. — Witaj mówię — a ten, wskazuję na chłopaka — to Hans? — Ja, ja — odpowiada chłopak — Hans. — On mówi tylko po niemiecku — wyjaśnia Hedwig. — Zna kilka zdań po waszemu. — Dobra jest — odpowiadam — Guten Tag, ich grüsse euch. Ja też parę słów zgrodzę po waszemu — mówię do Hedwig. Nawet się nie zdziwiłem, skąd ona mnie poznała. Dopiero później rzecz się wyjaśniła. To Gerta, mimo moich zakazów, wysłała do niej kilka listów. Posłała także nasze fotografie. Nie wiedziałem o tym, może i lepiej. Byłbym zły na Gertę. — Bardzo się cieszę — odpowiada Hedwig. — Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie ciebie. — A jak? — pytam. — Nie wiem, jak. Teraz naprawdę nie wiem. — A dawniej? — pytam, dawniej wiedziałaś? Myślałam, że masz wąsy, że jesteś taki, jakby tu powiedzieć, zły. A czy dobry jestem? — Na twarzy dobry — odpowiada. Chłopak mnie uściskał. — Onkel, wuj — mówi. — Ja, Onkel. Proszę do domu.

Gerta ucieszyła się gośćmi. Siostry padły sobie w ramiona. — Gerta, Gerta tyle lat! — mówi Hedwig. — Tyle lat. Ty się mało zmieniłaś, mówi dalej. Boże święty, ja jestem od ciebie starsza prawie o dziesięć lat. Ja już prawdziwa babka, a ty jeszcze dziewczyna. Gerta uśmiecha się, nie wie, co robić. — Siadajcie — mówię. — Nie, ja wprowadzę wóz na podwórze — mówi Hans. Wychodzę z nim, otwieram wrota. Hans wjeżdża do środka. Wskazuję mu wystawę. — Hier, hier — mówię, Hans zajeżdża pod wystawę. Otwiera bagażnik, wyjmuje walizy. Pomagam mu. Gerta tymczasem nakryła stół. W mgnieniu oka pojawiły się na stole zakąski (ty wiesz, że u mnie spiżarnia zasobna, a tak się zdarzyło, że kilka dni temu zatłukliśmy świniaka). — Można skorzystać z łazienki? — pyta Hans. — Proszę. — Prowadzę do izby, w której urządziłem łazienkę. Wszystko się świeci, krany, cholera jasna, wypucowane, ręczniki. Hans się rozbiera, myje. — Danke — mówi. Hedwig też się doprowadziła do porządku. Porównuję obydwie. Hedwig ma rację, Gerta przy niej wygląda naprawdę młodo. Wzruszenie okrasiło jej twarz rumieńcem, oczy się błyszczą. — Bardzo się cieszę — mówi. — Siadaj, siostro. Pożywcie się. Stawiam na stół miodówkę. Prosit!

Pierwsze zdania są takie, jak byśmy się dopiero wczoraj rozeszli. Pytanie nijakie, oderwane. Jak podróż? Kiedy przyjechaliście do Polski. Czy długo zostaniecie? Jak wam się tu podoba? Hedwig pyta o Irenkę. Bardzo mi się wasza dziewczyna podoba, mówi. Gerta przysłała jej fotografię. Hansowi przypadła do serca. Hans mówił, opowiada Hedwig, że gdyby nie pokrewieństwo, ożeniłby się z Irenką. Pokazywał jej fotografię kolegom. Bardzo ładna dziewczyna. — Ja, sehr schön — potwierdza Hans. — Ona już ma męża — odpowiadam — w ubiegłym roku wyszła za mąż. Niedługo będziemy dziadkami. Hedwig roześmiała się. — W tym uśmiechu stała się podobna do Gerty. — Winszuję — mówi. — Ja już jestem Grossmutter. Moja Izabela ma syna. Gdyby nie to, też by przyjechała. — Co się odwlecze — mówię — to nie uciecze. Przyjedzie jeszcze. Poznamy się. — Tak, tak — odpowiada Hedwig. Należy się poznać. Bez poznania nie można nic o drugim człowieku powiedzieć.

Gerta oprowadziła siostrę i Hansa po domu. Trzeba powiedzieć, że nasi Niemcy, jak ich w duchu przezywałem, byli zaskoczeni. Nie wiedzieli, na czym oczy zatrzymać. Hans biegał od izby do izby, oglądał meble, dywany, rzeźby Andrzejka. — Wybierz sobie — mówi do niego Gerta. — Dam ci. — Ja chciałbym wszystkie — odpowiada Hans. — Wszystkie? — proszę bardzo — mówię, ale powiedziało mi się z takim wydźwiękiem, że Hans i Hedwig zaśmiali się. — Na pewno coś z tego zabiorę. Bardzo mi się podobają. Będą mi zazdrościć. — Dobrze, odpowiadam. Pokazałem im album z fotografiami. Hedwig długo się przyglądała fotografii ojca. — Wojna go zabrała — powiedziała. — Chciałabym mieć tę fotografię. — Mój syn zrobi odbitkę, damy ci — odparłem. Było tam też zdjęcie ojca Gerty w mundurze Wehrmachtu. — Nie zniszczyliście tego! — dziwi się Hedwig. — A niby dlaczego? — pytam. — Sama nie wiem, dlaczego tak powiedziałam — odpowiada Hedwig.

Matka mnie potem zapytała, czy nie przechwalałem się zanadto. — Bo ja cię znam, habanie — mówiła — wypinasz się przy każdej okazji, jakby ci sam diabeł koronę na głowie założył. — To mam po was — odpowiedziałem Melanii. — Wy także, gdzie możecie, to pchacie się do przodka. — Nie, nie przechwalałem się. Pokazywałem Hedwig to, co chciała zobaczyć. A że wszystko trzymam w porządku, to samo się chwaliło. Ja nie potrzebowałem nic mówić. To dom mówił, stajnie mówiły, ogród. Pszczoły też mnie pochwaliły. Zaprowadziłem Hansa między ule. Nie dałem mu na twarz żadnej osłony. Chłopak, widziałem to, bał się, ale panował nad sobą. Był jednak cały napięty. Spacerował ze mną między ulami wyprostowany, jakby kij połknął. Nie ruszał głową, ani rękami. Popamiętasz ty mnie, spirytusie, mówiłem w duchu. Wyjąłem z jednego ula plaster miodu. Pszczoły bzykały koło naszych twarzy, lecz żadna nie zrobiła krzywdy. — Dobrze wychowane — powiedziałem potem do niego. — Nie bałeś się? — zapytałem. — Bałem — odpowiedział. — Drugi raz już tam nie pójdę.

Wieczorem przyjechał Kazek. Nie widziałem się z nim chyba pół roku. Ostatni raz odwiedziłem go w Olsztynie. Do dziś nie potrafię wydrzeć tego ciernia z serca, jaki mi wbił. Nie mogę mu darować Maryni, którą opuścił. Mimo wszystko byłem rad, że przyjechał. Byłem zły na niego, ale to moja sprawa. Wara obcym do tego. Natomiast mogłem się nim pochwalić przed Hedwig. Bo rzeczywiście Kazek prezentował się dobrze. Miał na sobie nowy garnitur, przyjechał swoim fiatem. No, i pan magister inżynier. Starszy asystent w szkole. To nie w kij dmuchał, jak mówi Melania. Kazek był bezpośredni, natychmiast nawiązał kontakt z Hedwig i Hansem. Zna niemiecki, może nie tak płynnie mówi, ale rozumie wszystko. Wyszli razem z Hansem do swoich samochodów. Hans, jak pisała wcześniej Hedwig, był dobrym kierowcą i znał się na mechanice. A mojemu Kazkowi te rzeczy nie nowina. Obydwaj mogli się nagadać.

Ja wyszedłem do gospodarstwa. Musiałem zrobić wieczorny obrządek. A siostry zostały same. Dwadzieścia lat temu to może miałbym pewne obawy, zostawiając Gertę sam na sam z Hedwig. Pewne sprawy były jeszcze płynne. Gerta dopiero wrastała (jak powiedział wujek Kozioł, któremu opowiadałem o pierwszych latach spędzonych tutaj) w krajobraz, w nową rodzinę. A dzisiaj Gerta przypomina mi zdrowe drzewo, które silnie trzyma się korzeniami ziemi. Nie ma mowy o tym, aby cokolwiek zburzyło jej spokój. Gerta jest nawet silniejsza ode mnie. Ja poddaję się nieraz zmęczeniu gryzą mnie wątpliwości, załamuję się. Nikomu o tym nie mówię, bo i po co. Płakanie nie leży w mojej naturze. Toteż wszyscy myślą, że jestem silny. A to tak nie jest. Gerta zna mnie i potrafi w odpowiedniej chwili dodać mi otuchy. Opowiadam ci o tym, bo jednak chcę, żebyś znał prawdę. Nie lubię odpustowych malowanek. Wyrosłem już z tego. Przy moich spirytusach także się czegoś nauczyłem. Myślisz, że nie podglądałem ich, jak studiowali? Nie przysłuchiwałem się ich rozmowom? A myślisz, że mnie Melania nie nauczyła wielu rzeczy? Popatrz, jaka ta nasza matka. Niby prosta kobieta, a nieraz tak coś powie, jak uczona. A przy tym ma takie ciekawe spojrzenie. Patrzy na ciebie i przymruża oczy. A co się kryje pod powiekami? Drwina? Złośliwość? Może i jedno i drugie, lecz ja widzę uśmiech. Zwyczajny, dobry uśmiech.

Z Kazkiem nie rozmawiałem o Maryni, którą, huncwot, porzucił. W ogóle zachowywaliśmy się tak, jak gdyby między nami nie było śladu nieporozumienia. Co do tego, nie trzeba było nam się umawiać. Konspiracja, jak w czasie okupacji. — Kaziutek — mówiłem do niego. — A jak tam na twojej uczelni? — A kiedy będziesz robił doktorat? Chciałem, aby oni wiedzieli, z kim mają do czynienia. I trzeba powiedzieć, że nasze uwagi czyniły na gościach wrażenie. Widziałem jak Hedwig zaciska usta. W pewnej chwili powiedziała, że Hans zamierza studiować zaocznie. Że jeden profesor, któremu naprawiał samochód, wyraził się po rozmowie z Hansem, że wszystko uczyni, aby taki talent się nie zmarnował. Mutti! — Hans chciał uciszyć matkę, lecz ta nie dała się zbić z tropu. W dalszym ciągu mówiła o zaletach swoich dzieci. — A jak się Izabeli powodzi, jakiego ma dobrego męża! — mówiła. Kazek mrugnął na mnie i zaproponował, żebyśmy urządzili na cześć gości koncert. Dawno nie grałem razem z Kazkiem. Chętnie sięgnąłem po harmonię. Kazek wziął skrzypce. Usiedliśmy wszyscy w bawialni na dębowych, rzeźbionych krzesłach. Gerta podesłała Hedwig gruby wełniany dywanik. Na stole stał mój trójniak. Kazek przeciągnął smyczkiem po strunach. Ja pojechałem palcami po klawiszach. I nie zmawiając się zaczęliśmy wygrywać melodie partyzanckie. Hedwig i Hans nie znali tych pieśni. Nie znali słów. Nie mogli się przeto uczuciowo ustosunkować do naszego koncertu. Ale urzekły ich melodie. Hans nawet próbował wtórować głosem. Miał ładny, czysty bas".

* * *

Pobyt Hedwig i Hansa u Bronków został upamiętniony kilkudziesięcioma zdjęciami. Niektóre z nich zasługują na uwagę. Te właśnie Bronek kazał wkleić do albumu. Oto zdjęcie Hedwig i Gerty na plaży. Siostry stoją przy brzegu. Za nimi faluje morze. Zdjęcie jest ostre. Widać dokładnie każdą zmarszczkę na wodzie. Dzień jest pogodny, więc morze spokojne. Spokój rysuje się także na twarzach kobiet. Obydwie są uśmiechnięte. Trzymają się za ręce. Gerta ma postać smukłą. Bronek jeszcze teraz o niej powiada: „Fajna babka". Hedwig jest tęga i nieco niższa od Gerty. Zdjęć znad morza jest więcej. Hans przywiózł ze sobą dwa aparaty i nie próżnował. Fotografował wszystko: ludzi, drzewa, morze, domy. Bronek odstąpił gościom pokój w swoim domu nadmorskim. Hedwig przebywała tam z Gertą i Hansem przez cały tydzień. „Hedwig zdurniała na widok tego domu — mówi Bronek. — Nie chciała wierzyć, że posiadamy coś takiego". „Oni w wiele rzeczy nie chcą uwierzyć" — dodaje Melania. „Niewierne Tomasze. Muszą dotknąć ręką, żeby się przekonać, że coś żyje". Melania była powściągliwa w okazywaniu przyjaźni do Hedwig. Bronek mówił, że Melania zachowywała się jak pani z Krakowa, która przyjeżdża na prowincję. Trudno zresztą mówić o przyjaźni, to zrozumiałe. Dla Melanii Hedwig była zaprzeczeniem Gerty. W Gercie widziała wszystko: i piękno, i mądrość, i czułość. Gerta, chociaż młodsza (tłumaczyła Melania), nie uciekła na Zachód. Została w domu ojca. Jakby inna krew w niej płynęła. To oczywiście wyrażenie Melanii. A Hedwig zdradziła ojcowiznę. Znalazła sobie dom na obczyźnie. „Może miała innego ojca" — mruczy ze złością Melania. „Wy, ciotko, czasami powiecie coś takiego, co wam nie przystoi". Ciotka była zaskoczona moim zarzutem. Pokiwała kilka razy głową. „Ejże — odparła — lepiej ze mną nie zaczynaj. Ja wiem lepiej od ciebie i od każdego z was, co przystoi, a co nie. Nie będę ci przypominać twoich grzechów". „Lepiej nie przypominajcie" — odparłem. Ciotka spojrzała na mnie. „A widzisz!" Bronek nie zabierał głosu, ale widziałem, że jest po stronie matki. Pierwsze dni pobytu swojej szwagierki, kiedy musiał zabawiać się w gościnnego gospodarza, traktował jako zło konieczne. Starał się być uśmiechnięty. Mówił potem: „Cholera, nie uwierzysz, ile mnie to kosztowało. Lutek by powiedział, że żałuję im chleba. On zawsze tak mnie obmawia. To cwaniak lepszej marki. O, nie. Mnie było żal czasu. A powiem ci tak szczerze, że nie mogłem się przełamać. Nie wierzyłem jej. Nie wiem w końcu, jaka ona jest. Czy taka, za jaką się podawała? Bo usta miała miodem wysmarowane. Była serdeczna, jak ona nas wszystkich kocha, mówiła.

To jest fotografia przy Piaskowej Górze. Na zdjęciu są Mariankowie z Marynią, Bronek i Gerta oraz Hedwig i Hans. Marianek przypomniał historię Adama, jego starania o szkołę w Prusach przed wojną i aresztowanie. Jego proste opowiadanie, w którym nie było słów zbędnych, sprowadzające się do suchego sprawozdania: przyszli, nie dali się pożegnać, zabrali, sąsiad Knapp ostrzegł, żeby na to miejsce nie przychodzić, bo są śledzeni, wywarło duże wrażenie. Marynia tłumaczyła po cichu Hansowi słowa Marianka. Hedwig miała zaciśnięte usta i twarz, jak powiedział potem Bronek, jakby nieobecną. „Przeżywała to i mówię ci, nie wiem, czy nasza Melania nie ma czasami racji. Ta Hedwig coś tam chowa w sercu. Ale to jej sprawa". Kiedy Marianek skończył, Hans zaproponował, żeby sobie zrobić wspólne zdjęcie. Ustawili się więc przed pomnikiem, który przed trzema laty tutaj wzniesiono. Był to kamienny głaz, o nieregularnym kształcie. Na jednej stronie wmurowano tablicę, a na niej wyryto napis, który mówił, że pomnik ten wzniesiono ku uczczeniu pamięci poległych i zamordowanych patriotów, żołnierzy i partyzantów. Znajdowały się tam nazwiska Adama, stryja Józefa, trzech żołnierzy radzieckich, kilkanaście jeszcze innych nazwisk. Głaz stał pośrodku poletka macierzanki. Stanowił doskonałą kompozycję z Piaskową Górą, która wyrastała tuż za nim. Słońce właśnie przechylało się ku zachodowi. Czarny cień pomnika położył się na zboczu wzgórza i załamał na nim. Na fotografii widać ten cień i płaskie cienie ludzi, którzy ustawili się twarzami ku słońcu.

(Fragment większej całości)

PORTRETY

SKOK Z ANTRESOLI

Dalszy ciąg ze str. 1

Pracowała w dwóch komisjach sejmowych: Oświaty i Wychowania oraz Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości. Była łącznikiem między obu komisjami. Sprawy się zazębiały. Na przykład podczas pracy nad nowelizacją kodeksu rodzinnego, oceną stanu bezpieczeństwa, przestępczości. Pisała koreferat do ustawy zapobiegającej pasożytnictwu.

Na dziewięć dezyderatów pięć powstało w wyniku współpracy obu komisji. Sama Komisja Oświaty i Wychowania odbyła pięćdziesiąt osiem posiedzeń. Główne owoce jej pracy: Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela oraz uchwała o systemie edukacji narodowej.

Prace kontrolne. Wyjazdy w teren. Ocena pracy gminnych szkół zbiorczych, sportu szkolnego, wizytacja Domów Dziecka. Premier wyasygnował pięćdziesiąt milionów złotych na zakup odzieży i sprzętów do Domów Dziecka.

— Czy praca w komisjach pomogła pani w rozwiązywaniu problemów na własnym podwórku?

— Tak! Gros członków komisji stanowią pedagodzy. Wymiana uwag, doświadczeń, pomysłów, „podglądanie" innych placówek.

Dzwoni telefon. Cyrki z tym telefonem, po trzy rozmowy się nakładają. Sama odbiera, bo sekretarki wyszły do banku po wypłatę. Wybiega, krzyczy:

— Pani Gieniu, mąż dzwoni w ważnej sprawie!

Wsuwa się kierownik tej brygady od cyklinowania.

— Nie można znaleźć tej cholernej wtyczki — rozkłada bezradnie ręce. Szlag by to trafił!

2.

Jej droga do zawodu nauczycielskiego.

Mówi, że to ograne, ale jako dziewczynka w trakcie zabaw zawsze była nauczycielką.

Jest spontaniczna, nie bez wzruszenia wraca do przeszłości. Nie przerywam. Ona musi to wszystko opowiedzieć. Bez własnych doświadczeń życiowych jako posłanka nie potrafiłaby tak dobrze zrozumieć wyborców, zająć się z troską ich problemami.

Urodziła się w Częstochowie, matka pielęgniarka, ojciec lekarz. W sierpniu 1939 roku wyruszyli do Grabowa. Bomba rozbiła wagon. Matka została z dwojgiem dzieci i walizką z pieluchami. W Grabowie szafa od kościelnego, łóżko od księdza. A ojciec domu nie wybudował, sadu nie założył i nie kupił samochodu. Kiedy zmarł, zostawił kilka tysięcy na książeczce. Wiejski lekarz? Tak, ale postępował jak Judym, co żona, musząca wyżywić i ubrać rodzinę, przyjmowała z dezaprobatą. Ojciec leczył biednych ludzi. Nie brał od nich pieniędzy. Dał jej wykształcenie.

— Miałam dwanaście lat, kiedy wyszłam z domu. Mieszkałam w Łodzi. W internacie, na stancji, potem w akademiku. Jako siedemnastoletnia dziewczyna zdałam maturę. Wybrałam biologię na uniwersytecie. Mój dom rodzinny był bardzo tradycyjny, polski, łączyła nas głęboka więź rodzinna. Zamiast do kina lub teatru, jeździłam do Grabowa.

W osiemnastym roku życia zakochała się w sześć lat starszym od niej magistrze chemii, a w rok później wyszła za mąż. Decydowało uczucie, ale również chęć stabilizacji, stworzenie własnej rodziny. Rodzice oburzeni. Wydziedziczyli ją. Jasne, przecież koniec z nauką!

— A ja byłam szczęśliwa, że mam do kogo wracać i nie muszę biegać na randki. Mieszkaliśmy kątem u teściowej. I na sublokatorce. Wchodziło się po drabinie na antresolkę, gdzie stało żelazne łóżko, dwa krzesła i wisiała zasłonka, pod którą składaliśmy odzienie.

Na uniwersytecie robiła pracę z zoologii. W związku z tym, będąc w zaawansowanej ciąży, łapała owady w sadzie na Widzewie. Kierownik Dałek załamywał ręce i mówił: „Pani Mario, ja wszystko pani złapię, tylko proszę stąd iść, bo mi pani jeszcze w sadzie urodzi".

— Trzydziestego maja urodziłam córkę, a osiemnastego czerwca broniłam pracy magisterskiej. Gdyby pan był kobietą, zrozumiałby pan, co czułam: że za chwilę spadnę z krzesła...

Dyplom zrobiła na bardzo dobrze i została nobilitowana przez rodzinę. Mieszkanko ciasne, ale mąż, pracownik „Polfy", był już członkiem spółdzielni mieszkaniowej. Na rok wyniosła się na wieś. Mąż wędrował w odwiedziny.

— I teraz, kiedy przychodzi do mnie młode małżeństwo w sprawie mieszkania, przed oczyma stają mi tamte smutne chwile rozstania...

Najczęściej ludzie przychodzą do Posła w sprawie mieszkania...

Znowu dzwoni ten cholerny telefon. Facet z jakiejś instytucji. Umówił się na dziesiątą i poszedł gdzieś. To do niego podobne.

3.

Był maj, w jednej wsi gorące zebranie, bo mieli przenosić gminę. Świetlica jakby podminowana (znam to z Mazewa!), ludzie patrzą z zaciętością, spode łba. Maria Kotlicka wstała i zaczęła przemawiać do rozsądku. Jak skończyła, to wstała kobieta potężna, szefowa Koła Gospodyń w stroju ludowym i w te uderzyła słowa:

— O, Maryjo, posłanko nasza, wielką radość nam sprawiłaś, że do nas przybyłaś. I wierzymy, Maryjo, że nas uratujesz, bo matki nasze stare skonają, dzieci zemrą w ciemnocie, a do gminy innej nie pójdą.

A kiedy skończyła, spokojniejszym głosem dodała, że widząc tę młodą posłankę myślała, iż ma nie tak w głowie poukładane, ale skoro tak ładnie mówiła, to w porządku. I atmosfera została rozładowana.

Innym znów razem na dyżur poselski wpada kobiecina i krzyczy, że okno jej się nie zamyka.

— Jak nie będzie haczyka, to sama dzieci dobiję!

Oko u kobiety błyszczy normalnie, więc Kotlicka wysłuchuje. W starym domku był remont. Nie wymienili futryn. W stare drzewo haczyk nie wchodzi. Zimno wieje i dzieci wciąż przeziębione.

Telefon do ADM i sprawa z głowy. Poseł dzwoni w sprawie haczyka. Jest ostatnią instancją odwoławczą. Śmieszny problem haczyka, a to przecież dowód, iż ludzie mają zaufanie i że z Posłem władze się liczą. Przychodzą interesanci ze sprawami osobistymi (porachunki w sądzie, wykup działek lub domu), proponują, czynią uwagi związane z ważnymi problemami społecznymi, np. walka z alkoholizmem i chuligaństwem.

— Która z załatwionych spraw dała pani największą satysfakcję?

— Socjolog Lichnowski, lat dwadzieścia cztery, działacz ZMS. Cierpiał na odklejenie siatkówki. Trzy razy operowany w kraju, bez rezultatu. Tracił wzrok, przy powitaniu nie mógł trafić do ręki. Myślał o operacji w Szwecji lub USA. Potrzebna była opinia trzech ekspertów światowej sławy i przydział dewiz. Drążyłam wszędzie, również w Ministerstwie Zdrowia. Młody człowiek został operowany w Szwajcarii. Jest lepiej...

— Są sprawy nie do załatwienia?

— Wiele. Pamiętam sprawę emeryta ze spółdzielni. Pytał, czemu wypracowane przez pracowników nadwyżki, które akumulują się na korzyść spółdzielni, nie wliczane są do emerytur. Sąd Najwyższy orzekł, iż takiej możliwości nie ma.

Częste kontakty z problemami życia dorosłych dają pewne wskazówki do pracy wychowawczej. Konfrontacja teorii z życiem. Mówić do młodzieży bez zakłamania, bo w życiu czyhają pułapki. Z młodymi rozmawiać jak z równorzędnymi partnerami. Jeżeli zadają trudne pytanie, nie można odpowiedzieć: „Głupi jesteś!" Wspólnie rozważyć, kto z nas ma rację.

Wbiega ta pani w białym fartuchu.

— Mireczki nie ma! Sześć lekcji, trzeba łączyć klasy. Pani dyrektor nie weźmie zastępstwa?

— Wzięłabym, ale o trzynastej mam WUML...

4.

Jednym tchem nie da się tego wymienić. W szkole: dyrektorstwo, wykładanie przedmiotu pt. „przygotowanie do życia w rodzinie", sprawy administracyjne, wielogodzinne rady pedagogiczne, wywiadówki, uniwersytet dla rodziców.

Do grudnia przewodnicząca ZW Towarzystwa Planowania Rodziny i członek prezydium ZG tego towarzystwa. Pisanie prac do czasopism fachowych, współpraca z filmem.

Dyżury poselskie w Pabianicach, Wojewódzki Zespół Poselski, spotkania z wyborcami w terenie, studia na WUML.

Miała trzydzieści cztery lata, kiedy została dyrektorem i zaraz potem Posłem na Sejm.

— Niektórzy mówią, że się wykończę, ale ja się pracy nie boję. Kłócę się, niektóre sprawy załatwiam uśmiechem, ale nigdy wiele nie obiecuję. Im więcej roboty, tym szybciej się robi. Jak się noga potknie, to zawsze ktoś pomoże.

Ze wzruszeniem patrzy na stare jaśki z internatowym oznakowaniem. Nigdy nie marzyła o samochodzie. Ma teraz wszystko: dom, rodzinę, samochód.

Mąż przygotowywał się do doktoratu z chemii. Strzykało go w głowie, a ją strzykało w boku i gdzie indziej. Urodziły się bliźniaki. Dwie córki. Męża to nie załamało, zrobił doktorat. Załamuje się, kiedy żona każe mu obcinać jakieś ogonki od agrestu. Bo ona sama gotuje, pierze, robi weki i przeciery. Chciałaby, żeby córki tak ciężko nie pracowały, ale najstarsza już „wgryzła się" w harcerstwo.

— Jak nie mam siły czytać i mówić, ruszam z rodziną w pole. Choroby i zmęczenie wykorzystuję na haftowanie. Lubię towarzystwo, w karnawale byłam na pięciu zabawach. A co, mam zwiesić głowę? Kupić deski i zbijać trumnę?

Odprowadza mnie do drzwi wejściowych. W holu cisza, na szybach krople deszczu. Słyszę jeszcze jej słowa:

— Chcę zbudować w szkole kryty basen. Przez ten basen życie bym postradała: jechałam oglądać „Agrykolę" i samochód się wywrócił. To będzie basen osiedlowy. Mam dokumentację, pieniądze i poparcie, mogłam już otrzymać konstrukcje i aluminium, ale bez papierków mi nie wierzono. Zebrałam. W przyszłym roku zacznie się budowa.

Ludzie pragną zostawiać po sobie pomniki. Nie należy się wstydzić tych pragnień. Ale ważniejsza jest pamięć i wdzięczność ludzka. Myślę, że Maria Kotlicka już je zaskarbiła.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: W. Parys

FILM

„OBRAZKI Z ŻYCIA"

Podejrzewam, i chyba słusznie, że większość z nas lektury tygodników zaczyna od felietonów, które dzięki przypisanym im prawom i przywilejom są swoistymi oazami swobody myśli i poglądów. Czytelnik szuka też w felietonie świeżości i odwagi. Ceni felietonistę za bystrość spojrzenia oraz oryginalność komentarza i interpretacji, ocenia jego literackie talenty, jako że spośród wszystkich gatunków dziennikarskich felieton tych właśnie umiejętności najbardziej wymaga. Felietony o tematyce społeczno-obyczajowej, kulturalnej, popularno-naukowej itp. wypełniając łamy naszej prasy, częstokroć mają ogromny wpływ na poczytność tych czy innych tygodników. Piszę o tygodnikach, gdyż gazety codzienne, w których felietony też mają swe miejsce, funkcjonują na nieco innych prawach.

O popularności felietonu, którego nie sposób traktować li tylko jako rzecz przelotną, chwytającą życie na gorąco, świadczy fakt, że zbiory ich tekstów firmowane przez ulubionych przez czytelników felietonistów, znikają z księgarń błyskawicznie. Jako przykład niech posłużą tylko tomy felietonów Jerzego Urbana — Kibica, Krzysztofa Teodora Toeplitza czy Macieja Iłowieckiego.

Felieton literacki wspominam, gdyż słów kilka poświęcić pragnę filmikowi, którego rodowodu w nim właśnie szukać trzeba. Mowa o „OBRAZKACH Z ŻYCIA", filmie zrealizowanym w oparciu o kilka wybranych felietonów Jerzego Urbana — Kibica, a powstałym w Zespole Filmowym „X". Reżyserowała go grupa młodych, w większości, reżyserów. No cóż? Należąc do bardzo licznego grona wielbicieli pióra Jerzego Urbana, jednego z najbardziej zadziornych naszych felietonistów, nie mogę niestety z tym samym entuzjazmem odnieść się do tego filmu. „Obrazki z życia" potwierdziły fakt, że o wartości felietonu nie decyduje jedynie wybór tematu i anegdota, choćby najbardziej, przez swe życiowe nieprawdopodobne prawdopodobieństwo, atrakcyjna i niezwykła. Wyprana z literackiej finezji relacja staje się płaska, choćby była najbardziej zabawna i ciekawa. Tak też się stało, gdy filmowcy wypreparowawszy z felietonów Kibica anegdoty, nadali im jedynie obrazkowy tok, nie troszcząc się o filmowe ekwiwalenty literackiej stylistyki felietonu.

W efekcie przez półtorej godziny oglądamy i słuchamy mniej lub bardziej dowcipnych skeczy, zapominając niemal o tym, o czym zawsze przy felietonie pamiętamy, że są to „obrazki z życia". Owszem, śmiejemy się nawet od czasu do czasu, ale nie jest to śmiech, który towarzyszy lekturom pierwowzoru.

Nie jest przy tym przecież prawdą, że felieton jest tylko gatunkiem literacko-dziennikarskim. Felieton bowiem na przykład od lat króluje w Polskiej Kronice Filmowej, która w ten sposób nie przegrywa konkurując z Telewizją Polską. Ta ostatnia odebrała PKF walor aktualności, kronika wydarzeń — audiowizualna gazeta dominuje dziś w telewizji a nie w kinie. Niemniej kronika filmowa nadal chętnie jest oglądana przez widzów. Dzięki temu właśnie, że jej autorzy dostrzegłszy siłę konkurenta, poczęli preferować felieton jako ten gatunek filmowego dziennikarstwa, który jej się oprze. Tak więc, wyznam szczerze, że oglądając „Obrazki z życia" myślałam o tym, że czas im poświęcony chętniej zmieniłabym na seans, na którym obejrzeć by można montaż najlepszych felietonów wybranych z Polskiej Kroniki Filmowej, na tej samej zasadzie jak czyta się w wydaniu książkowym felietony KTT czy Urbana. Miałabym wtedy do czynienia z autentycznymi obrazkami z życia.

Jako reprezentantka narodu znakomitych pomysłodawców proponowałabym natomiast rozbicie filmu Zespołu „X" na miniskecze i okazjonalne prezentowanie ich w programie TVP w miejsce lub na wzór najróżniejszych teledysków, które pełniąc często niestety tylko funkcję łatania dziur, mogłyby mieć przecież swe autentyczne i autonomiczne walory. Sądzę, że komizm kilku skeczy z filmu „Obrazki z życia" uzyskałby blask jaśniejszy, gdyby nie oglądało ich się w takiej kumulacji.

I jeszcze jedna uwaga. Przypuszczam, że kierownictwu Zespołu „X" towarzyszyła przy realizacji tego filmu szlachetna intencja stworzenia młodym filmowcom szansy zrobienia choćby małego filmiku. Choć pono intencje się liczą, nie tędy jednak droga. Telewizja Polska daje młodym szanse ambitniejsze. A przy tym, patrząc na czołówkę filmu, pamiętałam o tym, że Krzysztof Gradowski jest świetnym i wcale nie tak młodym stażem dokumentalistą, że oglądałam kiedyś bardzo dobry film telewizyjny Feliksa Falka pt. „Nocleg" i ładny film Barbary Sass-Zdort „Dziewczyna i gołębie". Czy im też szansa w postaci „Obrazków z życia" była potrzebna?

EWA NURCZYŃSKA

HIPOTEZY (II)

CO WIDZIAŁ PROROK?

Kim był Ezechyjel?

Na to pytanie odpowiada **Josef F. Blumrich** w książce **The Spaceships of Ezekiel**, wychodząc z założenia, że kiedy analizuje się czyjąś relację, należy również wiedzieć coś więcej o autorze przekazu.

Z jego własnych pism wynika — stwierdza J.F. Blumrich — że Ezechyjel był deportowany do Babilonu około roku 597 p.n.e. i mieszkał w Chaldei nad rzeką Chebar. Księga „Proroctwo Ezechyjelowe" zaczyna się od roku 593 lub 592 p.n.e. gdy sam prorok miał około trzydziestu lat. Był kapłanem.

„Proroctwo Ezechyjelowe" było powodem ciągnących się przez stulecia kontrowersji. Okazało się, że w wielu miejscach jest ono sprzeczne z Prawem Mojżeszowym. Niewiele brakowało, aby tekst proroka został całkowicie odrzucony. Człowiekiem, który uratował go dla nas jest rabin Chananiah, żyjący w pierwszym wieku naszej ery. Rabin studiował tekst proroka długo i dokładnie i w końcu zdołał „pogodzić wszystkie rozbieżności". Ale mimo tego wysiłku wiele jeszcze rozbieżności pozostało.

Jest zupełnie prawdopodobne, że Ezechyjel opowiadał o swych wizjach i przeżyciach słuchającym go ziomkom, z których jeden lub kilku notowało jego słowa. Sam Ezechyjel mógł był także robić notatki. Po jego śmierci ktoś inny mógł zebrać cały materiał w formie jednej księgi. To wyjaśniałoby pewną chaotyczność opisu.

Co nam przekazał Ezechyjel?

Tekst przedrukowuję z Biblii drukowanej w Wielkiej Brytanii:

1 : 1. I stało się trzydziestego roku, miesiąca czwartego, piątego dnia tegoż miesiąca, gdym był w pośrodku pojmanych u rzeki Chebar, że się otworzyły niebiosa i widziałem widzenie Boże.

1 : 4. I widziałem, a oto wiatr gwałtowny przychodził od północy, i obłok wielki, i ogień pałający, a blask był około niego, a z pośrodku jego wynikała jakoby niejaka prędka światłość, z pośrodku mówię, onego ognia.

1 : 5. Także z pośrodku jego ukazało się podobieństwo czworga zwierząt, których takowy był kształt: Podobieństwo człowieka miały.

1 : 6. A każde po cztery twarze, także po cztery skrzydła każde z nich miało.

1 : 7. Nogi ich były nogi proste, a stopa nóg ich jako stopa nogi cielęcej, a lśniały się właśnie jako miedź wypolerowana:

1 : 8. Ręce ludzkie były pod skrzydłami ich po czterech stronach ich, a twarze ich i skrzydła ich na czterech onych stronach;

1 : 9. Skrzydła ich spojone były jedno z drugim, nie obracały się, gdy chodziły, ale każde wprost na swą stronę chodziło.

1 : 10. A podobieństwo twarzy ich takie: Z przodku twarz ludzka a twarz lwia po prawej stronie każdego z nich, a twarz wołowa po lewej stronie wszystkich czworga, także twarz orła z tyłu miało wszystko czworo z nich:

1 : 11. A twarze ich i skrzydła ich były podniesione ku górze; każde zwierzę dwa skrzydła spajało z dwoma skrzydłami drugiego, a dwoma przykrywały ciało swoje;

1 : 12. A każde z nich wprost na swą stronę chodziło; kędykolwiek duch chciał, aby szły, tam szły, nie obracały się, gdy chodziły.

1 : 13. Także podobieństwo onych zwierząt na wejrzeniu było jako węgle w ogniu rozpalone, palące się jako pochodnie; ten ogień ustawicznie chodził między zwierzętami, a on ogień miał blask, z którego ognia wychodziła błyskawica.

1 : 14. Biegały też one zwierzęta, i wracały się jako prędkie błyskawice.

1 : 15. A gdym się przypatrywał onym zwierzętom, a oto koło jedno było na ziemi przy zwierzętach u czterech twarzy każdego z nich;

1 : 16. Na wejrzeniu były koła, i robota ich jako barwa kamienia Tarsys, a podobieństwo było jednakie onych czterech kół, a były na wejrzeniu i robota ich, jakoby było koło w pośrodku koła;

1 : 17. Mając iść na cztery strony swoje chodziły, a nie obracały się, gdy chodziły.

1 : 18 Dzwona taką wysokość miały, aż strach z nich pochodził; te dzwona w około wszystkich czterech kół pełne były oczów.

1 : 19. A gdy chodziły zwierzęta, koła też chodziły podle nich; a gdy się podnosiły zwierzęta w górę od ziemi, podnosiły się i koła.

1 : 20. Gdziekolwiek chciał duch, aby szły, tam szły: gdzie mówię duch chciał, aby szły; a koła podnosiły się przed niemi, bo duch zwierząt był w kołach.

1 : 21. Gdy one szły, szły i koła, a gdy one stały, stały; a gdy się podnosiły od ziemi, podnosiły się też koła z niemi; bo duch zwierząt był w kołach.

1 : 22. Nad głowami zwierząt było podobieństwo rozpostarcia jako podobieństwo kryształu przezroczystego rozciągnionego nad głowami i z wierzchu;

1 : 23. A pod onem rozpostarciem skrzydła ich były podniesione, jedno z drugim spojone; każde miało dwa, któremi się przykrywało, każde, mówię, miało dwa, któremi przykrywało ciało swoje.

1 : 24. I słyszałem szum skrzydeł ich, jako szum wód wielkich, jako szum Wszechmocnego, gdy chodziły, i szum huku jako szum wojska; a gdy stały, spuściły skrzydła swoje.

1 : 25. A gdy stały i spuszczały skrzydła swoje, tedy był szum z wierzchu nad rozpostarciem, które było nad głową ich.

1 : 26. A z wierzchu na rozpostarciu, które było nad głową ich, było podobieństwo stolicy na wejrzeniu jako kamień szafirowy, a nad podobieństwem stolicy, na nim z wierzchu na wejrzeniu jako osoba człowieka.

1 : 27. I widziałem na wejrzeniu jakoby prędką światłość, a wewnątrz w niej w około na wejrzeniu jako ogień od biódr jego w górę; także też od biódr jego na dół widziałem na wejrzeniu jako ogień, i blask około niego.

1 : 28. Jaka bywa tęcza na wejrzeniu, która bywa na obłoku czasu deszczu, taki był na wejrzeniu blask w około. Toć było widzenie podobieństwa chwały Pańskiej, które gdym widział, upadłem na oblicze swoje, i usłyszałem głos mówiącego.

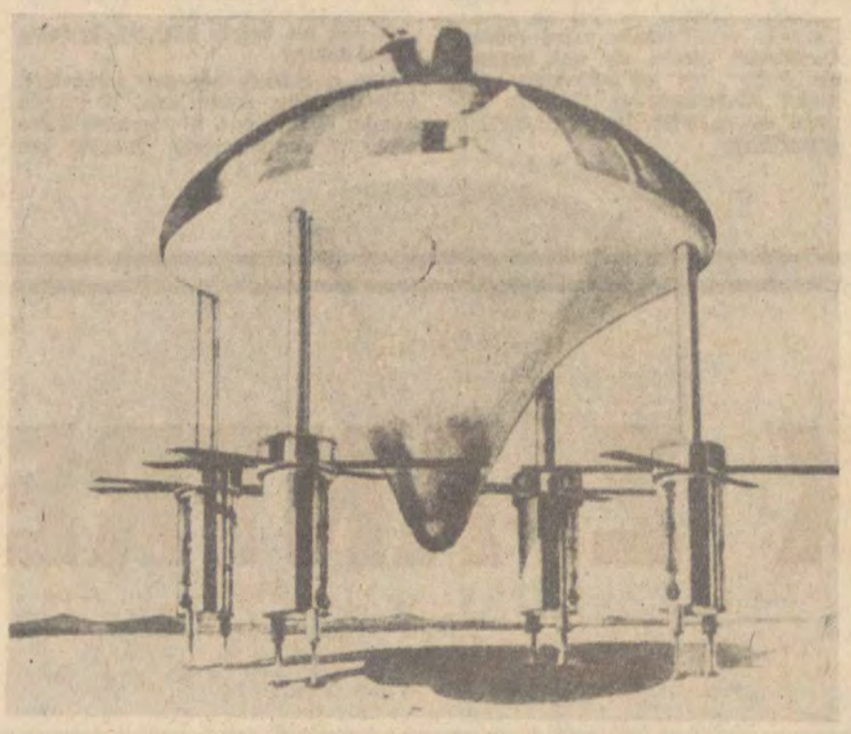

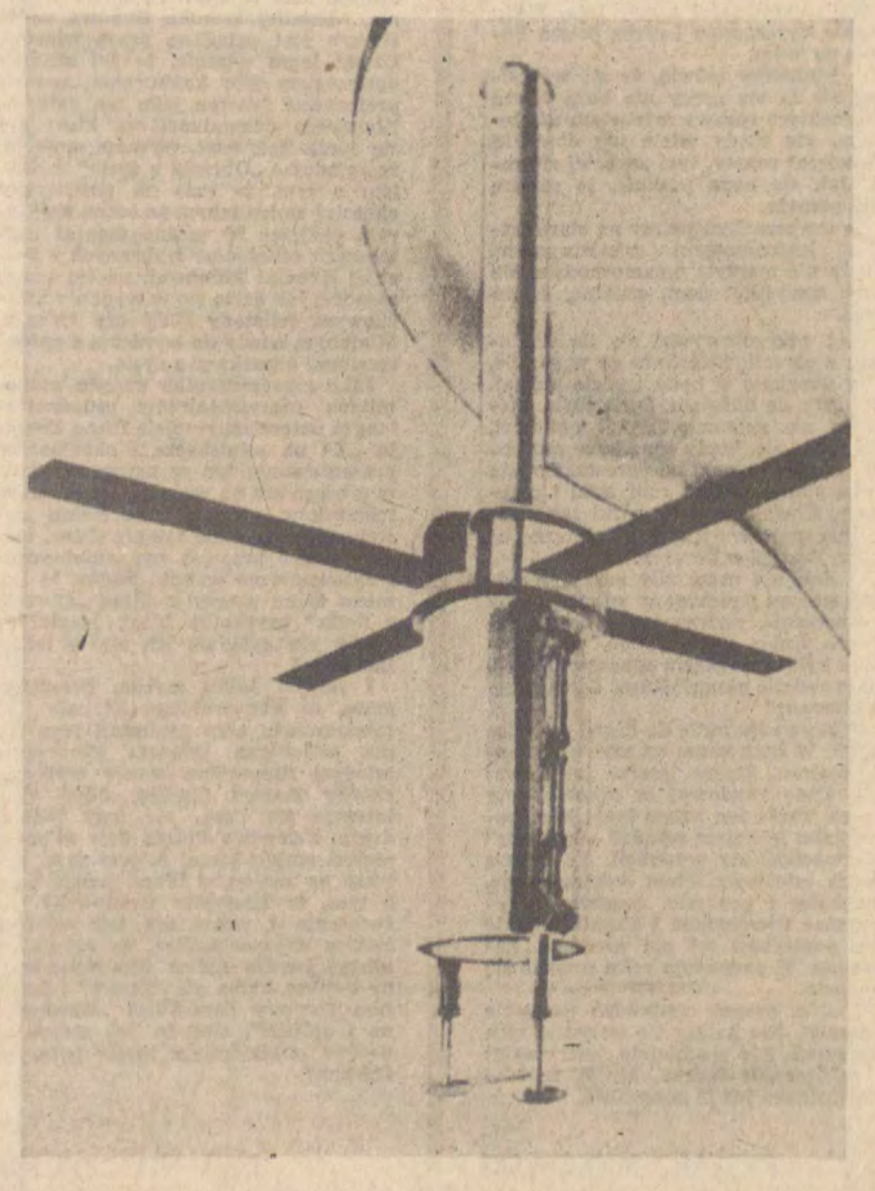

Co Ezechyjel opisuje?

Jego relacja rozpoczyna się bez żadnego wstępu, równie niespodziewanie jak to, co obserwował. Ryk włączonego w tym momencie silnika rakietowego wdziera się w ciszę i prorok podnosi głowę. Wydaje się, że otwarły się z hukiem niebiosa. Płomienie silnika rakietowego wystrzeliwują ze środka białej chmury gazów. Słychać stamtąd również grzmoty i widać oślepiające błyski. Po chwili udaje się Ezechyjelowi dostrzec jakieś cztery wydłużone kształty, nad którymi porusza się coś nieokreślonego. W dolnej części tych form widać proste nogi z okrągłymi stopami. Przez moment wydaje się, że są to istoty ludzkie. Po chwili jednak, gdy nikną chmury oraz oślepiający blask silnika, prorok wyraźnie widzi, że formy te mają poruszające się skrzydła. Pod skrzydłami wiszą im wzdłuż ciała ręce,a u góry widać kształty i cienie przypominające twarze. Podobieństwo do ludzi nie jest całkowite, lecz, cokolwiek to jest, musi to być żywa istota. Istota ta właśnie zniża się na ziemię, całkiem blisko.

Musimy ciągle pamiętać, że Ezechyjel nie interpretuje tego, co widzi, bo nie jest w stanie tego zrobić. To, co w miarę swych sił opisuje, to impresje akustyczne i optyczne.

Statek oddzielił się od pojazdu macierzystego na orbicie, na wysokości prawdopodobnie 220 mil morskich. Podczas lotu przez atmosferę jego szybkość była redukowana przez siły aerodynamiczne. Stosunkowo niedaleko od powierzchni ziemi włączony na krótko silnik rakietowy zredukował szybkość na tyle, że statek mógł użyć helikopterów w dalszej fazie lądowania. Ezechyjel obserwuje właśnie tę ostatnią fazę od momentu włączenia silnika rakietowego.

Później prorok widzi jak statek unosi się kilka stóp nad ziemią w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do lądowania. Krótkie wybuchy rakietowych silników korekcyjnych znajdujących się w członach helikopterów widzi Ezechyjel jako „ogień, który chodził między zwierzętami" i jako „błyskawice". Kieruje to jego uwagę na okolice pomiędzy „zwierzętami" (członami helikopterów), gdzie widzi chłodnicę reaktora, „jako węgle w ogniu rozpaloną".

Statek wylądował. Z każdego członu helikoptera wysuwa się teraz koło. Proste nogi z okrągłymi stopami nie dotykają już ziemi.

Koła! Wśród natłoku niezrozumiałych zjawisk jest nareszcie coś, co Ezechyjel już widział i zna. Wystarczający to powód, aby im się dobrze przyjrzeć i szczegółowo opisać.

Cóż to są jednak za dziwne koła? Poruszają się i obracają w taki sposób, że trudno to zrozumieć. Tyle jest w nich ruchu, że wydaje się „jakoby było koło w pośrodku koła". Poza tym, nie sposób zrozumieć jak koła te poruszają się po ziemi. Znane Ezechyjelowi koła toczą się tylko w jednym kierunku; aby zmienić kierunek trzeba dokonać skrętu koła. Tutaj jednak koła poruszały się w dowolnym kierunku... „a nie obracały się, gdy chodziły"! Nie ma też pojęcia Ezechyjel, że koła muszą mieć na obręczach specjalne występy zwiększające ich przyczepność przy ruchu jednocześnie w dwu kierunkach; dla niego koła „pełne były oczów".

Skończywszy obserwować koła widzi prorok, że skrzydła helikopterów są złożone: po dwa w górę, po dwa w dół. Nad helikopterami widzi „podobieństwo rozpostarcia" (w wersji angielskiej — firmament). Spostrzega też, że hałas, który przypisywał skrzydłom zmniejszył się i że dochodzi teraz „z wierzchu nad rozpostarciem". Nie ma jednak szans, aby zrozumiał, że to zmniejszenie się hałasu wynikło na skutek przełączenie silników na bieg jałowy.

Patrzy teraz Ezechyjel ponad sklepienie „rozpostarcia" i widzi nierealną, prawie niematerialną, mieszaninę koloru i światła, wśród której widzi człowieka siedzącego na „stolicy" (wersja ang. — na tronie). Światło i zabarwienie przezroczystej kapsuły dowodzenia wywierają większe wrażenie optyczne niż jej prosty kształt geometryczny. Człowiekiem, którego widzi Ezechyjel jest dowódca statku a jego fotel ma niewątpliwe podobieństwo do tronu. Prorok nie może oprzeć się ogromowi tego, co widzi, pada na twarz na znak poddania się i słyszy głos dowódcy statku.

2 : 9. I widziałem, a oto ręka była wyciągniona do mnie, a oto w niej zwinione księgi,

3 : 12. Tedy mię duch podniósł, i słyszałem za sobą głos grzmotu wielkiego;

3 : 13. I szum skrzydeł onych zwierząt, które się naspół dotykały, i głos kół na przeciwko nim, i głos grzmotu wielkiego.

3 : 14. A duch podniósł mię i wziął mię. I odszedłem z gorzkością w rozgniewaniu ducha mego: ale ręka Pańska nademną mocna była.

3 : 15. I przyszedłem do pojmanych do Telabib, którzy mieszkali przy rzece Chebar, i siadłem gdzie oni mieszkali, a siedziałem tam siedem dni w pośrodku ich, zdumiawszy się.

3 : 22. I była tam nademną ręka Pańska, i rzekł do mnie: Wstawszy wyjdź w pole, a tam się z tobą rozmówię.

8 : 2. I widziałem, a oto podobieństwo na wejrzeniu jako ogień; od biódr jego na dół jako ogień, a od biódr jego w górę na wejrzeniu jako blask, i niby prędka światłość.

8 : 3. Tedy ściągnąwszy podobieństwo ręki, uchwycił mię za kędzierze głowy mojej, i podniósł mię duch między ziemią i między niebem, a przywiódł mię do Jeruzalemu w widzeniach Bożych, do wejścia bramy wewnętrznej, która patrzy ku północy, gdzie była stolica bałwana do gorliwości i zapalczywości pobudzająca.

Ezechyjel był bardzo wzburzony podczas pierwszego spotkania statku, przez długi czas udawało mu się powstrzymywać swoje emocje i opisywać wypadki obiektywnie. Jednakże przeżycia związane z lotem są ponad jego siły: nie pamięta żadnych szczegółów, jest całkowicie zaszokowany. Potrzeba mu tygodnia czasu, aby wrócić do siebie.

Drugie spotkanie nie ma znaczenia z technicznego punktu widzenia. Przy trzecim spotkaniu opisana jest pełna napięcia sytuacja związana z pojazdem kosmicznym. Miejsce akcji zasługuje na uwagę, gdyż nie jest to Świątynia Salomona, jak to sugeruje Biblia.

Dowódca zabiera Ezechyjela na przejażdżkę, po czym statek ląduje na wewnętrznym dziedzińcu świątyni. Natychmiast po lądowaniu dowódca wzywa załogę naziemną w liczbie siedmiu ludzi. Po wysłuchaniu rozkazu dowódcy wszyscy oni wychodzą a następnie wraca jeden z nich i w wojskowy sposób melduje o wykonaniu rozkazu. Człowiek ten wyróżnia się spośród innych odzieniem, które wygląda na lniane lecz jest w gruncie rzeczy kombinezonem ochronnym.

Następuje teraz krytyczna sytuacja wyjęcia rozżarzonego do czerwoności elementu z wnętrza korpusu statku. Mechaniczne ramię zagłębia się do wewnątrz, wyjmuje ów element i podaje go mężczyźnie w kombinezonie ochronnym, który natychmiast wychodzi, zabierając go ze sobą. Sytuacja była napięta; dowódca zabezpieczył sobie drogę szybkiej ewakuacji przez zdalne sprowadzenie do siebie na dół kapsuły dowodzenia, a ponadto dowiadujemy się, że w pobliżu czekał jeszcze jeden statek, który mógł być użyty na wypadek nagłej konieczności.

Na szczęście, wszystko udało się znakomicie. Dowódca i prorok wracają w kapsule dowodzenia na szczyt statku i wraz z całym statkiem przelatują na dziedziniec zewnętrzny. W końcu drugi statek zabiera Ezechyjela do domu. Należy dodać, że po pierwszym szoku prorok niesamowicie rozsmakował się w lataniu.

Po dziewiętnastoletniej przerwie następuje czwarte spotkanie, podczas którego dowódca zabiera Ezechyjela do świątyni położonej na bardzo dużej wysokości. Rzeczą przyciągającą uwagę proroka jest tym razem ubranie jednego z ludzi, którego (ubrania) wygląd przypomina brąz lub złoto. Przypomina mu to wcześniejsze spotkanie z dowódcą, którego ubranie szczegółowo opisał ze względu na efekty świetlne przypominające płomienie.

Ezechyjel zostaje pouczony, że ma wszystko dokładnie obserwować i zapamiętać to, co zostanie mu pokazane. Prorok przechodzi kolejno przez zespół budynków, które szczegółowo opisuje. Potem, statek kosmiczny, którym przybyli, przenosi proroka na wewnętrzny dziedziniec świątyni i tu, niestety, relacja Ezechyjela nagle się urywa, tak że nie znamy jej ostatecznego zakończenia.

W tym streszczeniu ominęliśmy szczegóły, które nie są konieczne dla przedstawienia zasadniczej informacji faktycznej, jak też szczegóły nie związane z tą informacją, a więc to, co uważa się za wizje i proroctwa. W wyniku tej prezentacji dane techniczne stały się dużo wyraźniejsze, a wypadki bardziej widoczne jako następujące w logicznym związku.

Opracował:
BOGDAN KRAKOWIAN

NAUKA – PRZEMYSŁ

PAWEŁ PATORA

ŻELIWO

W Instytucie Materiałoznawstwa i Technologii Metali Politechniki Łódzkiej dwaj naukowcy — prof. dr inż. JANUSZ SZRENIAWSKI i dr inż. STANISŁAW PIETROWSKI otrzymali nowy rodzaj żeliwa, które zastosowane do produkcji odlewów pozwala otrzymać je szybciej i taniej niż dotychczas. Oszczędności z praktycznego wykorzystania tego wynalazku w przemyśle wyniosą setki milionów złotych. Bez odlewów żeliwnych niemożliwa jest produkcja większości maszyn i urządzeń, np. silników elektrycznych i spalinowych, maszyn włókienniczych, rolniczych, grzejników do centralnego ogrzewania i innych.

Dr inż. Stanisław Pietrowski

Laikowi może się wydać, że technologie stosowane w odlewnictwie są wyjątkowo proste i produkcja odlewów nie powinna sprawiać większych trudności. Istotnie, prosta jest sama zasada wykonywania odlewów, jednakże, wbrew pozorom, przy produkcji odlewów żeliwnych występuje wiele problemów. Największych bodaj kłopotów przysparzają odlewnikom tzw. zabielenia. Są to jaśniejsze od całości „krupy", zakłócające jednolitą strukturę żeliwa. Wydzielają się one podczas zastygania odlewów i są niekiedy widoczne nawet gołym okiem. Dotychczas produkowane odlewy posiadały ich bardzo dużo, a im więcej zabieleń, tym gorszy odlew. Zabielenia powodują dużą twardość odlewów, która utrudnia, a czasem wręcz uniemożliwia dalszą obróbkę skrawaniem. Podnosi to znacznie koszty produkcji, gdyż wiele narzędzi wykorzystywanych przy obróbce mechanicznej należy do szczególnie kosztownych.

Prof. J. Szreniawski i dr S. Pietrowski podjęli badania w celu otrzymania żeliwa bez zabieleń. Były to pionierskie w kraju prace, zgodne z najnowszymi światowymi tendencjami badań z dziedziny odlewnictwa. Z wojny wypowiedzianej zabieleniom łódzcy naukowcy wyszli zwycięsko. Opracowali skład i technologię otrzymywania odlewów całkowicie pozbawionych zabieleń. W efekcie wielu żmudnych i drobiazgowych badań naukowcy z PŁ tak dobrali skład żeliwa, że otrzymane odlewy nie tylko pozbawione są uciążliwych zabieleń, ale także pod względem pozostałych własności, jak wytrzymałość, „lejność" i inne, nie ustępują odlewom dotychczas stosowanym. Nowe żeliwo nadaje się zarówno do produkcji odlewów grubościennych jak i cienkościennych.

Dzięki korzystnym własnościom nowego żeliwa możliwe jest znaczne skrócenie cyklu produkcyjnego w odlewnictwie, a surowce, które mogą być stosowane przy wytapianiu nowego żeliwa są tanie i łatwo dostępne w kraju.

Twórcy wynalazku mają już powody do zadowolenia. Żeliwo na odlewy cienkościenne zostało opatentowane w kraju i zgłoszone do opatentowania w RFN. Dzięki ścisłej współpracy z Wytwórnią Sprzętu Mechanicznego „PZL — Krotoszyn", wykonującą elementy m. in. dla przemysłu motoryzacyjnego, wynalazek łódzkich naukowców jest już stosowany w przemyśle. Z nowego żeliwa wykonuje się prowadnice do zaworów dla silników stosowanych w samochodach „Warszawa" i „Fiat 126 p". Przy obecnych rozmiarach produkcji zyski, jakie przynosi zastosowanie nowej, oszczędniejszej technologii oraz ograniczenie ilości braków, są więc ogromne, a w przyszłości jeszcze się zwiększą. Przewiduje się, że pod koniec pięciolatki osiągną wartość 100 mln złotych rocznie.

Prof. Janusz Szreniawski

Zjednoczenie Przemysłu Wyrobów Odlewniczych wykazuje duże zainteresowanie wykorzystaniem tego żeliwa w wielu podległych sobie zakładach. Trwają już próby w Koneckich Zakładach Odlewniczych w Końskich, gdzie zamierza się wykorzystać otrzymane w PŁ żeliwo do produkcji rur. Sprawę zastosowania żeliwa niskostopowego rozważa się też w Fabryce Silników Elektrycznych „TAMEL" w Tarnowie oraz w innych zakładach przemysłowych.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt nawiązania współpracy między naukowcami i powstałym niedawno w Łodzi Kombinatem Hydrauliki Siłowej. Wykorzystane w kombinacie odlewy żeliwne muszą posiadać odpowiednie właściwości mechaniczne dostosowane do warunków, w jakich się znajdują (np. bardzo wysokie ciśnienie). Poprawę tych własności można uzyskać na drodze modyfikacji żeliwa, tzn. poprzez uzupełnianie ciekłego żeliwa odpowiednim dodatkiem chemicznym, zwanym modyfikatorem. Prof. J. Szreniawski i dr S. Pietrowski opracowali taki modyfikator, który pozwoli otrzymać pozbawione zabieleń odlewy o własnościach niezbędnych z punktu widzenia zastosowań w powstającym kombinacie. Jest to jeszcze jeden przykład coraz aktywniejszego włączania się łódzkich naukowców do rozwiązywania ważnych problemów gospodarczych.

Odkrywcy żeliwa niskostopowego nie narzekają na brak kontrahentów ze strony przemysłu. Duża w tym zasługa samego przemysłu, który począwszy od zlecenia prac badawczych i finansowania badań przez Instytut Odlewnictwa Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego w Krakowie, aż po wprowadzenie wynalazku do produkcji, ściśle współpracował z uczelnią. Inicjatywie wielu ludzi przemysłu, takich jak mgr inż. Wiesław Orzechowski i mgr inż. Tadeusz Zajączkowski — pracownicy fabryki w Krotoszynie, należy w dużym stopniu zawdzięczać szybkie wykorzystanie cennego dla gospodarki osiągnięcia naukowego.

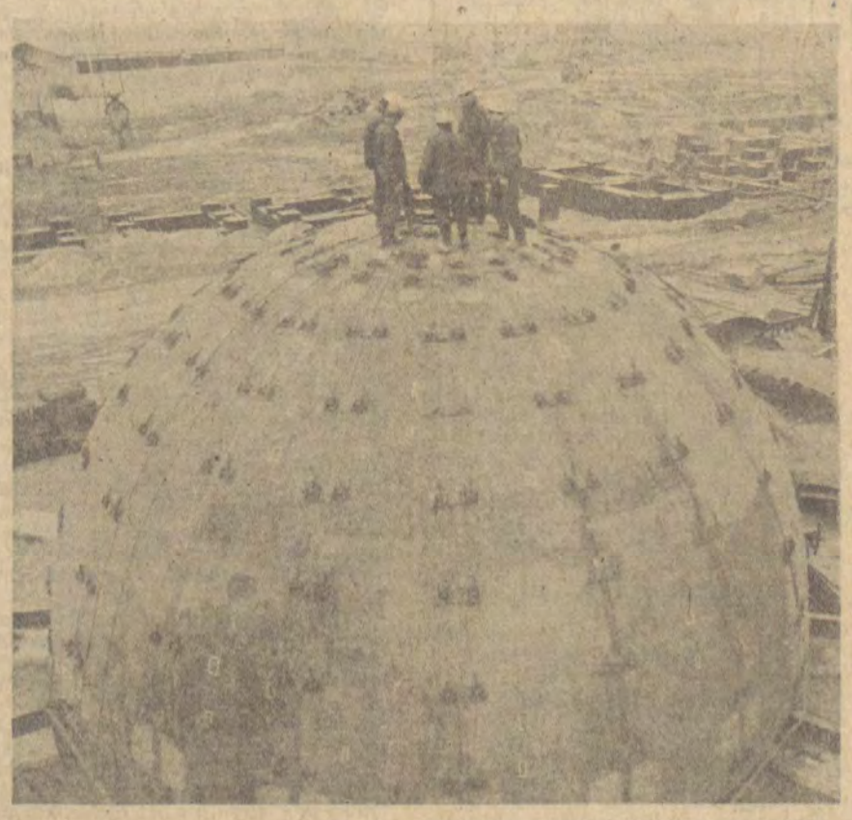

Fot. Archiwum

PROPOZYCJE

W sobotę, 28 lutego 1976 roku w **„Głosie Robotniczym"** ukazał się drukiem tekst sporządzony na podstawie rozmowy, jaką **Andrzej Malisz** przeprowadził z przedstawicielami Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji i urzędów telekomunikacji w Łodzi. Nim przejdę do problemów, które mnie w tej rozmowie zafrapowały, chciałbym złożyć dwa wyjaśnienia, które uważam za konieczne, aby uniknąć ewentualnych nieporozumień.

Wyjaśnienie pierwsze: każdy tekst, każde poglądy prezentowane publicznie podlegają publicznej ocenie, czy to się autorom podoba czy nie. Takiej samej ocenie podlega więc i spisana przez Andrzeja Malisza rozmowa **„Kiedy koniec zabawy w głuchy telefon?"**

Wyjaśnienie drugie: nie wnoszę żadnych pretensji pod adresem Andrzeja Malisza, tak bowiem „krawiec kraje, jak mu materiału staje". Andrzej Malisz sprezentował Czytelnikom „Głosu Rbotniczego" tylko to, co usłyszał. Ale to, co usłyszał i Czytelnikom sprezentował budzi moje zastrzeżenia.

Zdziwiła mnie przede wszystkim metoda rozmowy z chórem. Chór, z którym rozmawiał Andrzej Malisz stanowili:

— inż. **HENRYK ŻUREK**, dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Łodzi,

— inż. **ZBIGNIEW ROMANOWSKI**, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Łodzi,

— inż. **WŁADYSŁAW SKONECKI**, dyrektor Urzędu Telekomunikacji Łódź-Południe,

— inż. **BOGDAN BOGUSIAK**, dyrektor Urzędu Telekomunikacji Łódź-Północ.

Metoda jest perfidna. Wprawdzie cykl, który prezentuje „Głos Robotniczy" nazywa się **„Twarzą w twarz"**, ale Andrzej Malisz stanął twarzą w cztery dyrektorskie twarze, nie uląkł się przewagi i atakował pryncypialnie, z troską o społeczny interes, jakim jest rozwój sieci telefonów w Łodzi. Jego rozmówcy widać odpowiadali chórem, demonstrując absolutną zgodność dyrektorskich poglądów. A ja bym na przykład chciał wiedzieć, kto osobiście wyraził taki oto pogląd:

Andrzej Malisz pyta: **„— Ile podań o założenie telefonu leży w waszych urzędach.**

Odpowiedź chóru: **„— Około 40 tysięcy."**

A. Malisz: **„— Czyli realizacja planu tej pięciolatki nie usatysfakcjonuje wszystkich tych, którzy już, a często od wielu lat, starają się o telefon. A przecież w najbliższych latach wpłyną do was tysiące nowych podań. Orientujecie się, ilu łodzian złożyłoby podania, gdyby wierzyło w pomyślne załatwienie sprawy?"**

Chór: **„— To trudno przewidzieć. Fakt — niektórzy nie składają podań, na przykład mieszkańcy Rudy, ponieważ dobrze wiedzą, że nie ma możliwości instalowania telefonów w rejonach ich zamieszkania. Inni dotąd nie starają się o telefon na zasadzie — po co mi aparat, skoro moi znajomi nie mają telefonów".**

Wielce oryginalny to pogląd. Pełne samouspokojenie. Ludzie nie piszą podań. Można spokojnie urzędować. Nie ma podań. Nie ma sprawy. A mnie się wydaje, że jest sprawa. Mnie się wydaje, że dyrektorzy poważnych instytucji powinni mieć do powiedzenia coś więcej niż tylko **„to trudno przewidzieć"**. Ale niestety.

Andrzej Malisz pyta dalej: **„— Kiedy uzyskanie telefonu przestanie być w Łodzi problemem?"**

Chór dyrektorów odpowiada: **„— Trudno powiedzieć. Nie mamy planów perspektywicznych."**

A. Malisz słusznie więc się obawia: **„— Czy brak planów perspektywicznych kiedyś nie zemści się tak, jak brak inwestycji w latach ubiegłych mści się teraz?"**

ROZMOWA Z CHÓREM

Okazuje się, że nie. Dyrektorzy wyjaśniają: **„— Źle pan nas zrozumiał. Mamy plany do roku 1990, ale nasycenie sieci aparatami abonenckimi w warunkach łódzkich wybiega poza tę datę."**

I znów chciałbym wiedzieć, któż to jest taki spokojny? Wszyscy czterej? Chciałbym wiedzieć, do kogo zaadresować mój niepokój o brak koncepcji, bo przecież trudno zgodzić się z postawą całkowitej rezygnacji u ludzi, którzy z urzędu są odpowiedzialni za rozwój telekomunikacji w Łodzi.

Trudno jest mi się zgodzić z twierdzeniem, że ludzie nie starają się o telefon **„na zasadzie — po co mi aparat, skoro moi znajomi nie mają telefonów"**. Nie będę przeczył, że telefon służy również do rozmów towarzyskich, do umawiania się na obiad i na kawę. Ale byłbym na przykład niezmiernie ciekawy, czy dyrektorzy, którzy chórem wystąpili na łamach „Głosu Robotniczego" orientują się, czy wszyscy ludzie, którym telefon jest potrzebny do uprawiania zawodu, posiadają już aparaty telefoniczne w swoich mieszkaniach? Myślę o lekarzach, prawnikach, ludziach przemysłu. O dziennikarzach również. Nie będę ukrywał, że jest jeszcze spora grupa dziennikarzy, którzy nie posiadają telefonów, a dla których telefon jest częścią technicznego wyposażenia. Od ludzi odpowiedzialnych za rozwój sieci telefonów w Łodzi oczekiwałbym jakiejś koncepcji w tej dziedzinie. Ale niestety.

A. Malisz stwierdza: **„— Najgorsza jest jednak sytuacja osób, które przy zamianie mieszkań i wyprowadzeniu się w inne rejony Łodzi, tracą możliwość korzystania z posiadanych dotąd telefonów."** I pyta: — **„— Czy można im jakoś pomóc?" „— Tak, to rzeczywiście trudny problem** — powiadają dyrektorzy. — **Budownictwo mieszkaniowe idzie w kierunku peryferii. Rozwój naszej sieci nie jest zsynchronizowany z planami budownictwa."**

I to wszystko. Z całym spokojem. Niemal z beztroską. Nie ma znów sprawy, bo wyniknęło to z **„ogólnego i długotrwałego niedoinwestowania"**. Wprawdzie zaraz informują, że ruszyła produkcja central telefonicznych „Pantaconta" i od 1977 roku fabryka w Ożarowie zacznie produkować więcej kabli, ale to zupełnie inna sprawa. Jak z tego skorzystać, aby zmienić sytuację w Łodzi — na to już nie ma odpowiedzi. Zabrakło koncepcji.

Gdyby w taki sposób postępowały inne instytucje, to myślę, że z planów, jakie stanęły przed Łodzią w 1971 roku nic byśmy nie zrobili. Moglibyśmy tylko szukać 1001 obiektywnych przyczyn na swoje usprawiedliwienie. A przecież stało się inaczej. Zrobiliśmy bardzo dużo. W telekomunikacji również sporo, ale nie wolno nam z całym spokojem czekać, aż przyjdą krasnoludki i wymyślą za nas sposoby zmienienia złej sytuacji w telefonach na lepsze. Można się było spodziewać po czterech dyrektorach z łódzkich urzędów telekomunikacji, że zasypią Andrzeja Malisza gradem pomysłów, że będą prześcigali się w tym, aby pokazać przed Czytelnikami „Głosu Robotniczego", jak to oni myślą, aby ludzie im nie wymyślali. Nieštety. Czterej panowie z urzędów telekomunikacji chórem dawali wymijające odpowiedzi.

Na zakończenie tej smutnej rozmowy A. Malisz stwierdza: **„— życzę i wam i sobie sprawniejszego działania sieci telefonicznej."**

Dyrektorzy: **„— I my sobie tego życzymy. Wiemy, że ludzie na nas psioczą — ale co robić? Bardzo długi okres zaniedbań w telefonii spowodował właśnie taką a nie inną sytuację."**

I tak rozmowa wróciła do punktu wyjścia. Pytanie: co zrobić? — należało zadać sobie i innym na początku rozmowy. Pytanie to postawione na końcu pogłębia tylko poczucie bezradności i beznadziejności, jakie przebija z całej tej rozmowy, którą twarzą w cztery twarze przeprowadził na łamach „Głosu Robotniczego" Andrzej Malisz. Po jej przeczytaniu jestem taki sam mądry jaki byłem przed jej lekturą. A chyba nie o to chodziło?

MARCIN RODAK

PLASTYKA

STOP! PLAKAT na DRODZE

W styczniu w łódzkim Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku H. Sienkiewicza mogliśmy oglądać wystawę objazdową, która będzie eksponowana w innych miastach.

Złożyły się na nią dwa różnego typu pokazy: plansz fotograficznych oraz plakatów wybranych ze zbiorów Muzeum Plakatu w Wilanowie. Ogromny zespół fotografii nalepionych na równego formatu plansze, pełni rolę wykładu, którego temat można by określić jako **„wszystko o motoryzacji"**, wykładu przeznaczonego jednak chyba dla istoty nieziemskiej, pozbawionej podstawowej wiedzy o świecie, w którym żyjemy. Bowiem w układzie — plansza z napisem — seria fotografii samochodów na planszach, samochodów widzianych w całości, z boku, z tyłu i w detalu — otrzymujemy mnóstwo zmieszanych informacji, podanych ze śmiertelną powagą, językiem wziętym z podręcznika nauki jazdy.

Zaczyna się ów wykład od stwierdzenia: **„Wynalazek koła zapoczątkował rozwój motoryzacji"** — obok — fotografia koła. Z plansz dowiadujemy się, ile jest samochodów w Polsce i na świecie, ile osób zatrudnionych jest w przemyśle motoryzacyjnym, ile strat rocznie... itd. Dalej mamy: **„W Polsce ginie 13 osób..."** — obok — **„... i ludzi starszych"** — napis ten ilustruje fotografia staruszki wsiadającej do autobusu. Nieco dalej: **„Rozwój świateł tylnych w tym samym typie samochodu"** — obok — cztery razy tył różnych roczników Volkswagena i „rozwój" tylnego światła od kształtu owalnego do okrągłego o nieco większej średnicy. Przy napisie: **„Zmienne warunki atmosferyczne"** — wiemy już doskonale, że fotografie pokażą samochód w zaspie śnieżnej i samochód po koła w wodzie, natomiast napis: **„Zwierzęta pozostawione bez dozoru"**, zilustruje stado baranów. Bez selekcji choćby ekspozycyjnej, trudno dociec idei przyświecającej autorom scenariusza wystawy, jednolitość ogromnej masy plansz, małe zróżnicowanie materiału fotograficznego i retoryczny ton nieuporządkowanych haseł-informacji daje mieszankę trudną do zwalczenia tak okiem jak i głową. Nie pomagają nawet dowcipy, często rodem ze „Szpilek", czasami po prostu wątpliwie współgrające z tematem wystawy, jak na przykład ten **„Zepsuty samochód to samochód bezpieczny"** — wypisany na planszy, umiejscowiony zresztą tak jak kolejne hasło-informacja. W połowie wystawy zwiedzający sami zaczynają ironizować i jest to powód, dla którego może dobrną do końca owego „wykładu o motoryzacji", a tam spotkają wspomnianą już ilustrację z baranami.

Wytchnieniem dla oka — choć jest to określenie niezręczne, przy tego rodzaju wystawie — staje się barwna mozaika plakatów różnych krajów, wśród których, co jest charakterystyczne, najszybciej dostrzegane są prace stosujące od dawna sprawdzony trick „ z ręką". Z daleka wyróżnia się plakat fotograficzny dłoni podającej kluczyki samochodowe **„Prowadź! ja piłem"** (Conduis! j'ai bu) oraz plakat z wyciągniętą ręką **„Sygnalizuj swój zamiar"** (Manifestez votre intention). Istotny jest tu zarówno format plakatu jak i jakość druku. W szeregu małych form wyróżniają się znakomite ulotki belgijskie — choćby ta w formie klepsydry z aniołem trzymającym w jednym ręku butelkę, w drugim urwaną kierownicę — tak pomyślane, że można założyć łatwość ich dostrzeżenia i odczytania przy powiększeniu ich do ogromnych rozmiarów plansz przy szosie.

Wśród wielu prac rozpoznajemy także szereg polskich plakatów: **Wojciecha Zamecznika „Królu zjeżdżaj na prawo", „Chodzę z głową" Waldemara Swierzego,** plakaty **Macieja Urbańca, Janusza Wiktorowskiego.** Posiadają one wszelkie cechy wiązane z polską szkołą plakatu, kulturę plastyczną, zabawność pomysłu lecz ich anegdotyczność, znormalizowany format często także i słaba jakość druku powoduje, iż wydają się zbyt kameralne w kontekście ze swoim przeznaczeniem. Plakat o bezpieczeństwie na drodze musi być bezpośredni w odbiorze, zaskakujący, wręcz natrętny, motyw rozrzuconych na jezdni kości do gry (przykład jednego z eksponowanych plakatów), zakłada głęboką metaforę lecz zanim przechodzień odczyta jej sens, kto wie co może mu się przydarzyć. Wybór plakatów pokazanych na wystawie jest bardzo interesujący, choć powodowany jak się zdaje — głównie — estetyką ekspozycji, a plakat tego typu poza wymogami natury estetycznej musi być przede wszystkim funkcjonalny.

Trudno stwierdzić, na ile wystawa oddaje atrakcyjność i skuteczność oddziaływania wizualnych środków mających zdopingować uwagę chodzących po ulicach i jeżdżących po „drogach świata", ale jeśli oddaje, to sytuacja i pieszych i zmotoryzowanych jest kiepska. A na tego rodzaju wystawie problem skuteczności oddziaływania musi być podstawowym kryterium. Oglądając wystawę jawi się pytanie zasadnicze. **Do kogo jest adresowana?** Widzom zmotoryzowanym i pieszym niczego nie wyjaśnia, nie proponuje także nowych, bardziej funkcjonalnych środków w akcji o bezpieczeństwo na drogach. Szkoda, że nie sprecyzowali tego bliżej autorzy scenariusza potrzebnej przecież wystawy, o czym świadczy wrak samochodu usytuowany w centralnym punkcie ekspozycji.

IRENA KOLAT–WAYS

LITERATURA NRD

JOACHIM WALTHER

ZIELONY WEEKEND

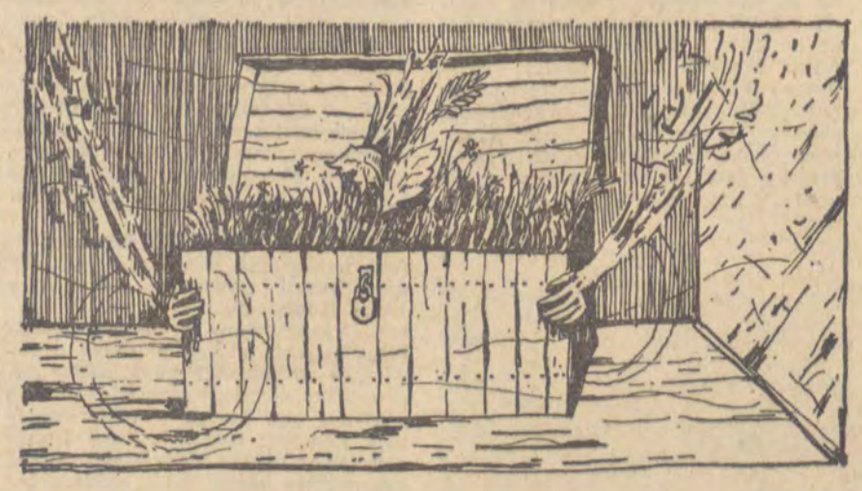

Leżeliśmy na murawie opodal letniskowego domku. Mój przyjaciel (który nas tutaj zaprosił) czytał z rozłożonym planem Paryża „Pamiętniki madame B.". Jego żona robiła na szydełku poncho; niekiedy z uśmiechem podnosiła wzrok, spoglądała na bawiącego się syna i przesuwała się nieco za wędrującym cieniem. Moja żona (nazywam ją w ten sposób, choć nie jesteśmy małżeństwem, bo jakże zresztą miałbym ją nazywać po pięciu latach znajomości: może przyjaciółką albo moją dziewczyną?) pisała w małym notesie, na poniedziałek musiała dostarczyć portret młodzieżowej brygady. Czytałem powtórnie książkę małego, szalonego, czworookiego kawalerzysty z kulistą głową i siodełkowatym nosem. Od czasu do czasu słyszeliśmy gdzieś stłumione wołanie i z daleka głuchy grzmot S-Bahnu. Pytania dziecka.

Papo? Papciu, dlaczego ptaki są kochane?

Podnieśliśmy głowy, popatrzyliśmy na siebie z rozbawieniem i zaczekaliśmy na odpowiedź.

Bo śpiewają w powietrzu i dlatego niebo staje się cieplejsze, powiedziało dziecko.

Zaśmialiśmy się. A przyjaciel wziął syna w ramiona, przygładził mu włosy i stwierdził, że ocieplanie nieba przez płuca śpiewających ptaków nie wystarczy do ogrzania atmosfery, czyni to słońce.

Działka była niewielka: około 600 metrów kwadratowych. Wznosił się na niej drewniany domek (dwa pokoje, kuchnia i łazienka; w brązowym odcieniu, ramy okienne regularnie czerwone), dawny garaż (który przyjaciel przebudował na pokój do pracy: z regałem na książki, biurkiem i leżanką); przy bramie wjazdowej parę brzóz i blisko domu sosna. Teren dwoma tarasami opuszczał się ku strumieniowi, rzeczka należała już do działki sąsiedniej. Słomiane maty z obu stron przesłaniały widok na sąsiedztwo, lecz działka, mimo małych rozmiarów, czyniła wrażenie mile odosobnionej i samodzielnej.

Nad nami niebo: szklane, jak dzwon, łagodne i dźwiękochłonne. Z kilometrowej wysokości słał do nas osłabiony warkot samolot, szukaliśmy go, ale nie odnaleźliśmy na niebie, wibracje przesuwały się regularnie z prawa na lewo. Żona przyjaciela podniosła się, zaczerpnęła w dłonie wody i pozwoliła jej ścieknąć na siebie, miała wciąż doskonałą figurę. Z igliwia na ziemi niósł się suchy zapach sosny.

Ogromnie zajmujące, powiedział nieoczekiwanie mój przyjaciel. Jej mąż namyślał się całe lata, czy wstąpić do KP.

A byli małżeństwem? spytała żona przyjaciela.

Na kocią łapę, rzekła bez namysłu moja.

U niego, zauważył przyjaciel, istnieje wieczna sprzeczność, między moralnością i praktyką.

Zatrzasnąłem książkę, uniosłem ją i powiedziałem: Ten tutaj nie mógłby zabić człowieka, z największym wysiłkiem dałby może radę gęsi, a mimo to nosił mundur i szablę.

Nie wiem, co tam trzymasz, powiedziała żona, przyjaciela, zresztą to dotyczy ciebie.

To co innego, rzekł przyjaciel. Poza tym jeszcze dzisiaj przyjedzie mój ojciec.

Przechyliliśmy się do tyłu, ułożyliśmy w wygodnych pozycjach i jak do tej pory czytaliśmy, szydełkowaliśmy, pisaliśmy dalej. Chłopiec bawił się niemal bezgłośnie w pobliżu hydrantu o kształcie niewielkiego koła i zżółkłego, którego rury porosła zielona trawa. Siedział po turecku i próbował złożyć dwie kulki dmuchawca.

Widziałem go wtedy siedzącego. Nie, przed laty. I nie mogłem sobie przypomnieć, o czym myślałem. Wstałem i podjechałem samochodem głębiej w cień, było już po trzeciej i słońce opuszczało się szybko.

Gdy wróciłem, żona podała mi swój notes: portret był dobrze zrobiony, potoczyście i z optymistyczną młodzieńczością, raziło mnie zaledwie kilka sformułowań, odczytałem je na głos.

W poszukiwaniu młodych rewolucjonistów. W otwartej dyskusji uczciwie wyrazili swoje poglądy.

No i? zapytała żona.

Dyskusa jest zawsze albo otwarta, albo jej nie ma. Wkrótce będziesz musiała pisać: w bardzo otwartej dyskusji.

W rzeczywiście bardzo otwartej dyskusji, powiedział przyjaciel.

W rzeczywiście bardzo otwartej i szczerej dyskusji, powiedziała jego żona.

W rzeczywiście bardzo otwartej i rzeczywiście bardzo szczerej dyskusji rzeczywiście bardzo uczciwie wyrazili swoje poglądy, powiedziałem.

Już dobrze, rzekła moja żona.

Czy nie byłoby lepiej, zamiast rozpaczliwie poszukiwać młodych rewolucjonistów, ukazać rewolucjonistów w poszukiwaniu młodocianych? zapytał mój przyjaciel.

Żadni z was dziennikarze, nie podnosząc głosu powiedziała moja żona, wyjęła mi z rąk notes i zrobiła kilka skreśleń.

Była poirytowana, starała się to jednak ukryć, co najmniej dobrze poznałem ją przez wszystkie lata. Kiedyś się zdenerwuje, może jeszcze tego wieczoru, ale nigdy we właściwym momencie. Dlaczego nie wypoczywa i na przykład nie szydełkuje jak żona mego przyjaciela. Odmienne (choćby nawet, przyznaję, przypadkowo) postawy obu kobiet pozwalają na więcej wniosków, wydaje się, że przynajmniej na takie: jedna jest zupełnie odprężona, uśmiechnięta i dodająca oczko do oczka; druga skrępowana, poważna, pisząca i kreśląca. Żona mego przyjaciela była, jak się to mówi, zadowolona, kochała męża i dziecko, umiała docenić drobne sprawy powszedniego dnia, cieszyła się nadzwyczajnie z kwiatów i udanej sałatki garnirowanej, prowadziła budżet z pogodną naturalnością, praca w charakterze bibliotekarki dawała jej satysfakcję (zatrudniona była na pół etatu), wystarczało jej, że będzie kochaną (i była kochana przez męża i dziecko), czuła się nie tylko zadowolona, była szczęśliwa, bez przesady, szczęśliwa. W tym miejscu zaprzeczenie: moja żona, kiedy się nad tym zastanowiłem, była wciąż właściwie niezadowolona (przede wszystkim z siebie samej, jednakże nie okazywała tego na zewnątrz), męczyła się wypełnianiem wielu obowiązków i odczuwała ich pobieżność, nawet w domu pracowała w dalszym ciągu dla redakcji (chociaż nikt tego nie wymagał), gotowanie uważała za irracjonalne (przy czym wcześniej gotowała chętnie), bez przerwy stawiała pytania (czy wybrała sobie właściwy zawód, dlaczego to musi być takie, dlaczego nie jest takie?), z poczucia rozsądku nie pragnęła tymczasem dziecka, chociaż niekiedy spostrzegałem jej komiczne spojrzenie, kiedy patrzyła na takie same matki z dziećmi na ręku, ale szczęśliwa nie była, nie, tego byłoby za wiele. Ostatecznie żyło nam się razem dobrze i przyjąwszy, że była nieszczęśliwa, odnajdywałem wtedy także moją winę, jednakże nigdy nie było o tym mowy. Taki po prostu musiał być sposób jej życia, a ja wolałem go w każdym razie bardziej niż zachowanie żony mego przyjaciela. Nie wierzę, by zależało to od czyjegokolwiek wyboru.

Z ulicy doszedł nas warkot motoru, ucichł, a potem zaskrzypiała brama.

Przyjechał pan starszy, powiedział przyjaciel.

Oglądałem ojca przyjaciela po raz pierwszy: wyobrażałem go sobie zupełnie inaczej. Żwawszy, także młodszy i zdrowszy. Nie tak dalece przygięty i z nie tak szarą skórą na wystających kościach licowych. Tylko jego głos odpowiadał moim przedstawieniom, nie był ani wysoki, ani niski, bez wyrazu, bez drżenia, brakowało w nim melodii. Dzięki temu przymuszał do słuchania, jego twardość miała coś ostatecznego.

Brydzień, dzieci, powiedział, widzę, że przeszkadzam.

Ależ skąd, przeciwnie, jakże tak! zawołaliśmy przesadnie szybko i głośno, gdyż za jego słowami domyślaliśmy się kokieterii wieku i uważaliśmy, że tak należy postąpić. Podnieśliśmy się i podawaliśmy mu ręce, przyjaciel przyniósł fotel ze stalowych rurek, podsunął go niemal pod siedzenie ojca i czekał, aż tamten spocznie.

Nie zamierzam zostać długo, rzekł z fotela.

Tym razem nie zareagowaliśmy. Zrobił krótką pauzę, nasłuchiwał uważnie, potem mówił dalej. Przyjechał właściwie tylko dlatego, że ma zepsuty telewizor. Obraz, który stracił poprzednią jasność, stawał się coraz mniejszy aż wysiadł zupełnie.

Aha, powiedział przyjaciel. Chcesz koniaku?

Możesz zostać, jak długo zechcesz, powiedziała żona przyjaciela, wiesz przecież, że możesz u nas także zanocować.

Tak, jeden mały, rzekł ojciec do syna a do synowej powiedział na pewno chcecie być we własnym gronie.

Ciężko, gdy pan tak mówi, rzekła moja żona.

W ogóle macie ciężko, powiedział ojciec przyjaciela i przyjrzał się nam kolejno. Potem prześliznął się spojrzeniem po dmuchanych materacach, książkach, butelkach coli, okularach przeciwsłonecznych, obrócił się ku domowi, zamrugał od słońca i milczał. My także nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Milczenie zaczynało być przykre. Moja żona siedziała na krawędzi dmuchanego materaca, pochyliłem się nad książkę i skrzętnie szukałem strony przewróconej przez wiatr, żona przyjaciela położyła się na kocu i z zapamiętaniem patrzyła w niebo. Wyczuwaliśmy wyzwanie, lecz nic nie przedsiębraliśmy. Moja żona zmieniła temat.

Właściwie skąd ma pan bliznę na czole? zapytała.

Odłamek granatu, powiedział.

I znów wyłowiliśmy słuchem wyrzut. A może była to po prostu odpowiedź na pytanie. Czy czuliśmy się zaatakowani czy też rzeczywiście atakował? Nie myślał chyba: o, wy nieświadomi, co wy wiecie, co już przeżyliście, gdzie czekaliście, gdy myśmy walczyli, co dokonaliśmy w waszym wieku my, a co wy.

Tak, czego dokonaliśmy? Mówi się o tym spokojnie, tak właśnie nie inaczej, czasy były stosowne. Chodziliśmy dwanaście lat do szkoły i potem pięć na wyższą uczelnię a teraz pracujemy we własnych zawodach. To wszystko. Po prostu nic więcej nie było: ani bezrobocia, ani faszyzmu, ani wojny. Tylko oczywistości. Ale czy i my nie mamy dni i nocy, od których chcielibyśmy więcej niż dane, w których tęskniliśmy i nie natrafialiśmy na bariery, gdyż żyjemy w wolnej przestrzeni? Czas wielkich wymagań bez odpowiedzialności, wymagań, aby wreszcie stać się pokoleniem, które przejmie odpowiedzialność i wszystko, wszystko uczyni lepszym. On był potrzebny w walkach swego czasu. My w swoim. On znalazł się po właściwej stronie. My wrośliśmy w nią. No, więc. Co, więc? Nic, zupełnie. Co było z naszymi wymaganiami? Nasza pierwsza, niecierpliwa krytyka została z pełną wyrozumiałością odrzucona, wiele z naszych idei znalazło się już w posiadaniu innych, dla wielu propozycji czas jeszcze nie dojrzał, w razie samodzielności energicznie sprowadzano nas na ziemię, prowokacyjne wyzwania pociągały kary dyscyplinarne, rozsądnym postępowaniem stawał się stały wzrost poborów. Doświadczenia, które każdy zdobywał, przynajmniej jedno z nich. Nie obieraliśmy strony, gdyż sąsiad w szeregu był trochę użyteczniejszy. Czy poruszaliśmy się my czy on, kto pozostawał w miejscu? Spojrzenie syna na ojca, ojca na syna — ojca było jakby dwuznaczne.

W ostatnim tygodniu, powiedział, ostatniego tygodnia byłem w zoo. Godny uwagi: jeleń z Afryki. Wielki jak koń. Muskuły jak u byka. Ogromne poroże. A potem irytacja: przełożyłem rękę przez kratę a jeleń wydał żałosny, cienki głosik.

Ma mnie na myśli, powiedział do nas przyjaciel.

Was, powiedział ojciec.

Mój przyjaciel nie był tym szczególnie przejęty: zabębnił koniuszkami palców o swój kieliszek, wymownie długo. Nawet mnie wydało się to rażąco niesprawiedliwe. Skąd miał prawo? Oczywiście: szedł zawsze tam, gdzie był potrzebny: na wieś, do przemysłu, ostatnio do ministerstwa. Wtedy robił swoje doświadczenia. Ale czy my także nie trafiamy tam, gdzie będziemy potrzebni? I czy dzięki temu nie nabywamy własnych doświadczeń? On ma swoje, my nasze. Czego dokonał zasadniczo inaczej niż my? Więcej, na pewno. Ponieważ jesteśmy młodsi. Jemu przyszło to trudniej. Nie oszczędzał się przez dwadzieścia pięć lat, myślał, że jest niezastąpiony. Teraz choruje na serce i przeszedł na emeryturę. Jednak...

Wy nas wychowaliście, powiedział bez satysfakcji przyjaciel.

Po prostu źle was wychowaliśmy, powiedział ojciec.

Nim przyjaciel zdążył coś odpowiedzieć jego żona spytała, czy za każdym razem muszą się kłócić, nawet w taki dzień, przy tak wspaniałej pogodzie. Widocznie tak, powiedzieli syn i ojciec niemal jednocześnie. Popatrzyli na siebie: między nimi było porozumienie, najwyraźniej chwilowe, potem zniknęło. Ojciec zwrócił się do żony mego przyjaciela i zapytał, co dziś wieczorem poda na stół. Uważaliśmy, że teraz zacznie się bezładna paplanina, jednakże zawiedliśmy się.

Kiełbaski smażone z rusztu, powiedziała.

Typowe, powiedział ojciec. Czy chociaż smażyliście już mątwę na sposób kastylijski?

Dotknął tym mego przyjaciela najpełniej w czułe miejsce.

Gdzie tutaj są mątwy? wykrzyknął. Nigdy nie byliśmy w Kastylii, jak się smaży na sposób kastylijski, no, jak?

Przestraszyliśmy się wszyscy jego tonu i siły głosu, nawet ojciec. Ciągle się chwacko wspinacie tam, powiedział, gdzie inni już doszli. Nie było

LITERATURA NRD

to jednak dobre. Mój przyjaciel stał się jeszcze wściekleszy. Wrzeszczał: Zastawialiście na nas haczyki, na przyjemnych miejscach stawialiście ogromne znaki informacyjne, niebezpieczne miejsca odgradzaliście barierami!

Uważam tylko, powiedział ojciec, że nawet to okazało się dla was za trudne.

Ach, raptem? Przyjaciel wciąż jeszcze krzyczał. Raptem! Przecież ochranialiście nas, wszystko od nas odsuwaliście, zbudowaliście nam pomosty do wspinania i place zabaw, dotąd pozwalacie nam bawić się w urządzonym przez was przedszkolu! I nagle mamy być dorosłymi? Zerwał się, wymachiwał rękami, krzyczał: To jest idiotyczne,

chciałem powiedzieć: pozwól, że się zaśmieję krótko i ozięble, potem opuścił ręce i odwrócił się do nas plecami.

Już się znowu pokłóciliście, powiedziała żona przyjaciela.

Nie ja, powiedział ojciec.

Okey, rzekł przyjaciel i odwrócił się. Kiedy mam naprawić twój telewizor?

Jutro? zapytał ojciec. Zapraszam was na obiad, całą czwórkę, zrozumiano? Ależ, powiedziałem i spojrzałem na żonę. Macie czas czy nie? zapytał. Nie odezwaliśmy się. A więc jasne: dla niego sprawa była przesądzona. Mój przyjaciel napełnił ponownie pięć koniakówek. Unieśliśmy kieliszki i przepiliśmy do siebie.

Należałoby wreszcie ostrzyc trawnik, powiedział ojciec.

Niczego dotąd nie spostrzegłem, dopiero teraz zrozumiałem, że działka znajdowała się w tak zwanym stanie nieplewionym. Przyjaciel pozwolił wszystkiemu rosnąć jak popadło, nie widziałem go nigdy wyrywającego zielsko, to go nie interesowało. Także to. W porównaniu z działką sąsiadów wszystko różniło się znacznie: tam nic nie rosło tak sobie, trawa była krótka, gęsta i zielona, drzewa przystrzyżone, ścieżki wybetonowane, przechodzący wycieczkowicze zatrzymywali się z uznaniem. Ponieważ mój przyjaciel zawzięcie milczał, uznawał widocznie, że nie ma nic do wyjaśnienia swemu ojcu.

Muszę wreszcie iść, powiedział ojciec i podał każdemu rękę. Rozejrzał się za dzieckiem, lecz powstrzymał żonę przyjaciela, kiedy je chciała zawołać; niech się bawi, powiedział.

Patrzyliśmy za nim, jak schodził po stopniach na ogrodowej ścieżce, jeszcze raz się odwrócił i znacząco uniósł rękę, potem wsiadł do samochodu i powoli odjechał. Przypuszczam, że zrozumieliśmy co chciał wyrazić. Nie byliśmy przygotowani, żeby porozmawiać o tym, nie teraz, może później, możliwe, że nigdy. Czekaliśmy na jakieś neutralne słowo.

Powiedz, gdzie podział się twój syn? Czy to nie to? zapytał mój przyjaciel, wszyscy ucieszyliśmy się z tego i roześmieliśmy się.

Niby dlaczego mój, powiedziała żona przyjaciela i zaczęła szukać go wzrokiem.

Ujrzeliśmy tylko głowę dziecka znieruchomiałego nad trawą, gdzieś z tyłu, przy płocie, zdawało się coś obserwować, matka zawołała i nadeszło (choć niezdecydowanie), stanęło przed nami i powiedziało z wielką powagą: motyle nie kąsają.

Cienie wydłużyły się i od strumienia w dole pełzły już ku nam pojedyncze fale zimnego powietrza. Mój przyjaciel wyniósł tarczę i strzały. Zawiesiliśmy tarczę na sośnie, każdy wziął trzy strzały i zaczęliśmy; zwycięzcą miał zostać ten, kto pierwszy zdobędzie trzysta punktów. Moje rzuty pozbawione były zarówno elegancji jak i celności, przyjaciel był zdecydowanie lepszy (a także moja żona), zaofiarował się, że da mi sto punktów przewagi — oni mimo to (zakład?) wygrają, śmiał się przy tym akcentując wobec niej swe sportowe umiejętności, ale ona pochyliła się właśnie i zbierała z trawy strzały, które nie trafiły w tarczę.

Straciłem wkrótce chęci i zrezygnowałem z gry, grali dalej we dwoje. Usiadłem, ale tak, żebym mógł ich obserwować. Przyjaciel nastawił tranzystorowe radio i poruszał głową w rytmie przeboju. W domu, powiedział, w domu człowiek może się najmniej zorientować, jakim właściwie jest.

Nosił spłowiałą bluzę, farbowany podkoszulek i starą szkolną czapkę szwedzką z czerwonego aksamitu z niebieskim sznurem, na taką jak teraz okazję; w dni robocze ubierał się w rzeczy, które powszechnie określane są jako zwyczajne: spodnie z kantami, koszule lub pulowery, kurtki. Dzieci z sąsiednich działek informował o tym równie oburzony jak i zachwycony, wołały za każdym razem na widok tego weekendowego stroju: patrzcie-no, tu ciała wiośka psyjdzie. Także tabliczka przy wejściu na działkę zwracała uwagę, pochodziła bowiem z okolicy, gdzie mój przyjaciel spędził dzieciństwo, wielu wycieczkowiczów zatrzymywało się przed nią, żeby odcyfrować zatarty napis:

Drogi wędrowcze, zważyć chciej
Po ścieżce chodź, po trawie nie.
Wówczas łatwo, bez łamania głowy
Można odróżnić cię od krowy.

Po wymowie nie można było określić jego rodzinnych stron, jeszcze tylko niekiedy mylił głoski syczące (mówił w szczególny sposób „sztrach" zamiast „strach"), samogłoski wprawdzie i teraz jeszcze brzmiały głucho, kiedy się zdenerwował i szybko mówił. O tych stronach wyrażał się wyłącznie ironicznie, żartował sobie z folkloru palaczy (gdyż była to miejscowość Rachermannl*), recytował przesadnie patetycznie wierszyk „Ni zapomni swoj ojczzny", a czasami też dwuwiersz tamtejszych lokalnych poetów w następujący sposób: „Arkuszerze, co się zjawiło, zażgnij atombombę, przyndź tu, szczenście". Chciał (chcieliśmy) usunąć i zapomnieć dzieciństwo i młodość, gdyż były za małe w porównaniu z teraźniejszością, gdyż wstydziliśmy się ich; ale czy mógł (czy mogliśmy) użyteczniej przeżyć ten czas i czy staraliśmy się teraz odrobić zaniedbania a nie mogliśmy podołać, ponieważ cząstka z nich znajdowała się poza nami, gdyż obawialiśmy się, że każą nam się postarzeć? Czy to nie było to? Niepewność i nieustannie wroga pewność, choć nie dająca podstaw do tego, żeby wiedzieć: czy odnosi się to może do niego, do nas wszystkich?

Gra stała się mniej zacięta, rzucali oboje jednakowo dobrze, zdawali się także unikać mego bezgłośnego kibicowania. Disc-jokey w tranzystorze zapowiedział tytuł i pożegnał się z żartobliwymi życzeniami na nadchodzącą noc, przyjaciel zaproponował, żeby także skończyć, uniósł rękę i cisnął ostatnią strzałę niemal w środek tarczy.

Słońce skryło się akurat za liście drzew nad strumieniem, nadpełzała szarość wieczoru. Sporadycznie zapalały się gwiazdy i gasły, wściekłe i żądne krwi komary zaczęły bzykać koło uszu. Trawa polizała nasze stopy swym zimnym i wilgotnym językiem, założyliśmy buty, potem koszule i pulowery. Wieczorne słońce skryło się niemal w całości poza ziemią. W domu zapłonęło światło, szczekały pokrywki na garnkach metal uderzał o szkło. żona przyjaciela ukazała się w drzwiach z talerzem w dłoni, za nią dziecko.

Tak, powiedziała, siadajcie i jedzcie, ale porządnie, jak w przedszkolu.

Przedszkola, wieprzowa pieczeń, świadczą o całym świecie! Dziecko zdawało się czekać na hasło: „przedszkole", gdyż wykrzyczało wierszyk raptownie i bardzo przenikliwie, aż w zmierzchu rozszedł się swoisty zaśpiew.

Wiesz przecież, powiedziała matka, że pani przedszkolanka zabrania.

Tutaj nie może usłyszeć, powiedziało dziecko.

Wytłumacz no, co znaczy: świadczą o całym świecie? spytała moja żona i nachyliła się nad nim.

Chłopiec wyraźnie zdumiał się osobliwością tego pytania. Nie odpowiedział i zakłopotany poszukał wzrokiem matki.

Czysty bezsens, powiedział ojciec.

W międzyczasie przygotowaliśmy rożen, mój przyjaciel przyniósł węgiel drzewny i spirytus. Wyciągnąłem korki z czterech butelek czerwonego wina, a moja żona ułożyła zaraz kiełbaski i pokrajała chleb na kromki.

A teraz powiesz — dobranoc, rzekła żona przyjaciela, a potem — do łóżka.

Dobranoc, powiedziało dziecko i głośno ucałowało każdego z nas w policzki, jego oczy podczas jedzenia spoglądały z napięciem ku wannie, gdzie wciąż pływał okręcik.

Masz ochotę czy też musisz iść do łóżka, zapytałem.

Muszę, powiedziało dziecko, a matka uniosła je wysoko, pocałowała i zaniosła do domu.

Przyjaciel potrząsnął węgielkami na blasze i polał je spirytusem. Z metrowej odległości cisnąłem płonącą zapałkę, silny płomień z sykiem strzelił w górę. Moja żona rozmieściła na ruszcie kiełbaski i kromki chleba i czekała, aż węgielki zaczną się żarzyć, wciąż jeszcze drgał nad nimi niebieski płomień. Żona przyjaciela podała przez okno przedłużacz i stojącą lampę z czerwonym abażurem. Ustawiliśmy ją i czerwone światło utworzyło ciepły krąg w środku otaczającej nas ciemności. Na działce z prawej strony nieco później zapłonęły lampiony zawieszone na drzewach, adapter rozbrzmiewał nastrojową pieśnią, słychać było jasny kobiecy śmiech i szczękanie sztućców na porcelanie.

Teraz możesz, powiedziałem.

Jestem głodna, powiedziała żona przyjaciela.

Wygasło, powiedziała moja żona.

Trzeba by dosypać węgielków, powiedział przyjaciel.

Ujął pogrzebacz, zgarnął dymiące węgle na środek blachy, polał je jeszcze raz spirytusem wyciągając daleko rękę i błyskawicznie odskoczył: ale one tylko zasyczały i uniosła się z nich para. Jego żona zaśmiała się. Nagle jednak zawołała: uwaga, lampa! Znowu rzuciłem zapałkę, szczęśliwie trafiając. Usiedliśmy w fotelach i trąciliśmy się kieliszkami na powodzenie, rozluźniliśmy się, teraz mogła się zacząć najprzyjemniejsza część wieczoru. Gawędziliśmy: o filmach, o telewizji, o planach wyjazdów w następnym roku, błędach drukarskich w gazetach, o różnych smakowitych delikatesach, o śmierci wspólnych znajomych w naszym wieku, o nagrodach artystycznych i akcyzie (w międzyczasie jedliśmy jeszcze chrupiące kiełbaski z grzankami i popijaliśmy długimi łykami wino), o europejskiej konferencji bezpieczeństwa, o nowych idiotycznych dowcipach, o chrapaniu na wznak, o drobnomieszczańskiej pruderii, o Castro i Allende, o staroindyjskiej technice miłosnej, o stosunkach męsko-damskich, osobliwie tych naszych.

Wszyscy mężczyźni są dyktatorami, powiedziała moja żona, jeśli jemu się coś nie podoba i chce wyjść podczas antraktu, zawiadamia tylko, nawet nie zapyta, a ja, wielbłąd, idę także, chociaż chętnie obejrzałabym sztukę do końca.

Twoja wina, powiedziałem, kobiety chcą być uległe.

A mężczyźni są pozbawionymi uczuć gburami, powiedziała żona przyjaciela. Jakże niekiedy chciałabym być całowana w kark. A jak często się to zdarza?

Ależ, ależ, mój gołąbku, powiedział przyjaciel, nie musisz wcale pościć. Nachylił się nad nią i pocałował w kark.

My, mężczyźni jesteśmy zbyt wrażliwi, powiedział. Przed paroma dniami siedziałem w poczekalni u dentysty. Naprzeciwko mnie siedziała dziewczyna z fantastycznym biustem, oczywiście odwracam się, ale potem wyczułem spojrzenie z boku, odwracam wzrok, a jednocześnie w tej samej chwili pomyślałem: właściwie dlaczego? I znowu patrzyłem, w pewnym sensie uporczywie, to było zdumiewające, ale napięcie ustąpiło.

A ja, powiedziałem, marzę czasami

o saunie z tysiącem nagich kobiet, a każda piękniejsza jest od drugiej, o kobietach delikatnych, silnych, o blondynkach, czarnulkach, o kobietach łagodnych i dzikich, a wszystkie mnie pragną. Jednakże ja siedzę sobie w basenie z letnią wodą, zajadam kurze udko, piję wino i od niechcenia zrywam kiście winogron.

Tak, tak, sny, rzekła moja żona.

A rano, dodałem jeszcze, rano jestem zawsze zadowolony, że leżysz obok mnie.

To rozumiem, powiedziała.

Nie staniemy się nagle młodszymi, zauważył przyjaciel, każdy ma swoje trudności.

Nie mogę się uskarżać, powiedziałem. Może ty?

Och, zawołała żona przyjaciela, czerwone wino zaraz się skończy.

Dobrze, że o tym przypomniała: wtrąciła to na zasadzie dysonansu, bo chciała chyba udaremnić rozmowę, na wszelkie możliwe sposoby chciała dać do zrozumienia, że czas byłoby już iść. Wspomniałem o zmęczeniu i chciałem podziękować, lecz przyjaciel zaprotesował obrażony: powiedział, że to nie kwestia, musimy zostać, pomówimy nawet, gdyż jutro w południe jesteśmy zaproszeni do starszego pana, już przyrzekliśmy, problem jest tylko z alkoholem, ale ma jeszcze w lodówce butelkę wódki, która będzie dla mężczyzn, pozostała butelka wina dla kobiet, prócz tego trzeba jeszcze coś zjeść, czy moja żona nie mogłaby przygotować swoich słynnych kiełbasek. Kiełbasa, papryka, ogórki jeszcze są, no więc, do dzieła, dalej-że. Oboje poszli do domu, żona przyjaciela i ja zostaliśmy na miejscu. Podgarnęliśmy węgiel drzewny i próbowaliśmy go rozniecić, dmuchaliśmy na blachę i skrobaliśmy ją, później zaniechaliśmy tej czynności i w milczeniu paliliśmy papierosy. Nie mogłem znaleźć spokoju, coś mi przeszkadzało: czy był to jej oddech, w ogóle coś pochodzącego od niej, czy też coś innego? Zerknąłem na nią i zobaczyłem, że się uśmiecha.

Wówczas zacząłem mówić o sobie, o swoim mieszkaniu: że mam nową aparaturę stereofoniczną i niemal całego Mozarta, zbieram jego płyty, gdyż ona go szczególnie lubi. Nie wiedziałem, dlaczego właśnie o tym mówiłem. Nie wiedziałem, i nie chciałem tego wiedzieć. Wstałem.

Rozejrzę się, jak daleko zaawansowani są z kiełbaskami, powiedziałem.

Nie musisz, powiedziała moja żona, jesteśmy tutaj.

Trzymała przed mymi oczami talerz, ale ja popatrzyłem na jej twarz a potem na przyjaciela.

No? powiedział trzymając w górze butelkę. Wystarczy tego do kompletnej przerwy w życiorysie.

Nalaliśmy sobie i wzięliśmy kiełbaski. Wziąłem, chociaż nie miałem apetytu.

Potem słyszeliśmy krzyki na sąsiedniej działce i śmiech: jeden z lampionów, przedstawiający żółty księżyc w pełni z oczami, nosem, ustami i czerwonymi pyzatymi policzkami, zapalił się i teraz płonąc spadał kawałkami w dół. Wreszcie muzyka urwała się i usłyszeliśmy sąsiadów idących do domu.

Chciałem się upić, przyspieszone napełnianie naszych kieliszków zdawało się być mojemu przyjacielowi na rękę. Bardzo wyraźnie słyszeliśmy odgłosy rozgwieżdżonej nocy: samotnego świerszcza, jeszcze szczekanie psa, szelest liści. Kobiety ukryły głowy w ramionach, w międzyczasie zrobiło się dotkliwie zimno, o wiele za zimno na taką noc jak ta.

Wiecie chociaż, zapytał podczas tego milczenia bełkotliwie mój przyjaciel, że nie wszystkie gwiazdy, które teraz oglądamy, istnieją. Wiele z nich dawno zgasło, ale ich światło jeszcze do nas dobiega.

Ułożyliśmy głowy na oparciach foteli, obserwowaliśmy gwiazdy i milczeliśmy. Każdy wystarczał sam sobie, przypuszczam, że w tej chwili chcieliśmy być sami.

Dostaliśmy z żoną leżankę w dawnym garażu, pościel leżała już naszykowana, przyjaciel i jego żona pytali troskliwie, jak się tam czujemy, obiecali doskonałą kawę na śniadanie, życzyli dobrej nocy i zamknęli drzwi.

Rozebraliśmy się, wpełzliśmy pod kołdrę, przywarliśmy do siebie, nasze dłonie były zimne. Moja głowa uniosła się w górę i osunęła w dół, kołysała się z prawa w lewo, w dół, do góry, na lewo, na prawo, zamknąłem oczy. A potem zobaczyłem, jak zawsze w ciemnościach, jasne, na wpół otwarte okno: za małe jednak, aby przez nie wyjść.

Tłumaczył:
KONRAD FREJDLICH

Rys. Janusz Szymański—Glanc

* Nieprzetłumaczalna gra słów. Słowo Racher jest zniekształceniem niemieckiego — rauchen — palić, manni bliskie jest Mann — człowiek, mężczyzna.

KSIĄŻKI

POEZJA Z „KRAJU OGNIA"

Książka „Złote kamienie. Dawne i nowe wiersze Azerbejdżanu" jest nową pozycją z serii przekładów literatury narodów radzieckich, którą Wydawnictwo Łódzkie pragnie z konsekwencją przyswajać czytelnikowi polskiemu. Jest to antologia poezji azerbejdżańskiej, zawierająca wiersze 56 poetów — od XI wieku począwszy aż do czasów współczesnych.

Uwagi edytorskie, w których czytelnik znajdzie objaśnienia dawnych gatunków i form poetyckich poezji azerbejdżańskiej oraz informacje o ogólnych zasadach, jakie przyjęto w tłumaczeniach tych przecież tak egzotycznych dla czytelnika polskiego form, świadczą o dużej staranności w przygotowaniu tomu.

Noty o autorach zawierają dane biograficzne, tytuły wydanych przez poszczególnych poetów książek, jak również informują o pozapoetyckiej działalności literackiej autorów (naukowej, dziennikarskiej itp.). W przypadku zaś wieków odległych w czasie, szczególnie wówczas, gdy dane biograficzne są niemal nieznane, wydawcy tomu zanotowali zachowane o poetach legendy i ich interpretacje dokonywane przez współczesnych orientalistów. Te niewątpliwe walory wzbogacają prezentowaną książkę.

Przekłady zgrupowane w tomie ułożone są w porządku chronologicznym, pozwalającym dostrzec charakterystyczność przemian i ewolucji poezji Azerbejdżanu. Czytelnik ma dzięki temu możliwość prześledzenia rozwoju, dominacji i zaniku pewnych form poetyckich, pojawiania się nowych, nierzadko pod wpływem bardzo różnorodnych kultur, w których zasięgu pozostawało przez wieki społeczeństwo Azerbejdżanu. I co charakterystyczne — chronologiczny układ antologii ujawnia proces stopniowego włączania się tej poezji w sferę oddziaływań kultury i literatury europejskiej.

Pełne egzotyki są dla polskiego czytelnika fragmenty średniowiecznych poematów epickich (tłumaczone przez T. Chróścielewskiego i I. Sikiryckiego), liryczne gazele lub czterowersowe rubai, łączące w zwartej, często parabolicznej formie, intelektualną refleksję z subiektywną sferę doznań i przeżyć. Przykładem niech tu będzie wiersz Szacha Ismaila Chatai w przekładzie A. Kamieńskiej, w którym zapytanie o istotę rzeczy przechodzi w refleksję nad sztuką i człowiekiem-twórcą.

Cóż można by powiedzieć
O istocie kamienia?
Jeśli go sam zapytasz,
Rzeknie słowo milczenia.
(...)
Długo kamień z człowiekiem
Wspólnym podlegli losom,
Aż przemienił się kamień
W człowieka — w posąg.

Dominuje w tomie, a szczególnie w partiach tekstów z czasów odleglejszych, liryka miłosna, w której znaleźć można utwory wysokiego kunsztu, o czym świadczą wiersze takich autorów jak Mołła — Panach Wagif (tł. L. Lewin, J. Huszcza) lub Kasum-Bek Zakir (tł. D. Chróścielewska). Począwszy od czasów romantyzmu wkracza do poezji azerbejdżańskiej nowa tematyka, wynikająca z coraz żywszych więzi z kulturą i historią Europy. Z pewnym żalem czytelnik opuszczą wtedy teren dotychczas dla niego egzotyczny, by stwierdzić, że poezja, która dla niego była czymś oryginalnym, świeżym, staje się powielaniem wzorów tak bardzo mu już znanych.

Zawsze jednak ciążenie tradycji narodowej daje o sobie znać w poezji współczesnych artystów słowa z Azerbejdżanu, co zresztą sprawia, że twórczość ich nie daje się ująć w zbyt proste formuły, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni klasyfikując dzieła poetów europejskich.

Wypada jeszcze wspomnieć o przekładach zaprezentowanych tekstów. Tłumacze antologii należą do kilku generacji współczesnych poetów polskich, z których wielu związanych jest ze środowiskiem łódzkim. Około trzydziestu tłumaczy — od Sikiryckiego, Chróścielewskiego, Piechala ze starszej generacji, aż po młodych (Skibiński, Chróścielewska) — prezentuje swoje przekłady tekstów najbardziej odpowiadających ich własnej postawie artystycznej.

Godnym podkreślenia jest fakt, iż edycję tu prezentowaną opatrzono w niezwykle interesujące „Słowo wstępne" pióra Bohdana Baranowskiego — historyka i orientalisty. Prof. Baranowski informuje o historii, kulturze i literaturze Azerbejdżanu; mówi o pochodzeniu i przemianach języka, o pochodzeniu nazwy „Azerbejdżan" co oznacza „kraj ognia", a wiąże się z kultem żywiołu ognia u dawnych mieszkańców tych ziem. Wprowadzenie prof. Baranowskiego jest znakomitym kontekstem dla prezentowanych tekstów i przybliża je polskiemu czytelnikowi, który w prezentowanej antologii otrzymuje książkę dosyć unikalną na naszym rynku wydawniczym, ale która może znaleźć swoje miejsce nie tylko w bibliotekach koneserów.

BARBARA STELMASZCZYK-ŚWIONTEK

Złote Kamienie. Dawne i nowe wiersze Azerbejdżanu. Wybór i opracowanie: T. Chróścielewski, I. Sikirycki. Wstępem opatrzył B. Baranowski. Przypisy i noty: T. Chróścielewski. Łódź 1975, WŁ.

OBYCZAJE

ZOFIA TARNOWSKA

SKARB

Było to w roku 1965. Stanisław K. miał wówczas lat 25. Pewnej nocy śniło mu się, że jest w stodole dawnych sąsiadów w S. – Wacława i Zofii K. – i widzi, że w powiększającym się otworze w klepisku przy słupie lśni złoto. Autentyczne złoto. Obudziła go codzienna rzeczywistość i wrócił do niej zapominając o złocie. Przypomniał sobie o nim dziewięć lat później, kiedy to pojechał ze swą żoną do tamtej miejscowości, do ojca. Wypili kilka kieliszków wódki, rozmawiali o sąsiadach. Stanisław dowiedział się, że Zofii i Wacławowi K. marnie się powodzi, musieli sprzedać konia.

„Przypomniałem sobie wtedy o śnie (— czytamy zwierzenia Stanisława składane przed prokuratorem) — **i udałem się do nich. Oświadczyłem im, że w ich stodole jest złoto i wiem, w którym miejscu zakopane. Oni powiedzieli, że złota szukali i nigdzie nie znaleźli. Razem z nimi i swoją żoną udałem się do ich stodoły, i przy środkowym słupie szpadlem wykopałem garnek polewany żeliwny. W garnku tym było dużo piasku, a w nim monety. Były to złote monety pięcio i dziesięciorublowe oraz duże srebrne monety polskie i rosyjskie. Ja wziąłem tylko trzy złote dziesięciorublówki oraz 16 sztuk srebrnych. Zofia i Wacław K. wzięli dla siebie przynajmniej 15 monet złotych pięcio- i dziesięciorublowych i koło 30 sztuk monet srebrnych. Zaraz potem byłem w domu Marianny C. i pochwaliłem się jej, że wykopałem złote monety. Swoje dwie złote sprzedałem w Warszawie przy Al. Jerozolimskich w skupie. Płacono mi 314 zł za gram..."**

* * *

Bardzo byli oburzeni na Stanisława K. że zabrał im połowę monet. Zofia uważała, że wszystko należy do nich, a właściwie do jej męża Wacława, boć przecież zakopane zostały w ich stodole przez ojca męża. O miejscu zakopania mąż nie wiedział — bo mając szesnaście lat zachorował psychicznie...

* * *

Stanisław K. kiedy spieniężył swoje monety w skupie przyjechał do Zofii, żeby kupić od niej srebrne. Potem przyjechał jeszcze raz. Było to w czasie kiedy do domu Zofii i Wacława K. dobudowywano ganek i pieniądze były potrzebne na inwestycje. Stanisław kupił 10 sztuk małych monet płacąc po 1.500 zł za sztukę. Powiedział wtedy, że za większe monety mógłby zapłacić po 3 tys. zł. Ale dużych monet Zofia K. już nie miała. Gdzieś w okresie żniw przyszła do niej Helena G. Słyszała, że mają złoto i chciała odkupić. Zofia K. już dosyć miała gadania o tym złocie i zbyła sąsiadkę mruknięciem, że żadnego złota nie mają. Nie minął jednak miesiąc jak sama jej pięć czy sześć sztuk dała. Była w potrzebie, bo pożyczkę należało spłacać, a gotówki brakowało. Sprzedała więc część skarbu po 2 tys. zł sztuka, a jedną małą monetę za 1000 zł. Kiedy jednak Stanisław K. wyraził później żal, że nie ma już do sprzedania złotych monet, a mógłby za nie zapłacić po 3 tys. zł, i kiedy na dodatek wyciągnął pieniądze, żeby odkupiła od Heleny G. — Zofia K. zdenerwowała się poważnie. Poczuła się oszukana przez Helenę. Nie znała wartości monet, a tamta ją wykorzystała. Wzięła od Stanisława pieniądze i poszła do sąsiadki aby odkupić złoto. Za późno, Helena G. powiedziała, że część monet odsprzedała, dwie zabrał syn, z jednej zrobiła sygnet dla córki. Nie uważała za stosowne dopłacić do tych monet. Kupiła za ustaloną kwotę, Zofia K. dostała ile chciała i koniec transakcji. No i nie udało się odkupić złota. Zofia K. była zdenerwowana i zawiedziona, ale nie zrezygnowana. Jej ambicja została ugodzona do żywego dalszymi informacjami o losie złotych monet. Otóż Stanisław K. — jak się dowiedziała — sprzedawał je po 4 tys. zł. Dlatego chciał odkupić. Jeszcze by na tym zarobił.

Co robić? co robić? Kobieta była rozgorączkowana i myślała nad sposobem odzyskania straconych — już nie złotych monet, ale pieniędzy, których mogło być więcej...

Wreszcie znalazła wyjście. Gdzieś tak na wiosnę tego roku przyszła do zubożałej właścicielki skarbu Jadwiga T. Zjawiła się jako wysłanniczka Heleny G., która chciała jeszcze kupić trochę złotych monet. To była okazja do wykorzystania. Zofia K. kiedy skarb znaleziono przymierzała owe starocie do polskich monet. Duża dziesięciorublówka pasowała jak ulał do naszej nowej 10-złotówki.

Sławomir T. — syn Jadwigi — kilkunastoletni uczeń, miał zostać jednym z bohaterów niezwykłej afery. Do jego matki, która kiedyś pracowała w S. i znała wielu mieszkańców, przyjechała kiedyś Zofia K. Pokazała Sławomirowi monetę dziesięciozłotową pytając czy nie ma takich. Chłopiec miał 6 sztuk. Zofia K. dała mu swoją oraz 100 zł w banknocie prosząc, aby postarał się o więcej, a potem pomalował je na czerwony kolor. Wymienił więc w sklepie pieniądze na nowe dziesięciozłotówki, wziął pędzelek szkolny i pomalował na czerwono. Zofia K. dostała te monety...

* * *

Był późny wieczór i Helena G. położyła się spać. Obudziło ją pukanie do okna. To Anna P. Zapraszała ją do domu Zofii K. Ubrała się szybko i poszła, bo nieco wcześniej dostała przez tę samą Annę P., pisemną informację od Zofii, że ma 10 sztuk monet, ale ktoś je chce kupić, więc... To bardzo zmobilizowało Helenę do podjęcia ostatecznej decyzji kupna i właśnie teraz pod osłoną nocy miało dojść do zamiany „szarych na złote"...

Jakież było jej zdziwienie kiedy zastała mieszkanie zamknięte na klucz, a w obejściu ani żywego ducha. Zaniepokojona, zdziwiona i zawiedziona opuszczała podwórko, gdy nagle zobaczyła Annę P. Ta poinformowała sąsiadkę, że Zofia wyjechała nagle do chorego szwagra i prosiła, żeby za nią dokonać rozliczeń. Zostawiła Annie klucze od mieszkania i kartkę z rozliczeniami...

Tu trzeba zrobić małą dygresję. Owa kartka (znajduje się w aktach sprawy) jest wyliczanką długów Zofii K. wobec Heleny G. Od kilkunastu lat znały się, bywały u siebie, Zofia chciała być bardzo na weselu syna Heleny wraz ze swym synem. Zaproszenie otrzymała, ale zwierzyła się, że nie ma odpowiedniego ubrania. Już nieraz Helena jej pożyczała to i owo z ubrania, więc i teraz pożyczyła. Zofia zapewniała, że wszystko odda jak sprzeda złoto, a było tego sporo — przeszło 7 tys. zł. Jedną z pozycji stanowiły... złote obrączki. Nie, Zofia obrączek nie pożyczyła, ale podobno jej syn zabrał je kiedyś korzystając z dogodnej okazji. Obrączki stały się odrębnym elementem w całej sprawie, ale wtedy sprawy nie było...

Anna otworzyła mieszkanie Zofii, weszły razem. Helena stała obok kiedy Anna otwierała kredens i wyjmowała z niego znaną jej już torebkę. W niej przechowywała Zofia złote monety.

Anna P. wyjęła je teraz z torebki — 11 sztuk. Powiedziała, że Zofia K. kazała policzyć po 3 tys. zł za każdą, prosiła aby zapłaciła ile ma, a potem właścicielka się policzy. Dała też kartkę z wyliczeniem długu za pożyczone rzeczy. Helena miała przy sobie 2.500 zł. Dała je, dostała 5 monet i dyspozycję, aby poszła po pieniądze, to dostanie resztę. Pobiegła w ciemności do domu, zabrała 6 tys. zł sprawując się cicho, by nie obudzić męża i wróciła po resztę złota. Dostała 6 monet. Gotówkę 8.500 zł Anna P. schowała do torebki, a torebkę do kredensu, mieszkanie zamknęła na klucz. Obydwie opuściły obejście...

Wtedy uchyliły się wrota stodoły... Wyszła z niej Zofia... Wróciła też na podwórko Anna P., gdy upewniła się, że Helena jest daleko. Poszły obie do mieszkania, autorka pomysłu zamiany „szare na złote" zobaczyła upragnione pieniądze. Podzieliły się nimi następnego dnia z matką „malarza" i Anną P., pomocnikami w wykonaniu pomysłu.

Rano nowa właścicielka złotego skarbu zademonstrowała mężowi monety. Radość z posiadania i z niespodzianki przerodziła się rychło w przerażenie, bowiem mężczyzna zauważył, że spod złoto-czerwonej powłoki wyłania się twarz naszego wielkiego wieszcza narodowego. Była ona zupełnie niepodobna do wizerunku na monetach rosyjskich z ubiegłego wieku. Zeskrobali farbę, odczytali polski napis i poczuli się oszukani. Helena G. zapakowała monety i pobiegła do Zofii K. Ta zrobiła zdziwioną minę, oświadczyła, że dała pośredniczce dobre, złote pieniądze, a co się z nimi stało potem, tego ona nie wie. Malowane? Może tamta pomalowała, a może sama nabywczyni?...

Ani słyszeć nie chciała o zwrocie pieniędzy. Oszołomiona Helena poszła do pośredniczki, żeby usłyszeć: ja tam się na tym nie znam... Wróciła znów do Zofii. Było tam parę osób. Oświadczyła wszystkim, że została oszukana i pójdzie na milicję.

Nikt się nie przejął, a Zofia odesłała ją wręcz „na milicję i za milicję", po czym zniknęła z towarzystwa. Następnego dnia Helena G. zameldowała o oszustwie, którego padła ofiarą.

* * *

Aktem oskarżenia objęto Zofię K., Annę P., Jadwigę T., zarzucając im wspólne działanie celem osiągnięcia korzyści materialnych drogą oszustwa. Wprowadziły Helenę G. w błąd co do autentyczności monet i doprowadziły ją do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w kwocie 8.500 zł. W stosunku do Zofii K. sformułowano jeszcze dwa zarzuty, w tym jeden za nielegalny handel złotymi monetami. Czwartą oskarżoną jest... Helena G., która odpowiadać będzie — tak jak i Zofia K. za pogwałcenie odpowiednich przepisów Ustawy Karno-Skarbowej czyli za nielegalne nabycie złotych monet wartości około 28,5 tys. zł.

Rozprawa, którą **Sąd Rejonowy w Skierniewicach** wyznaczył na 6 lutego 1976 r. **została przerwana z powodu choroby dwóch „przyjaciółek".**

FILM

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI
ANDRZEJ ZALEWSKI

CIEŃ MICHAŁA DRZYMAŁY

Ubiegły rok uznać można za okres szczególnie istotnych dyskusji nad teraźniejszością i perspektywami polskiego filmu fabularnego. W trakcie obrad Forum SFP podczas festiwalu gdańskiego dominował temat współczesny; dyskusje prowadzone w Łagowie dotyczyły natomiast problematyki, z którą nasze kino związało się jeszcze bardziej silnie, a mianowicie tematu historycznego. Jednym z ważniejszych wniosków, do których doprowadziły burzliwe często spory, było stwierdzenie istnienia kinowej historii w prawie absolutnej pustce świadomości historycznej odbiorcy. Oczekiwania widza kształtują oblicze filmu, a zarazem następuje zjawisko odwrotne: tradycja filmowa decyduje o stosunku kinowej publiczności do historii na ekranie. W ogólnej świadomości, historia w wydaniu podręcznikowym, napotyka na ekranach historię kostiumową. Sytuację charakteryzują najlepiej anegdotyczne już przypadki, w których widzowie-czytelnicy pism filmowych dociekają historycznej zgodności filmowych faktów, poprzez pytania o kształt lancy i guzików.

Rzucone tu uwagi pozostają w bezpośrednim związku z podziałem kompetencji między filmową historią fabularną i oświatową. Pierwsza jest zazwyczaj właśnie widowiskowo-kostiumowa. Druga zbyt często patriotyczno-deklaratywna. Niektóre z filmów fabularnych łączą cechy tych dwu modeli, czego przykładem jest niedawny „Jarosław Dąbrowski". Zresztą i w zestawie historycznych filmów WFO znajdujemy „Wolność uzbrojoną" Konstantego Gordona — utwór tematycznie zbliżony do filmu Poręby. O ile werbalnie wyrażony patriotyzm stanowić może dla twórcy rodzaj glejtu nietykalności, o tyle trudno powiedzieć, by świadomość ewokowana przez takie filmy była nośnikiem właściwego stosunku człowieka dzisiejszego do historii. A że wyrobienie takiego stosunku jest pożądane, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Już na poziomie szkoły, celowy byłby odwrót od podręcznikowej sztampy — ku pełnemu, strukturalnemu widzeniu mechanizmów dziejowych. Film oświatowy mógłby tu mieć niemałe zadanie do spełnienia, jako owocny partner w dyskusji z książkową praworządnością. Mógłby, ale nie ma.

Zdecydowana bowiem większość filmów oświatowych o tematyce historycznej posługuje się formułą podręcznikową adaptowaną do wymogów odmiennego tworzywa. Wydaje się, że twórcy filmowi uprawiający tę dziedzinę działalności, widzą możliwości filmu jedynie na płaszczyźnie ikonki. Budują więc swoje utwory na zasadzie pojemnika, do którego wtłoczenie jak największej liczby informacji obrazowych, powiązanych komentarzem o już zupełnie książkowym rodowodzie, jest prawdopodobnie uważane za gwarancję sukcesu. Filmy te nie przekraczają w rezultacie poziomu albumu fotografii dotyczących wybranego tematu. Problem polega więc na trudnościach w skonstruowaniu nowego, zupełnie odmiennego modelu filmu oświatowego o tematyce historycznej — wykorzystującego w pełni możliwości kina, a odpowiadającego zarazem dialektycznemu rozumieniu zjawisk historii. Żeby nie być gołosłownymi w wyrażonych tu pretensjach, spróbujmy zatrzymać się nad dwoma filmami, wybranymi z najciekawszych wyprodukowanych w WFO.

Wymieńmy tu film Witolda Żukowskiego „Września jest w Wielkopolsce". Męczeństwo dzieci wrześnieńskich zostało tu pokazane zaledwie w sposób sentymentalno-łzawy, jakby utwór ten realizowało jakieś nowe wcielenie Marii Konopnickiej. Kilka przepisowo zużytych fotografii plus szczodra liczba komentarzy prasowych nie szczędzących oburzenia „niecnym germanizatorom", zastępowało problemowe podejście do tematu. A przecież „malownicza" skądinąd historia dzieci z Wrześni jest tylko wycinkiem ogólniejszego zjawiska, które wpierw należało uchwycić w perspektywie szerszego rozumienia dziejów Polski pod zaborami. Co prawda, w filmie mamy sygnały takich informacji, z tym tylko, że uwaga twórców skoncentrowała się zbyt silnie na wydarzeniowym, anegdotycznym ich sensie. Bo to też jest przesłanka do rozumienia współczesnej historii w wydaniu oświatowym: historyczne „dzianie się" zwracających powszechną uwagę wypadków, wypiera syntetyczny i metodyczny ich ogląd. W związku z tym właśnie mnożą się potomkowie „nosa Kleopatry".

Podobnie ma się rzecz w przypadku drugiego filmu Żukowskiego o pokrewnej tematyce „Plebiscyt Powiśle, Warmia, Mazury 1920", z tym, że mniejsza odległość czasowa od omawianych wypadków, niż miało to miejsce w poprzednim filmie, pozwala na zaprezentowanie widzowi uczestników historycznych wydarzeń. Dokumentacja ikonograficzna stanowi tu ilustrację do wspomnień polskich agitatorów działających na obszarach plebiscytowych przed i w trakcie plebiscytu. Z jednej strony osobiste uwagi świadków, z drugiej zaś odautorski komentarz twórcy gwarantowały pozornie skuteczność filmowej prezentacji zagadnienia. Niestety jednak nie okazuje się to najwłaściwszym rozwiązaniem. We wspomnieniach działaczy zachował się do dziś stosunek emocjonalny do wypadków sprzed lat pięćdziesięciu. Dlaczego jednak w podobnym tonie utrzymany jest komentarz? Historyczne fakty podawane i oceniane są w duchu patriotycznej pogadanki. Zarazem sam plebiscyt umiejscowiony jest w zasadzie w historycznej próżni. Zbyt skąpe są wzmianki o przeszłości terenów spornych. Próba sił 1920 roku stanowiła przecież jedynie szczególny punkt kulminacyjny na skali dziejów tych obszarów. Była uzewnętrznieniem wielu skomplikowanych narodowych i kulturowych sprzeczności i powiązań, a tylko zewnętrznie współzawodnictwem propagandy niemieckiej i polskiej racji historycznej. Problemy samego przebiegu plebiscytu wydają się w kontekście szerszego sensu sprzeczności drugorzędne, jakkolwiek zasługujące na obszerniejszą wzmiankę. Szkoda, że film zatrzymuje się już na tym poziomie.

Na dobrą sprawę te same uwagi można by odnieść także do wielu innych filmów tego gatunku. Działa tu niechlubne prawo serii. Metoda stosowana przez twórców, by „poczuwać się", „legitymować", „dawać świadectwo" pomija dokładnie sam proces historyczny w jego twórczym dialektycznym rozmachu. Historia jest więc katalogiem doraźnych efektów. Cień Michała Drzymały i jego wozu cyrkowego nadal kładzie się na naszej wiedzy o przeszłości.

U PRZYJACIÓŁ

Rozwój sztuki filmowej ZSRR w okresie ostatnich 5 lat ukazuje otwarta w Moskwie wystawa pn. „Radzieckie kino od Zjazdu do Zjazdu". W minionym pięcioleciu zrealizowano w wytwórniach kraju Rad ponad 1200 pełnometrażowych filmów fabularnych, z czego znaczna większość poświęcona jest tematyce współczesnej — stwierdził przewodniczący Związku Filmowców ZSRR, delegat na XXV Zjazd, reżyser Lew Kulidżanow — Radzieccy twórcy ukazali w swych dziełach problemy związane z osiągnięciami pokojowego budownictwa, z rozwojem socjalistycznego społeczeństwa. Najwybitniejsze spośród tych filmów zaprezentowano w dniach Zjazdu na ekranach moskiewskich kin. Wiele uwagi poświęcono w okresie ostatnich 5 lat tematyce związanej z ostatnią wojną i zwycięstwem nad faszyzmem. Najpełniejszym artystycznym odbiciem tych wydarzeń jest epopeja Jurija Ozierowa „Wyzwolenie"...

Twórczość fabularna nie wyczerpuje zainteresowań filmowców radzieckich. W okresie ostatnich pięciu lat weszło na ekrany ponad sześć tysięcy filmów dokumentalnych i popularno-naukowych.

* * *

Na łamach „Sowietskiej Kultury" zabrał głos wiceminister Kultury ZSRR — W. Popow wypowiadając się na temat współpracy kulturalnej krajów socjalistycznej wspólnoty. Rozwój współpracy kulturalnej — pisze W. Popow — jest jednym z czynników historycznego procesu zbliżenia, wymiany doświadczeń budownictwa socjalistycznego i komunistycznego, współdziałania w tworzeniu nowego społeczeństwa. Dążeniem radzieckich twórców i działaczy kultury jest wniesienie jak najpełniejszego wkładu we wspólne dzieło umocnienia braterskiej przyjaźni i współpracy z krajami socjalistycznymi. Związki kulturalne Kraju Rad z bratnimi narodami nieustannie rozwijają się, umacniają i pogłębiają. W ostatnich latach nabrały one charakteru długofalowej twórczej współpracy, przyczyniając się do wzajemnego wzbogacania kultur krajów socjalistycznych. Przejawia się to przede wszystkim w tempie i intensywności rozwoju tej współpracy, czego ilustracją są liczby, porównanie danych z 3 ostatnich pięciolatek. I tak, w latach 1961—65 wyjechało do krajów socjalistycznych 15 tysięcy twórców i popularyzatorów wielonarodowej radzieckiej kultury; w kolejnej 5-latce liczba ta wzrosła do 25 tysięcy, a w następnej — przekroczyła 35 tysięcy. W podobnych proporcjach kształtowały się wizyty przedstawicieli życia kulturalnego krajów socjalistycznych w ZSRR. Wzrostowi ilościowemu towarzyszy stałe wzbogacanie treści i form tej współpracy.

Szczególnie należy podkreślić — stwierdza dalej wiceminister Popow — coraz wyższy poziom osiągnięć krajów socjalistycznych w dziedzinie kultury, co z kolei wnosi do wzajemnej współpracy nowe cenne wartości. Widzom, słuchaczom i czytelnikom z bratnich krajów radzieccy twórcy i artyści przekazują to, co najwartościowsze, najgodniejsze z osiągnięć socjalistycznej, wielonarodowej kultury Kraju Rad. Tylko w ostatnich latach odwiedziły kraje socjalistyczne takie zespoły jak grupy baletowe Teatru Wielkiego w Moskwie i im. Kirowa w Leningradzie, MChAT, moskiewski Teatr Mały, leningradzki Teatr im. Gorkiego, moskiewski — im. Wachtangowa, Zespół Pieśni i Tańca im. Aleksandrowa, Zespół Igora Moisiejewa, „Bieriozka", chór im. Piatnickiego, czołowe orkiestry symfoniczne, znani na całym świecie soliści, dyrygenci i inni artyści. Także radziecka publiczność często oklaskuje wybitnych muzyków, artystów sceny, ekranu i estrady z krajów socjalistycznych. Wymianę w zakresie teatru i muzyki znacznie wzbogaca wzajemna prezentacja dorobku w dziedzinie sztuk plastycznych.

* * *

Blisko 1200 tytułów książek w nakładzie ponad 20 milionów egzemplarzy opublikuje w bieżącym roku moskiewskie wydawnictwo „Progress". Ta największa oficyna wydawnicza Kraju Rad zaznajamia czytelników z radziecką literaturą piękną, a także najbardziej interesującymi nowościami ukazującymi się na całym świecie. „Progress" jest wydawnictwem uniwersalnym, gdyż wydaje także książki z zakresu nauk politycznych, społecznych, filozofii, historii, pedagogiki, socjologii, lingwistyki, prawa, ekonomii, geografii itp. Dzieła te ukazują się w językach oryginalnych i w przekładach na 45 języków świata.

CHILE

DINA—ALIANS KATÓW i SADYSTÓW

„My szanujemy człowieka" — powiedział szef junty chilijskiej, gen. Pinochet, do dziennikarzy prasy zachodniej na niedawnej konferencji prasowej w Santiago. Po tym znakomitym wstępie, który wzbudził ogólne poruszenie, Pinochet uderzył pięścią w stół, co oznaczało nagły poryw świętego oburzenia i zgodnie z przyjętym rytuałem rzekł co następuje: „Wszelka krytyka z zewnątrz, a przede wszystkim oskarżanie nas o deptanie praw człowieka, jest marksistowską propagandą preparowaną w Związku Radzieckim, żeby oszkalować Chile..." i tak dalej, w tym samym duchu.

Dziennikarze wysłuchali wprawdzie zakłamanych bredni Pinocheta, ale napisali co sami widzieli i słyszeli. Tu warto wspomnieć, że jeszcze parę lat temu Zachodnia prasa burżuazyjna z zadowoleniem witała przewrót w Chile i słowem nie potępiła zabójstwa prezydenta Salvatore Allende. Dziś musi przyznać, że miejsce dawnych rządów demokratycznych zajął krwawy powrót, klika sadystycznych oprawców.

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż natychmiast po przewrocie rozpętano w Chile masowy terror przeciwko tzw. wrogom państwa. Wyroki bez sądu, spreparowane procesy sądowe, aresztowania po nocach, „przyznawania się do winy" wymuszane podczas tortur — wszystko to — pisze korespondent londyńskiego „Sunday Times Magazine" — potwierdza ogromna ilość dowodów umocnionych własnymi spostrzeżeniami i wnioskami obiektywnych obserwatorów. Przy końcu pierwszego roku rządów junty cała potencjalnie poważna opozycja lewicowa została zlikwidowana lub zepchnięta do podziemia. Teraz poddaje się represjom ludzi ze wszystkich warstw społecznych, którzy są zatrudnieni w sferze ekonomiki, oświaty itd. Tajna policja polityczna (DINA), podporządkowana bezpośrednio Pinochetowi, po prostu porywa ludzi; tortury są jedynym instrumentem przesłuchania, ludzi likwiduje się bezkarnie. DINA, stworzona w 1974 roku, mając nieograniczone pełnomocnictwa, dokonuje masowych aresztowań bez jakichkolwiek sankcji i pod każdym względem stoi ponad prawem.

Jądro DINA tworzy zawodowa kadra wojskowa, wprawiona do najbardziej sadystycznych tortur. Pozostałą część jej aparatu stanowią osoby cywilne zatrudnione na kontrakcie. Podpity dygnitarz państwowy powiedział na pewnym przyjęciu, że jest to „margines ludzki, męty społeczne, które wypłynęły na fali przewrotu wojskowego". Wielu funkcjonariuszy DINA było do przewrotu członkami ekstremistycznych partii prawicowych, mało różniących się od partii czysto faszystowskich. Część agentów to bez wątpienia psychopaci z sadystycznymi skłonnościami, których pociąga i ekscytuje podobna „praca", jak np. okrutny oprawca — Oswald Roma alias „komendant Raul". DINA działa bezczelnie przekonana o swojej bezkarności. Ma swoje wyodrębnione wydziały i więzienia w Santiago i w innych dużych miastach. Więzionych tam ludzi poddaje się okrutnym torturom. Charakterystyczną cechą oprawców z DINA jest zupełne zezwierzęcenie. Jeden z wydziałów, tzw. „klinika", mieści się w sąsiedztwie brytyjskiego przedstawicielstwa handlowego w centrum Santiago. Drugi, nazywany przez więźniów „dyskoteką", ulokowano w byłym klubie nocnym na ville Grimaldi.

Oświadczenia licznych więźniów, składane pod przysięgą, ich pisemne zeznania, lekarskie oględziny ofiar — wszystko to oddaje ponury obraz tortur, dokonywanych przez tych mistrzów katowskiego rzemiosła. Torturowanie prądem elektrycznym, miażdżenie kości rąk i nóg, brutalne seksualne znęcanie się nad więzionymi kobietami, psychologiczne terroryzowanie więźniów, słowem znęcanie się w najbardziej bydlęcym stylu (więźniów zmusza się do zjadania ekskrementów) — oto daleko jeszcze niepełny arsenał środków śledczych pinochetowskich oprawców.

Setki Chilijczyków, którzy przeszli przez DINA, nie miały możliwości opisania swych cierpień i, być może, nigdy już tego nie będą mogły uczynić. Co najmniej tysiąc chilijskich obywateli, o których wiadomo oficjalnie lub za pośrednictwem innych więźniów, że zostali aresztowani (a ściślej mówiąc — wrzuceni do białych samochodów ciężarowych używanych w DINA i uwiezieni), zniknęło bez śladu. Nie można ich odnaleźć w więzieniach, nie pojawiają się na procesach sądowych. Niepokój o ich los wzrósł szczególnie po tajemniczej historii ze 119 chilijskimi więźniami politycznymi, którzy rzekomo zginęli gdzieś za granicą. Ta „operacja" nosi na sobie wyraźne ślady krwawych praktyk DINA.

Prawie wszyscy ci zaginieni — nazwiska ich podała swego czasu prasa — figurowali w wykazach chilijskich organizacji występujących w obronie praw człowieka oraz w spisach więźniów politycznych. Wiadomo, iż wielu z nich aresztowano w Chile ponad rok temu. Zdaniem działaczy organizacji walczących o prawa człowieka, zamordowali ich siepacze junty, która usiłuje teraz wyjaśnić ich zniknięcie „śmiercią poza granicami Chile". Opierając się na bezspornych faktach, chilijskie organizacje podziemne twierdzą, że DINA współpracuje z niemniej złowieszczym „Antykomunistycznym Aliansem Argentyny" — ekstremistyczną organizacją prawicową, która ponosi odpowiedzialność za śmierć kilkuset ludzi na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Chilijskiej policji politycznej zależy oczywiście na jakimkolwiek wyjaśnieniu tajemniczego zniknięcia więźniów i rada by ona, żeby w innych krajach znajdowano zwłoki identyfikowane z zaginionymi Chilijczykami. Z kolei „Antykomunistyczny Alians Argentyny" może to bez trudu „załatwić", mając dokumenty tożsamości zamordowanych patriotów chilijskich. Ta ponura współpraca raz po raz ponosi kompromitujące fiasko.

Wielu Chilijczyków — przede wszystkim ze średnich warstw społecznych, tradycyjnych zwolenników partii chrześcijańsko-demokratycznej — którzy z początku popierali przewrót, wierzyło, że wojskowa junta dobrowolnie przekaże władzę cywilom, jak tylko „zapanuje porządek". W Chile panowało ogólne przekonanie, iż armia chilijska zna swoje miejsce, tj. koszary. Chociaż na przestrzeni ostatnich stu lat chilijska soldateska trzykrotnie wtrącała się do spraw rządzenia krajem, uciekając się do użycia siły, społeczeństwo wciąż wierzyło w neutralność wojska. Zupełny krach tych nadziei jest dziś oczywisty. Od września 1975 roku DINA i inne karne jednostki wyraźnie dyskryminują średnie warstwy społeczne: środowiska akademickie, przywódców związków zawodowych i inteligencję w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Junta zaczęła od uniwersytetów. Po przewrocie, na wyższe uczelnie wprowadzono wojskowych „rektorów", tajnych agentów i informatorów DINA. Pracowników nauki poddano represjom jawnym i tajnym. „Polowanie na czarownice", to jest na wszystkich oponentów polityki junty, prowadzi się zupełnie otwarcie. Oto przykład, który podaje korespondent wspomnianego już „Sunday Times Magazine": Dziekan wydziału nauk politycznych Uniwersytetu Katolickiego wyraził zgodę na przeprowadzenie seminarium na temat „Kryzys demokracji na świecie". W pracach przygotowawczych do seminarium miał wziąć udział Eduardo Orej, były prezydent Chile i lider Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej oraz jeszcze jeden znany prawicowy działacz polityczny. Nowy rektor, wiceadmirał, natychmiast polecił dziekanowi złożyć podanie o zwolnienie z pracy oraz usunął z uczelni pięciu innych pracowników wydziału. Niedługo przed tym wydarzeniem aresztowano 48 pracowników Instytutu Orientalistyki przy Uniwersytecie Chilijskim. Ponieważ stanowili oni cały zespół naukowo-dydaktyczny Instytutu — Instytut zamknięto.

Junta działa prymitywnie, bez „subtelności", według znanych recept wszystkich dyktatorów. Na początek zlikwidowała swoich aktywnych przeciwników. Później rozprawiła się ze swymi przeciwnikami ideologicznymi, tj. z dziennikarzami, lekarzami, prawnikami, nauczycielami, inżynierami i in. sympatyzującymi z polityką prezydenta Allende. Teraz wzięła się junta za ludzi — pisze korespondent „Sunday Times" — którzy z zadowoleniem witali przewrót, ale których zakwalifikowała ona do liczby potencjalnych przeciwników. Są to ludzie, którzy dzięki osobistemu prestiżowi mogą któregoś dnia wystąpić w roli konkurentów junty.

Nadzieją umęczonych Chilijczyków są komuniści. Komunistyczna Partia Chile jest dobrze zorganizowana, zdyscyplinowana i wytrzymała. Dziesięć lat, do 1957 roku, działała nielegalnie, a następnie wyszła z podziemia jako duża polityczna siła. KP Chile brała pod uwagę możliwość przewrotu i dlatego tworzyła tajne komórki partyjne w dzielnicach robotniczych. Ocalały one, chociaż niektórych przywódców aresztowano. Komuniści widzą dyskredytację i degradację junty, widzą jak rozpala ona nienawiść do kliki Pinocheta w dzielnicach robotniczych oraz wzbudza przerażenie i niechęć do junty w średnich warstwach społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że czas pracuje na korzyść komunistów.

Ponieważ cała organizacyjna działalność polityczna jest zakazana, centralną rolę w oporze przeciwko juncie odgrywa tradycyjnie radykalne chilijskie duchowieństwo katolickie. Kardynał Raul Silva Enriquez, głowa Kościoła katolickiego w Chile, jest nastawiony szczególnie wrogo wobec reżimu Pinocheta. Kardynał już po raz drugi zbojkotował „święto drugiej rocznicy" zagarnięcia władzy przez juntę i zakazał odprawienia nabożeństwa. „Nie chcemy być polityczną opozycją — powiedział niedawno generalny sekretarz episkopalny Chile. — Ale ten, kto szuka nienawiści — znajdzie ją".

JERZY CZECH

Potwierdzenie polityki pokoju i rozszerzania współpracy.

nowe propozycje krajów socjalistycznych

Ponowny wybór Leonida Breżniewa na stanowisko sekretarza generalnego KC KPZR koła polityczne Zachodu i komentatorzy **uznali za potwierdzenie, że rozszerzony radziecki program pokoju, przyjęty na XXV Zjeździe KPZR, będzie konsekwentnie realizowany.** Upoważnia do tego sądu miniony okres, zaznaczony, jak wiemy, w stosunkach międzynarodowych korzystnymi zmianami. Leonid Breżniew utożsamiany jest z bardzo aktywną pokojową linią polityki radzieckiej i dążeniem do osłabienia groźby konfliktów militarnych.

Równocześnie komentatorzy podkreślają, że przedstawiony Zjazdowi przez premiera Aleksieja Kosygina program rozwoju gospodarki radzieckiej w ciągu najbliższych pięciu lat umocni poważnie pozycję ZSRR w świecie i zapewni lepsze zaspokajanie potrzeb konsumentów.

Za przejaw gotowości Związku Radzieckiego i całej socjalistycznej wspólnoty umacniania bezpieczeństwa i rozszerzania współpracy **zgodnie uznano naszą nową inicjatywę w dziedzinie redukcji zbrojeń, przedłożoną w Wiedniu oraz propozycje RWPG, przedstawione Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej.**

W wiedeńskich rokowaniach na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej nastąpił pewien impas, wynikający z upierania się Zachodu przy nierealistycznej formule, która naruszałaby równe bezpieczeństwo. Aby przezwyciężyć martwy punkt rozmów **kraje socjalistyczne wyraziły zgodę, aby w pierwszym okresie redukcją objęte były wyłącznie wojska ZSRR i USA,** a siły innych państw, uczestniczących w porozumieniu, zostały zamrożone aż do drugiego etapu, na którym i one podlegałyby ograniczeniu. Propozycja ta, jak podkreślił przedstawiciel Polski na 96 posiedzeniu plenarnym delegacji 19 państw, wychodzi naprzeciw zachodnim postulatom i jest kompromisową odpowiedzią na istotne kwestie, związane z negocjacjami. Powinna zatem zapoczątkować nowy etap w rokowaniach.

W miarodajnych kołach zachodnich wzbudziła ona zainteresowanie i jest uważnie studiowana.

Drugim faktem jest **pozytywna odpowiedź EWG na propozycje Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej,** zmierzające do zawarcia ogólnego porozumienia o zasadach stosunków między obu ugrupowaniami gospodarczymi. Z projektem takim wystąpiły niedawno kraje socjalistyczne, kierując się duchem i postanowieniami konferencji w Helsinkach.

RWPG i EWG są największymi na świecie ugrupowaniami, integrującymi na wielu polach działalność gospodarczą krajów członkowskich. Jednakże obroty handlowe między nimi stanowią tylko część obrotów światowych. W celu ich rozwoju konieczne jest usunięcie przeszkód, a więc ustalenie zasad. Porozumienie takie miałoby niewątpliwie dodatni wpływ również na rozwój współpracy z krajami trzecimi, które nie są członkami ani RWPG ani EWG.

Z propozycją podjęcia rozmów w sprawie zawarcia ramowego porozumienia wystąpiliśmy wobec EWG jeszcze w 1973 roku. Niestety — nie podjęto dialogu na ten temat. **Nasza inicjatywa z 16 lutego br. — w postaci projektu układu — znalazła, jak już pisaliśmy pozytywny oddźwięk.** Może to oznaczać początek nowego etapu we wzajemnych stosunkach. Wypełnienie postanowień Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, dotyczących rozwoju wymiany handlowej i gospodarczej między uczestnikami konferencji, wymaga liberalizacji handlu, przedyskutowania struktury eksportu, rozstrzygnięć spraw płatniczych i kredytowych... Długa jest więc lista problemów, które powinny być wspólnie omówione.

Przypomnijmy, że w przedstawionym XXV Zjazdowi KPZR przez Leonida Breżniewa programie dalszej walki o pokój i współpracę międzynarodową, o wolność i niezależność narodów jeden z punktów brzmi: **„walczyć o wyeliminowanie dyskryminacji i wszelkich sztucznych barier w handlu międzynarodowym, o likwidację wszelkich przejawów nierówności, dyktatu i wyzysku w międzynarodowych stosunkach gospodarczych".**

Przenieśmy się teraz na drugą półkulę — do Stanów Zjednoczonych, gdzie **okres bezpośrednich przygotowań do wyborów prezydenckich zapoczątkowany został w dwóch stanach t.zw. prawyborami.** Nie mają one wprawdzie większego znaczenia i podnoszą się głosy, aby je w ogóle zlikwidować — niektórzy jednak traktują je jako rozpoznanie, które potem ułatwia partiom wysunięcie swych kandydatów. Kto otrzyma nominację partii demokratycznej dowiemy się po 12 lipca, a kto partii republikańskiej — po 16 sierpnia. Są to bowiem daty konwencji, które w amerykańskim systemie wyborczym spełniają ważną rolę. **Obecnie** — na 9 miesięcy przed wyborami — **jest co najmniej 90 kandydatów na prezydenta,** oczywiście wielu z żadnymi szansami.

Od pierwszych prawyborów wszystko, co dzieje się w życiu publicznym USA, w większym lub mniejszym stopniu łączy się z kampanią wyborczą. Również polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych jest w tym okresie częściowo podporządkowana szansom kandydatów. Piszemy o tym dlatego, że już miały miejsce wypowiedzi polityków amerykańskich, które — gdybyśmy zapominali o ich wewnętrznym przeznaczeniu — musiałyby budzić duże zdziwienie.

W. SŁAWSKI

CENTRUM TAJNEGO FRONTU XIX

ANDRZEJ BLAJER

HASŁO „BREAKERS"

Pierwsze miesiące 1944 roku nie tylko nie przyniosły III Rzeszy poprawy sytuacji na frontach, lecz wprost przeciwnie, z każdym dniem kurczyły się granice wielkiego, hitlerowskiego imperium. Wszelkie próby ustabilizowania linii frontu na wschodzie kończyły się fiaskiem. Rozpoczęta wkrótce po bitwie pod Kurskiem jesienno-zimowa ofensywa armii radzieckiej, wbrew oczekiwaniom niemieckiego dowództwa nie tylko nie traciła rozpędu, ale wręcz przybierała na sile. W okresie od stycznia do kwietnia 1944 roku wojska radzieckie zajęły szereg strategicznych punktów na Ukrainie. Duże ugrupowanie armii niemieckiej zostało okrążone i rozgromione w rejonie Korsunia Szewczenkowskiego. Z początkiem kwietnia Armia Czerwona zajęła Odessę i przystąpiła do oczyszczania Krymu z hitlerowskich najeźdźców. Z kolei na północy wojska radzieckie podjęły zdecydowane działania mające na celu przełamanie blokady Leningradu. Również na froncie włoskim Niemcy zmuszeni zostali do wycofania się z zajmowanych pozycji wkrótce po wznowieniu przez aliantów operacji wojskowych, przerwanych jesienią 1943 r.

Tymczasem w **neutralnej Szwajcarii** w miarę jak szala zwycięstwa coraz bardziej zaczynała się przechylać na stronę ZSRR i aliantów zachodnich, również zmagania na tajnym froncie tej wojny stawały się coraz zaciętsze. Działalność rezydentur wywiadowczych Niemiec, W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych w tym kraju była na początku 1944 r. nacechowana niezwykłą aktywnością. Jedynie grupa wywiadowcza „Dory", której możliwości dostępu do informacji tak przecież interesujących radziecki sztab generalny stały się pod koniec 1943 roku większe niż kiedykolwiek wcześniej — była jakby sparaliżowana. Odcięcie przez kontrwywiad szwajcarski jej dróg łączności z Centralą spowodowało, iż choć sam Rado jak i główni współpracownicy grupy: „Sissy", „Pakbo" czy „Lucie" znajdowali się na wolności, nadal otrzymując wiadomości ze swych źródeł informacji, praktycznie nie istniała jako organizacja wywiadowcza. Sytuacja była tym trudniejsza, że szanse na zainstalowanie nowych radiostacji były w owym czasie znikome. Do tego stanu przyczyniała się przede wszystkim niezwykła aktywność policji i kontrwywiadu szwajcarskiego najwidoczniej usiłującego przechwycić nici łączące organizację „Dory" z Centralą w Moskwie. Próby takie Szwajcarzy podejmowali kilkakrotnie między innymi zwalniając z więzienia aresztowanych radiotelegrafistów i obserwując ich celem wykrycia pozostałych członków grupy a zwłaszcza jej szefa oraz nawiązując kontakt z Moskwą przez podstawionego w miejsce „Jima" radiotelegrafistę. Ta druga próba od razu spaliła na panewce, bowiem nie znając szyfru „Jima" posłużono się kodem „Dory", co natychmiast uświadomiło radiooperatorom Centrali, że mają do czynienia z prowokacją. Kontynuowali oni jednak grę z wywiadem szwajcarskim przekazując polecenia i wskazówki mające wprowadzić go w błąd. Dopiero po wielu tygodniach Szwajcarzy zorientowali się, że zostali wyprowadzeni w pole i zaniechali tej formy działania widząc, że nie uzyskują żadnych dodatkowych informacji.

W drugiej połowie kwietnia 1944 r. policja aresztowała Rachelę Dübendorfer („Sissy"), jej męża Paula Böttchera oraz Christiana Schneidera („Taylora"), który był łącznikiem grupy z „Lucie". Sam Rudolf Rössler także nie uniknął aresztowania w maju tegoż roku. Wszystkich ich umieszczono w więzieniu Bois-Mermet w Lozannie. W tym miejscu ktoś mógłby zapytać, no tak, „Sissy", „Paul", „Taylor" to członkowie grupy Sandora Rado, aresztowanie ich można przypisać naciskom Niemców, którzy prawdopodobnie obawiali się, iż organizacja znów wznowi działalność, gdy zdobędzie nowe radiostacje, ale fakt zatrzymania Rösslera? „Lucie" był przecież dla Niemców zagadką, nie wiedzieli o jego istnieniu, zaś dla Szwajcarów stanowił źródło niezwykle cennych informacji, a zatem dlaczego znalazł się w więzieniu?

Tym razem działanie brygadiera Rogera Massona nie wynikało z braku logiki ani chęci przypodobania się ludziom Schellenberga. Szef szwajcarskiego wywiadu i tak wywiązał sie już z obietnicy danej SS-Brigadeführerowi aresztując radiotelegrafistów i pozbawiając tym samym organizację „Dory" możliwości kontaktowania się z Centralą. Poszedł nawet jeszcze dalej, zgadzając się na uwięzienie „Taylora", „Sissy" i jej męża, ale decyzję o umieszczeniu w areszcie „Lucie" podjął kierując się zupełnie innymi względami. Na uwadze miał przede wszystkim własne interesy, za żadną cenę nie chciał dopuścić, aby Niemcy wykryli tajemnicę „Lucie" i jego berlińskich informatorów. Tymczasem nad głową niemieckiego emigranta zawisło poważne niebezpieczeństwo. O jego istnieniu nie wiedzieli ani radiotelegrafiści, ani prowadząca śledztwo policja, był również anonimową postacią dla „Sissy", która nie utrzymywała bezpośredniego kontaktu z Rösslerem. Tylko jeden człowiek spośród aresztowanych znał „Lucie" osobiście. Był nim Christian Schneider („Taylor"). I właśnie „Taylor" zaczął mówić. Tego Masson nie przewidział. Oczywiście mógł bez najmniejszych trudności uchylić nakaz aresztowania Rösslera, ale skoro jego nazwisko padło już w czasie śledztwa, to pomimo, iż dochodzenie jest tajne, istnieją poważne obawy, że pewne szczegóły mogą przeniknąć do Niemców. Gdyby zaś ludzie Schellenberga skojarzyli sobie na podstawie tych informacji, że Rössler i „Lucie" to ta sama osoba, tak usilnie przez nich poszukiwana, zrobiliby wszystko, aby go porwać lub zabić. Roger Masson dobrze wiedział, jaką kartę trzyma w ręku, aby mógł sobie pozwolić na jakiś nieostrożny krok. Ryzyko było zbyt wielkie. Doszedł więc do wniosku, iż w tej sytuacji najlepszym posunięciem będzie aresztowanie Rösslera, bowiem więzienie wydawało się być dlań najlepszym schronieniem przed agentami Schellenberga. Mimo wszystko tam raczej nie byli w stanie go dosięgnąć. SS-Brigadeführer wiedział o tym doskonale. Miał więc praktycznie związane ręce — on, szef potężnego kontrwywiadu został wyprowadzony w pole przez tę miernotę, brygadiera Massona. Zwyciężony przez Szwajcara... któż by pomyślał. Postanowił jak najszybciej zapomnieć o całej tej historii, tym bardziej, że niebawem czekały go inne zadania. Kontrwywiad ustalił bowiem, iż w Rzeszy zawiązał się spisek na życie führera, a z uzyskanych przezeń informacji wynikało, że do zamachu stanu może dojść latem, prawdopodobnie w lipcu.

Roger Masson z kolei mógł święcić triumf, pokonanie tak chytrego lisa, jakim był Schellenberg to nie lada sukces, a poza tym praktycznie wyeliminował z działań na tajnym froncie grupę wywiadowczą „Dory" nie tracąc berlińskiej siatki Rösslera. Miał więc powody do pełnego zadowolenia. Jego krajowi nie groziło już niebezpieczeństwo ze strony Rzeszy, Niemcy musieli teraz myśleć o własnej skórze.

I oto nagle, pod **koniec maja 1944 r.**, ambasador Szwajcarii na Węgrzech Jaeger przekazał wiadomość, która jak grom z jasnego nieba spadła na wojskowe i cywilne władze Konfederacji. Niemcy przygotowują się do aneksji Szwajcarii, może ona nastąpić w najbliższym czasie, zaś następnym celem będą Węgry. Tego najmniej oczekiwano w tym momencie. Zaskoczenie było kompletne. 5 czerwca naczelny dowódca armii szwajcarskiej, generał Guisan zarządził naradę z udziałem swego ścisłego sztabu w składzie: Huber, Gonard, Bracher oraz brygadier Masson. Ten ostatni zadawał sobie pytanie czy przypadkiem nie jest to akt zemsty ze strony Schellenberga w odwecie za doznaną porażkę, nie odważył się jednak wypowiedzieć tego głośno. Z informacji uzyskanych przez wywiad wynikało, że wojska niemieckie skoncentrowały się w Alzacji, znajdowała się tam również znaczna ilość samolotów transportowych. Wzdłuż granicy szwajcarskiej w strefie ok. 200 km mogło się znajdować od 20 do 35 dywizji Wehrmachtu. Czy jednak jest to dyslokacja strategiczna?

W czasie narady Masson poparty przez Gonarda wystąpił z propozycją zarządzenia powszechnej mobilizacji, podczas gdy Huber sądził, że krok taki jest niepotrzebny, bowiem obecna sytuacja jest całkowicie różna od tej, w jakiej znajdowała się Szwajcaria w 1940 r. Armia niemiecka uchodziła wówczas za niezwyciężoną, natomiast na początku czerwca 1944 r. rzecz miała się zupełnie inaczej. Jednakże generał Guisan był również zdania, że w tych okolicznościach powszechna mobilizacja jest jedynym możliwym do przyjęcia posunięciem. Lecz do ogłoszenia decyzji o mobilizacji armii nie doszło, oto bowiem następnego dnia 6 czerwca na plażach Normandii wylądowały pierwsze oddziały alianckie. Długo oczekiwana inwazja sojuszników w Europie zachodniej stała się wreszcie faktem. Tego samego dnia uleciały tak samo nagle jak się pojawiły wszelkie obawy szwajcarskiego dowództwa, aneksja ze strony Niemiec przestała być realną groźbą.

Tymczasem w Niemczech coraz silniej dawało się odczuć rozgoryczenie i niezadowolenie społeczeństwa. Powodowały je przede wszystkim klęski na froncie wschodnim ukazujące cały bezsens tej wojny i marnotrawstwo zwielokrotnionego wysiłku społecznego dla pokrycia potrzeb armii. Wiara w ostateczne zwycięstwo, choć bez przerwy podsycana przez propagandę III Rzeszy, została poważnie zachwiana. Mimo szalejącego terroru coraz liczniejsze głosy domagały się zmiany polityki prowadzonej przez Niemcy, a przede wszystkim zaprzestania wojny. Wszystko jednak rozbijało się o przeszkodę, której żadna siła nie była w stanie sforsować, o osobę führera. Hitler i jego partia już dawno przestali być symbolem wielkich i niezwyciężonych Niemiec, teraz w oczach wielu, w tym także przedstawicieli kół rządzących, wielkiego kapitału, przemysłu i elity Wehrmachtu führer uchodził za szaleńca, który niebawem zepchnie ich wszystkich w otchłań zagłady. I oto wśród nich, popierających go do niedawna bez zastrzeżeń, żrodził się plan usunięcia przeszkody, która stoi na drodze do uratowania tego, co jeszcze pozostało z wielkości Rzeszy. Zrodził się plan wyeliminowania Hitlera z gry i nawiązania kontaktów z aliantami celem podjęcia pertraktacji pokojowych, aby później wspólnymi siłami przeciwstawić się „czerwonemu niebezpieczeństwu" nadchodzącemu ze Wschodu. Plany takie, które pojawiły się jeszcze w 1943 roku, o czym pisze Allen Dulles w książce „Germany's Underground", skrystalizowały się ostatecznie w pierwszej połowie 1944 roku. Aby jednak mogły zakończyć się powodzeniem, należało wszystko starannie przygotować, a w tym także nawiązać wstępne kontakty z Anglikami i Amerykanami. Ci ostatni obserwowali zawiązujący się spisek z rosnącym zainteresowaniem. Świadczą o tym między innymi liczne spotkania niemieckiego wicekonsula w Zurychu, Hansa Giseviusa, z szefem amerykańskiej misji dyplomatycznej, Dullesem. Gisevius, podobnie jak Dulles, był rezydentem wywiadu, a do tego jeszcze łączyły go ścisłe związki ze spiskowcami z Berlina. Amerykanin wiedział więc, że trudno byłoby znaleźć lepsze źródło informacji na temat sytuacji wewnętrznej Niemiec. Gisevius z kolei widząc, że przekazywane tą drogą wiadomości trafiają na podatny grunt, dostarczał ich coraz więcej. Gdy po pewnym czasie musiał ze względów bezpieczeństwa zaprzestać kontaktów z amerykańskim dyplomatą, na jego miejsce Abwehra zaprotegowała adwokata Edwarda Waetjena, który dalej kontynuował funkcję łącznika między Waszyngtonem a Berlinem. Nieco później on sam padł ofiarą podejrzeń i znów opozycji udało się znaleźć jego następcę w osobie Theodora Strüncka (rozstrzelanego po 20 lipca).

Kontakty z przedstawicielami opozycji były na tyle owocne, iż już **w styczniu 1944 roku** Dulles był dość dobrze zorientowany w planach różnych grup spiskowców. W swych raportach do centrali OSS w Waszyngtonie oznaczonych kryptonimem „Breakers" informował o występowaniu różnych orientacji w łonie ugrupowań opozycyjnych, podawał nazwiska głównych przywódców poszczególnych orientacji, jak również ujawniał ich koncepcje polityczne po usunięciu Hitlera od władzy oraz warunki na jakich godzą się współpracować z zachodnimi aliantami. W zamian za niestawianie oporu wobec armi alianckich, Amerykanie i Anglicy mieli dopomóc Niemcom w powstrzymaniu radzieckiej ofensywy na wschodzie. Rokowania przedstawicieli reakcyjnego skrzydła sprzysiężenia „20 lipca" ujawnia bez osłonek memorandum zastępcy szefa OSS generała Magrudera skierowane 17 maja 1944 roku do Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Z jego treści wynika, iż wśród czołowych spiskowców znajdują się tacy ludzie jak Wilhelm Leuschner, przywódca socjalistów niemieckich i były minister spraw wewnętrznych Hesji; generał Hans Oster, prawa ręka admirała Canarisa; Carl Goerdeler, były burmistrz Lipska oraz generał Ludwik Beck. Dwaj ostatni, według relacji Dullesa, uchodzili za przywódców spisku. Raport ujawniał, iż emisariusze przedstawicieli opozycji przekazali na początku kwietnia 1944 wysłannikowi OSS w Bernie projekt porozumienia, jaki reprezentowana przez nich grupa spikowa mogłaby zawrzeć z zachodnimi aliantami. Grupa ta określała siebie jako jedyną organizację zdolną usunąć Hitlera i nazistów od władzy, posiadającą wielkie wpływy w najwyższych kręgach armii i dość sił, aby zrealizować wytyczony cel. Jednocześnie wskazywano, że generałowie dowodzący na froncie zachodnim, a zwłaszcza von Rundstedt i Falkenhausen nie będą stawiać oporu wobec alianckich wojsk inwazyjnych po usunięciu nazistów od władzy i po podpisaniu odpowiednich porozumień ułatwią sojuszniczym jednostkom powietrzno-desantowym opanowanie głównych punktów strategicznych na terytorium Niemiec. Jedynym warunkiem ze strony owej grupy opozycyjnej było zawarcie układu wyłącznie z mocarstwami zachodnimi. Ów warunek wynikał z faktu, iż grupa reprezentowała charakter konserwatywny i głosiła gotowość współpracy ze wszystkimi siłami lewicy z wyjątkiem komunistów. Również przyszły rząd tymczasowy miał się składać z przedstawicieli wszystkich ugrupowań politycznych poza komunistami. U podstaw takiego stanowiska — jak wyjaśniał Magruder — spoczywała obawa, iż po załamaniu się systemu narodowosocjalistycznego bolszewizm zyska w centralnej Europie przewagę ideologiczną i polityczną. A oto fragment omawianego memorandum, który dość wymownie i jednoznacznie obrazuje faktyczne plany głównych inicjatorów spisku „20 lipca".

„(...) 5. W maju 1944 r. w niespełna miesiąc po wizycie emisariuszy u przedstawicieli OSS, otrzymali oni ustną wiadomość od kuriera grupy opozycyjnej. Obecnie również Halder, Zeitzler, Heusinger (szef oddziału operacyjnego u Zeitzlera), Olbricht, Falkenhausen i Rundstedt są wymieniani jako członkowie opozycji niemieckiej. Grupa donosiła, iż jest gotowa pomóc oddziałom alianckim w przeniknięciu na terytorium Niemiec, o ile alianci zgodzą się, by Wehrmacht nadal prowadził działania na froncie wschodnim. W szczególności proponowała:

1. Lądowanie trzech alianckich dywizji powietrzno-desantowych w rejonie Berlina, gdzie mogą liczyć na pomoc głównodowodzącego Wehrmachtu i podległych mu sił;

2. Przeprowadzenie dużych desantów morskich w okolicach Bremy lub Hamburga;

3. Kontynuowanie operacji desantowych we Francji przy czym alianci nie mogą jednak liczyć na pomoc ze strony feldmarszałka Rommla;

4. Operację wyborowych jednostek Wehrmachtu z okręgu wojskowego w Monachium celem izolowania Hitlera i innych czołowych nazistów w Berchtesgaden.

Z dalszych doniesień grupy opozycyjnej wynika, iż uważa ona, że wojna jest dla Rzeszy przegrana oraz że jedyna szansa zapobieżenia powstaniu komunistycznych Niemiec tkwi w tym, by ułatwić anglo-amerykańskim siłom zbrojnym zajęcie możliwie jak największej części Europy zanim załamie się front wschodni (...)"

Po upływie kilku tygodni, w czasie których Dulles nie otrzymał żadnych informacji od spiskowców, Gisevius przekazał 12 lipca wiadomość, że spisek przeciwko Hitlerowi wkracza w decydującą fazę. Według jego relacji wszystko jest już przygotowane, tak więc dni führera są policzone. Dulles natychmiast przekazał do Waszyngtonu informację: „na Północy szykują się dramatyczne wydarzenia". Kilka dni później wybuch bomby w kwaterze głównej Hitlera „Wolfschanze" miał być sygnałem do wejścia w życie planu „Walkiria", a który Dulles oznaczył hasłem „Breakers". Miał być, lecz właściwie się nim nie stał, Hitler bowiem przeżył wybuch, zaś spisek został praktycznie stłumiony zanim się rozpoczął.

MAKRA

Makra to nazwisko głównego bohatera powieści Akosa Kertèsza i jednocześnie tytuł oryginału węgierskiego. W polskim tłumaczeniu książka zyskała tytuł nieco dłuższy — „Makra, czyli cena przegranej", wprowadzający niejako od razu w problematykę i atmosferę powieści, ujawniający również tragiczny finał życia Makry. Bohater przegrywa swoje życie, bo nie umie pogodzić swoich własnych poglądów i norm życiowych z tym,co się wokół niego dzieje. Makra jest człowiekiem, jak to się w skrócie mówi, nieprzystosowanym. Przegrywa, a cena, jaką za owo przegranie płaci jest najwyższa. Makra popełnia samobójstwo.

Interesująca, współczesna powieść Akosa Kertèsza ukazała się w roku 1971 i od razu zyskała na Węgrzech miano bestsellera. Sfilmowano ją, a później w oparciu o nią powstała sztuka teatralna. Główny bohater jest z zawodu ślusarzem. Przez pewien czas również sam autor pracował jako ślusarz, zainteresowania literackie sprawiły jednak, że powoli zaczął odchodzić od swego zawodu. Akos Kertèsz próbował swoich sił najpierw w krótszych formach literackich, pisał nowele. Debiutował w roku 1958, w 1962 roku opublikowano tom jego nowel, trzy lata później ukazała się jego pierwsza powieść. Po ukończeniu studiów, od 1966 roku Akos Kertèsz pracuje jako dramaturg w wytwórni filmowej.

„Makra, czyli cena przegranej" ukazała się w serii PIW „Współczesna Proza Światowa", jako jeden z tytułów roku 1975.

———

Akos Kertèsz — „Makra, czyli cena przegranej", przełożył: T. Olszański; PIW Warszawa 1975, str. 267, cena: zł 25,—

DWIE POWIEŚCI

Jörg Steiner to współczesny prozaik i poeta szwajcarski. Po ukończeniu w roku 1952 seminarium nauczycielskiego zaczął pracować w zakładzie karnym dla nieletnich w Biel, w swojej rodzinnej miejscowości. Jörg Steiner uważany jest dzisiaj za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli literatury szwajcarskiej, o popularności jego utworów świadczą również nagrody literackie przyznane mu za jego twórczość prozatorską.

W serii „Współczesna Proza Światowa" PIW ukazały się w jednym tomie dwie jego niewielkie powieści — „Praca karna" i „Nóż dla uczciwego znalazcy". Obie łączy zarówno niebanalna forma, jak i temat. W obu powieściach autor wykorzystuje bowiem swoje pedagogiczne doświadczenia nauczyciela zakładu karnego dla nieletnich.

Bohaterami prozy Steinera są młodzi ludzie, którzy popadli w konflikt z prawem. Autor przedstawia ich perypetie życiowe, z dużą wnikliwością psychologiczną kreśli sylwetki swoich młodych bohaterów, stara się również dociec, co sprowadziło ich na drogę przestępstwa, a jednocześnie pokazuje niemożność przystosowania się do życia wśród społeczeństwa już po opuszczeniu przez nich zakładu poprawczego.

———

Jörg Steiner — „Praca karna. Nóż dla uczciwego znalazcy", przełożył: A. Sąpoliński, PIW Warszawa 1975, str. 316, cena: 35,—

„GRA O MEDAL"

Późno, bo późno, ale dotarł wreszcie do księgarni album poświęcony występom polskich piłkarzy na X Mistrzostwach Świata. W metryczce albumu czytamy:

„...oddano do składania w listopadzie 1974, druk ukończono w listopadzie 1975".

Do księgarni „Gra o medal" dotarła na początku tego roku. Gdyby nasi piłkarze grali na mistrzostwach w takim tempie, to o srebrnym medalu nie byłoby co marzyć. Jedyny plus tej całorocznej pracy drukarzy nad albumem, to czysta, staranna, rzeczywiście piękna szata graficzna. Obok wielu czarno-białych i kolorowych zdjęć czytelnik znajdzie tu także kronikę występów naszych piłkarzy spisaną przez Stefana Grzegorczyka, na co dzień redaktora naczelnego tygodnika „Piłka Nożna", wówczas rzecznika prasowego polskiej ekipy.

Grzegorczyk pisze:

„Jest to opowieść prawdziwa. Opowieść o 28 dniach na X Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej, a właściwie o Polakach na wielkiej imprezie. Nie znajdziecie w niej mrożących krew w żyłach opisów szarży Andrzeja Szarmacha na bramkę Argentyny czy Włoch, jak również nic o stanie psychicznym Jana Tomaszewskiego w chwilach strzelania mu rzutów karnych. Nie powiedzą tu także nic Dejna ani Gorgoń o tym, co myśleli w momencie strzelania bramki przez Muellera. Znajdziecie natomiast pisaną dzień po dniu kronikę pobytu w Murrhardt i walkę na boiskach Republiki Federalnej Niemiec. Poznacie drogę polskich piłkarzy do srebrnego medalu i trzeciego miejsca na świecie."

Album „Gra o medal" mógłby sprawić nie lada frajdę każdemu kibicowi, bo na pewno wielu było takich, którzy chcieliby go mieć — i to nawet mimo wysokiej ceny — w swojej sportowej biblioteczce. Niestety. Nakład wynosi tylko 20 tys. egzemplarzy i podejrzewam, że wielu czytelników odejdzie z niczym sprzed księgarskiej lady. Nie dość, że późno, to jeszcze mało, Szkoda.

———

Stefan Grzegorczyk — „Gra o medal", Wydawnictwo „Sport i turystyka", Warszawa 1975, str. 208, cena: zł 190,—

„KSIĘGA SPORTU POLSKIEGO"

Równocześnie z albumem „Gra o medal" ukazała się — również ze sporym opóźnieniem — „Księga sportu polskiego 1944—1974".

„W chlubne 30-lecie Polski Ludowej oddajemy do rąk Czytelników — pisze komitet redakcyjny — „Księgę sportu polskiego". Opracowało ją szerokie grono działaczy od lat związanych z kulturą fizyczną i sportem polskim. „Księga sportu polskiego" obejmuje swym zakresem wszystkie niemal zagadnienia kultury fizycznej. Stąd też przedstawiono jej strukturę, modele formy zarządzania, obowiązkowe i dobrowolne wychowanie fizyczne i masowy ruch sportowy, rekreację i rehabilitację sportową, budownictwo i sprzęt — czyli bazę urządzeniową, opiekę lekarską i wysoko kwalifikowany sport. Ukazano zasłużone w jej upowszechnianiu organizacje, instytucje, stowarzyszenia i związki sportowe oraz ludzi, zarówno tych, którzy tworzyli jej wartości na co dzień, jak i tych, którzy swoim mistrzostwem pasjonowali szerokie rzesze miłośników sportu."

Tych ostatnich z pewnością ucieszą dwa duże rozdziały „Księgi sportu polskiego" omawiające osiągnięcia w poszczególnych dyscyplinach sportowych i przypominające kolejnych mistrzów Polski w minionym trzydziestoleciu, wśród nich nazwiska, które są znane nawet najmłodszym kibicom sportu, ale i wiele takich, które nawet tym starszym nic już dziś nie mówią. Wydaje się, że przy tej prezentacji mistrzów zmarnowano jedną szansę. Nie podano mistrzowskich rezultatów, które jak choćby w lekkiej atletyce, są przecież najlepszym obrazem rozwoju polskiego sportu i jednocześnie stale rosnących możliwości naszych zawodników. Miejsca by to wiele nie zajęło, a ileż przyniosłoby pożytku. Tym bardziej, że wśród naszych sportowych książek nie ma publikacji o charakterze encyklopedycznym. „Księga sportu polskiego" mogłaby tę rolę spełnić, gdyby nie ten — drobny? — mankament.

B. M.

———

„Księga sportu polskiego 1944—1974", Wydawnictwo „Sport i Turystyka", Warszawa 1975, str. 628, cena: zł 196,—

WARTO PRZECZYTAĆ

Tomsz Mann, Henryk Mann — „Korespondencja 1900—1949", Czytelnik 1975, cena: zł 75,—

Stefan Żeromski — „Listy do Henryka Bukowskiego", Czytelnik 1975, cena: zł 70,—

A. MacLean — „Siła strachu", Czytelnik 1975, cena: zł 30,—

J. C. Onetti — „Martwy port", Wydawnictwo Literackie 1975, cena: zł 25,—

C. Backvis — „Szkice o kulturze staropolskiej", PIW 1975,

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

KRONIKI POLSKIE

Kronik Galla i Długosza nie czytujemy zazwyczaj w oryginale, także i w przekładzie nie są to dzieła zbyt łatwo dostępne i przystępne. Znakomity więc pomysł miała Antonina Jelicz opracowując piękny wybór z kronik średniowiecznych. Nawiasem mówiąc księga zawiera bogaty — piękny i barwny — materiał ilustracyjny: inicjały ze starych ksiąg, sztychy i ilustracje.

Wyboru dokonano z kronik: krakowskiej, wielkopolskiej, oliwskiej oraz z dzieł Długosza, Galla Anonima, Wincentego Kadłubka, Kallimacha i Janka z Czarnkowa. Ponieważ przekłady są w większości współczesne, więc i tekst bardziej przejrzysty dla czytelnika nie przyzwyczajonego do staropolszczyzny. Z takim zresztą zamysłem wydano chyba tę księgę, bo nakład 15 tys. egzemplarzy wskazuje na adres nieco szerszy niż wąskie grono historyków.

Antologia „By czas nie zaćmił i niepamięć" ukazuje też nam jak kształtowało się polskie dziejopisarstwo, jakim ulegało przemianom w swoim kształcie literackim i jak zawsze właściwie było w pełni funkcjonalne, związane z potrzebami władcy, jego polityką czy polityką określonego stronnictwa, społeczności, panującej tendencji. Są więc w tych kronikach wypowiedzi entuzjastów i malkontentów, jest aprobata i paszkwil, podporządkowanie się i ostra opozycja.

Nie miała na przykład u kronikarzy „dobrej prasy" trzecia żona Władysława Jagiełły, szlachcianka Elżbieta Granowska. Jan Długosz pisze o niej **„niewiasta wieku podeszłego"**. Nie wiadomo, ile lat miała owa Elżbieta z Pilicy, ale wiadomo, że była... trzykrotną wdową. **„Nie sromał się król tak dostojny brać za żonę kobietę suchotami wyniszczoną i swoją poddankę, wdowę po trzech mężach (...) zwiędłą i podstrzałą".**

Senat królewski był przeciwny temu małżeństwu, ale Jagiełło się uparł, więc jak smętnie zauważa Długosz—**„jedni ustąpili mimowolnie, drudzy zezwolili"**. Pewno, Rada Radą, ale po co zadzierać z królem. Prognostyki jednak nie były dla Elżbiety najlepsze. Ślub się odbył 2 maja (1417 roku) i zaraz potem **„powstała zawieja, śnieg z deszczem i krupami padał, co wszystkich zafrasowane już tym małżeństwem umysły jeszcze bardziej powarzyło i zasępiło"**.

Na domiar złego, kiedy Granowska po ceremonii ślubnej wsiadła do powozu **„złamało się pod nią koło i to w największym błocie"**. No, cóż — wróżby okazały się nie takie głupie, bo Elżbieta była żoną Jagiełły zaledwie trzy lata, zmarła w 1420 roku.

Królowi „pożądliwość" przeszła chyba wcześniej, bo kiedy po śmierci królowej pisarz królewski, Stanisław Ciołek, napisał na jej temat parę obelżywych wierszy, Jagiełło nie ukarał go zbyt dotkliwie. Wkrótce zresztą przywrócił Ciołka do łask, mianował podkanclerzem, a potem i na godność biskupa został wyniesiony. A trzeba dodać, że Ciołek w słowach nie przebierał nazywając królową **„maciorą pologami wyniszczoną"**.

Przytaczam tę sensacyjną historię na dowód, że wybór Antoniny Jelicz czyta się jak powieść obyczajową o średniowieczu.

Ale jest w tej fascynującej antologii polskich kronik nie tylko sensacja, obyczaje i polityka. Jest także... astronomia. Oto we wrześniu 1378 roku **„ukazała się na niebie między Baranem a Bykiem gwiazda ogoniasta, kometą zwana"**. Trwała tylko przez pięć nocy i — oczywiście jak twierdził kronikarz, była zapowiedzią zmian i **„przepowiednią przyszłego rozerwania w Kościele"**.

Nie śmiejmy się z naiwnego, średniowiecznego dziejopisa. Niech no tylko teraz, anno 1976, ukaże się na niebie kometa, ileż to będziemy mieli przypuszczeń i rozważań na temat co nam wróży ta gwiazda ogoniasta.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CO ROBIĆ?

— „Po co ja kończyłam studia? Czy po to, aby teraz nie mieć nikogo bliskiego?" — woła pełna niepokoju pani magister na łamach „Kobiety i Życia". Nie jest to wcale pytanie odosobnione. Redakcja wspomnianego tygodnika udzieliła głosu wielu młodym kobietom w sprawie, wywołanej przez J. Lovella w kapitalnym artykule zamieszczonym przez „Życie Literackie". Artykuł kończył się stwierdzeniem: „Znaczna część kobiet z wyższym wykształceniem skazana jest na życie samotne". Młode kobiety z cenzusem unisono potwierdzają tę prawdę: widzą i czują dokoła siebie matrymonialną pustkę. Widzą i czują, że ich z neoficką gorliwością manifestowana samodzielność, przebojowość, stawanie w każde szranki, mierzenie w każdy cel — odsuwa od nich, jak się okazuje zainteresowania męskie te najbardziej intymne, którym przecież nareszcie po wiekach tłamszenia i dławienia chcielibyśmy wszyscy — i chciałyby wszystkie — przywrócić ich pogański walor jednego z najistotniejszych czynników ludzkiego szczęścia. Mówiąc brutalnie: pani magister, intelektualistka, zaaferowana, rozdyskutowana, walcząca i zazdrosna w każdej minucie o swoje świeżutkiej daty równouprawnienie — okazuje się partnerem mniej sexy, a za to o ileż bardziej uciążliwym. Panowie boją się takich partnerów. To jest truizm.

Nie rzucajcie we mnie wymysłami o obskurantyzmie i o hołdowaniu ideałom gąsek domowych. Relacjonuję zjawisko z satysfakcją, że nareszcie zostało dostrzeżone, sformułowane i poddane osądowi, co jest na pewno lepsze od lękliwego przemilczania w imię walki o pryncypia. Zamiast wieszać na sobie przydomki i epitety, postarajmy się zrozumieć tę sprawę, która nie dla każdego (a zwłaszcza nie dla każdej) kończy się wzruszeniem ramion.

Walorem męskim (a może — wulgarnie mówiąc — samczym) — żebyśmy nie wiem co mówili i pisali — jest siła w różnych jej postaciach. Mężczyzna zdobywa miłość kobiety, kiedy jest „męski": mądry, wybitny, opiekuńczy, silny — oczywiście nie w sensie podnoszenia fortepianu, tylko właśnie w sensie wyróżniania się zdolnościami, sławą, stanowiskiem, uznaniem. To dlatego — nie tylko dla forsy — bardzo wybitni mężczyźni jeszcze w wieku 80 lat zdobywają piękne i młode kobiety. Zanim ktoś sięgnie po jak najsłuszniejsze hasła równouprawnienia kobiet i ich praw do każdej kariery, niech z ręką na sercu poduma — co i jak on sam myśli o mężczyźnie, utrzymywanym czy tylko subsydiowanym przez żonę, lepszą od niego społecznie, mądrzejszą, wybitniejszą? W jakich środowiskach taki styl już dziś ocenia się pozytywnie, bez lekkiej kpinki i ironicznych uwag?

„W wielu małżeństwach toczy się walka o to, kto jest ważniejszy. Mężczyzna broni swojej pozycji, kobieta walczy o pierwszeństwo — stąd tyle konfliktów w rodzinach, utarczek, urażonej ambicji" — pisze „Zmartwiona babcia", jedna z uczestniczek ankiety w „Kobiecie i Życiu". Babcie czasami też mają rację, nie dezawuujmy babci en bloc. Bardzo wiele pań z dyplomami już w okresie „chodzenia" podejmuje tę walkę o pierwszeństwo. Partner płoszy się i ucieka, on chce być „męski", to pewnie staroświeckie i głupie, dobrze, dobrze, ale to fakt na niejedno jeszcze pokolenie.

Zresztą są jeszcze inne przyczyny trudności w znalezieniu partnera przez panią magister (nb. zobaczcie, ile takich pań zgłasza się na „Bale samotnych"!). Bo tak: Mężczyzna z wyższym wykształceniem bez żadnych oporów, a kto wie czy nie chętniej, bierze żonę bez wyższego wykształcenia. Natomiast kobieta z dyplomem chciałaby mieć męża co najmniej równego wykształceniem, z powodów o których wyżej, żeby się go nigdzie przed nikim nie wstydzić, żeby jeszcze raz potwierdził jej z trudem zdobytą pozycję społeczną. Baza wybiorcza takich parterów okazuje się przeraźliwie szczupła: rówieśnik ze studiów chodzi z młodszą od siebie pensjonarką, w ogóle jest trochę za młody, a tu studia absorbują, warunków nie ma, nic się nie zarabia, brak mieszkania. Kończy się studia mając 24—25 lat, dla dziewczyny to sporo. Potencjalni kandydaci, t.zn. starsi o 3—5 lat, już są żonaci. No i co robić?

Z wielkim zainteresowaniem będziemy śledzić dyskusję w „Kobiecie i Życiu". Mamy nadzieję, że nie skończy się okrągłymi hasłami, których słuszności nikt rozsądny nie chce kwestionować, tylko: co robić? Co robić, żeby epoki przejściowej, a taką są nasze lata dla walczących o równouprawnienie kobiet, nie usłać pokotem zwiędłych beznadziejnie losów i szczęść ludzkich?

ĆWIEK

KSIĄŻKI

POEZJA POD KARCZÓWKĄ

W Kielcach wychodzą „Przemiany", działa Klub Literacki i rozwija się Świętokrzyska Politechnika. Na tzw. prowincji zachodzą przemiany przybierające postać prawidłowości. W „Bibliotece Literackiej »Przemian«" ukazują się w „normalnym" nakładzie 1 000 egzemplarzy tomiki poetyckie drukowane starannie na dobrym papierze, zaopatrzone w nienajgorszą grafikę. Poezjowanie zatacza coraz szersze kręgi, potrzeba druku jest mimo wszystko potrzebą naturalną. A czytelnik poszukujący prawidłowości, nie arcydzieł, zyskuje doskonałe pole obserwacji. Z dwóch ostatnich tomików „BLP" jeden jest autorstwa prezesa Koła Literackiego, drugi pracownika Politechniki (i członka kolegium wydawniczego „Biblioteki"). To prawidłowość pierwsza. Druga to reprezentatywność dwóch, odmiennych przecież wypowiedzi poetyckich.

Zapis

Wiersze Bogdana Pasternaka są w stanie zadowolić tę grupę czytelników, której satysfakcji dostarcza kolejny zanotowany cytat. Wypisuję:

„Wygasają w poetach Ogniska gorących swarów" (s. 32)

„Kto pragnie przetrwać Nie przypina skrzydeł" (41)

„Mądrość nie do walki Sposobi człowieka" (33) Z zaskoczeniem stwierdzić wypada, że ochocza łatwość formułowania sentencji, biorąca się zapewne z nadwiślańskiego rodowodu, jest oto na usługach nie chłopskiej (boć niemęskiej) rezygnacji.

Rozwiązanie wydaje się być proste, podpowiadane choćby takim oto, znamiennie przewrotnym stwierdzeniem:

„Bóg mi wynagrodził
Niskie pochodzenie
Mieszkam wysoko"

W tej sytuacji siłą rzeczy ziemia jest, dosłownie, odległa. W oderwaniu od swej gleby przestaje funkcjonować tradycja.

„W moim obcym domu
Święta Wielkanocne
Obchodzę jak dzień powszedni"

— stwierdza autor („Wielkanoc 1974"). W „Wigilię" zaś —pisze artykuł („domu już nie ma", 16).

Wykorzenienie, porzucenie właściwego sobie miejsca na ziemi czyni świat obcym, niepoddającym się oblaskawiającemu rozumieniu. „Dawniej (...) wszystko było proste" (27). Teraz już nawet nie można się cofnąć, by znowu wejść w posiadanie tradycyjnego, rodzinnego klucza. „Nie mogę powrócić / W dawny krajobraz / Miasta mego jazgot / Siedzi we mnie" (40).

A więc znowuż miasto wszystkiemu winne? Na szczęście okazuje się, że w parze z uspokojoną wyobraźnią autora idzie niezdeformowane postrzeganie.

„Skaczemy sobie do oczu
Bogowie codzienności
Szczują nas sprawami

Urzędy i stanowiska
Trony naszych czasów
Są do zdobycia
Podstępem i przebiegłością"

— relacjonuje bez zbędnej emocji autor („Bogowie codzienności"). Równie spokojnie, prawie całkowicie unikając podmiotowej afektacji, rozlicza siebie.

„Nie siedzę na urzędzie
Nie jestem przodownikiem
Krzyża Kawalerskiego
Do piersi nie przypną
Noszę ze sobą
Wiechetek poezji
I ostry nóż języka
Przestałem się garnąć na trybuny
I czmychać w kąt z przestrachu
Wiersze poukładałem w głowie
Jak na straganie
I sprzedaję czasem
W miasteczku wojewódzkim"

Charakterystyczne jest w tym wyznaniu współbrzmienie autoironii z rozczarowaniem, będącym wynikiem „niezmieszczenia się" w układach. / „Przywiązani do układów / Trudno si ęoderwać / Od plastrów miodu" (34).) Tak więc nie wyabstrahowane miasto i jego „jazgot" powoduje, że „dzień / Dzwoni na zwątpienie / Aż prawdy wypadają z rąk" (25). To miejska społeczność wydziedziczonych z tradycji narzuca swym członkom jednostkowe (nawzajem sprzeczne) doraźne cele, zmusza do respektowania teraźniejszością dyktowanych praw.

I jeżeli nie jesteśmy bynajmniej psuci literacką instrumentalizacją wierszy Pasternaka, to winniśmy mu wdzięczność za rzadką uczciwość autoosądu dokonywanego w swym zbiorku. Mimo wszystko bowiem „to życie / Mogło być proste / A nie jest" (47). Dlaczego?

„Wspinałem się jak drzewo
Chciałem głowę wystawić ponad las

Patrzeć z wysoka
I nawet nie wiem kiedy
Straciłem chłopską duszę"

Koncept

Wiersze Pasternaka są relacją z codziennych kontaktów z rzeczywistością pozaliteracką, jego sąsiad w „Literackiej Bibliotece »Przemian«", Stanisław Nyczaj, porusza się w świecie przez siebie kreowanym. Tytuł jego zbiorku zapowiada charakter dokonywanych zabiegów. Czy rzeczywiście są to „Gry z naturą"? Gra zakłada statyczny chociażby współudział partnera; natura, to dziś już nie wyłącznie przyroda. Nyczaj zasugerowany jest spospolitowaną wizją zagłady środowiska, „odsunięciem się od pól":

„Rozpędzone taśmociągi jezdni
przewożą nie skażone
tlenem mózgi nasze
w zacisza laboratoriów"

Hasło „ochrony środowiska naturalnego człowieka" przyświeca utworom „Głos przyrody" oraz „Bezprawie".

„Natura" nie dochodzi do głosu w wypowiedzi poetyckiej; jest to o tyle zaletą autora, o ile fakt ten posiada status konsekwencji formuły powielanej w wierszach III cz. zbiorku, a brzmiącej: nastąpiło zerwanie z tradycyjnym odwzorowywaniem „z natury". Przy czym nie o sztukę tu chodzi, lecz o poznanie oparte o zaobserwowane „na zewnątrz" prawidłowości. Nasz realizm zaczyna przybierać charakter pojęciowy („Nasz realizm pojęciowy"); nasze skupienie kieruje się „do wewnątrz" czerpiąc obficie z „Wewnętrznej biblioteki"; przypadek składa hołd konieczności, wyjątek zostaje pozbawiony prawa istnienia w obliczu reguły („Hołd"). A jednocześnie mnożą się równania ze zbyt dużą ilością niewiadomych („Równania", „bardziej niż kobietom / ulegamy wątpliwościom" („Wątpliwości"). Znamienne, że z tego „miejsca", owej konfrontacji ujawniającej specyficzną sprzeczność, bezsilność ludzką na wysokim etapie cywilizacyjnego rozwoju, nie „wyrasta" nic, żaden wiersz.

Chyba bez ryzyka pomyłki orzec można, że poetyckiej wyobraźni Nyczaja fakty jawią się jeszcze osobno, „podpowiadane" powszechnym, aktualnym przeświadczeniem, obiegowym rozpoznaniem teraźniejszej rzeczywistości. Stąd i pozostałe wiersze zbiorku, z dwóch pierwszych części, korzystają z tematów oferowanych w obowiązującej „karcie" literackiej kawiarni. Przy czym wbrew pozorom utwory wykorzystujące topos „uczty" (cz. II) są też „oddzielne". Autor prowadząc typową dla niego, błyskotliwą grę ze znaczeniami słów, liczy, że symbolizacja „uczty" dokona się sama w wyniku ochoczej manipulacji czytelnika.

Najwięcej satysfakcji doznałem podczas lektury „pojedynczych", nie związanych żadnym hasłem (w moim odczuciu) utworów z części pierwszej. Gdy czytam:

„W trosce.
o stałą
pogodę ducha

likwiduje się zmiany
które chcą nastąpić
na dobre imię
czułe jak nagniotek"

— jestem gotów nie zgłaszać pretensji, że „zmiana" jest tu zmianą w ogóle, podobnie jak i „pogoda ducha" — nie „przywiązana" do żadnego „ciała".

Wiersze tutaj rezygnują w kilku przypadkach z modnych, obowiązujących tematów, wiersz pojawia się jako efekt konstytuującego całość pomysłu. Opowieść o „naszym smutnym wydawcy", nad którym „wysoko / roztrącając obłoki / krąży Biały Kruk" („Biały Kruk"), abstrakcyjny dramat „Nad wodą wielką i czystą" (wytrzymujący godziwie konkurencję wieszcza), relacja o „Taterniku", który „idzie ponad", by nikt go więcej „nie poniżył" — to, moim zdaniem, najlepsze utwory zbiorku. Zaskakujące ciekawym, wprowadzającym odmienny punkt widzenia konceptem, wykorzystujące bardzo dobrze potencję znaczeniową kojarzonych ze sobą słów — ujawniają aktualne możliwości literackie autora.

WIESŁAW PUSZ

Bogdan Pasternak, Powroty, Kielce 1975, Biblioteka Literacka „Przemian" nr 5; Stanisław Nyczaj, Gry z naturą, Kielce 1975, Biblioteka Literacka „Przemian" nr 4

SPORT

OLIMPIJSKI SEZON

Na wszystko, co dzieje się na naszych stadionach staramy się już patrzeć z perspektywy Montrealu. Trudno zresztą dziwić się takiemu patrzeniu na sportowe wydarzenia, pamiętając, że w Innsbrucku nam się nie powiodło. Chcielibyśmy zatem — wszyscy sympatycy sportu — aby w Montrealu było inaczej. W Montrealu będziemy między innymi bronili złotego medalu w piłce nożnej i znów nic dziwnego, że rywalizacja polskich drużyn piłkarskich budzi najwyższe zainteresowanie.

Przed meczem mieleckiej STALI z HCV Hamburg wśród kibiców panował umiarkowany pesymizm. Mielczanie natknęli się wreszcie na silnego przeciwnika i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Na zwycięstwo lepiej nie liczmy. Pamiętam inny remis również na zagranicznym boisku, który był u nas okrzyczany wielkim zwycięstwem. Pamiętam też, że sama pisałam wówczas, przestrzegając, aby od tego sukcesu nie dostać zawrotu głowy. Dziś mówi się i pisze o sukcesie mieleckiej STALI. Drużyna HCV z Hamburga przyjedzie jeszcze do Mielca. Jaki będzie los tego meczu dopiero zobaczymy. Ale co by się nie mówiło mielczanie pokazali w Hamburgu, że polscy piłkarze nie mają już „kompleksu niższości" przed zagranicznymi zespołami. Jest to bezsporny sukces srebrnej jedenastki. I bardzo dobrze, że niepowodzenia w mistrzostwach Europy nie zaciążyły na postawie naszych piłkarzy. Mam nadzieję, że mielczanie na własnym boisku też pokażą, na co ich stać.

Wczesny start pierwszej ligi nie był może zachwycający, dominowały remisy, ale już ostatnia niedziela ligowa pokazała, że w naszej piłce nożnej coś się zmienia. Chorzowski RUCH rozpaczliwie bronił pozycji lidera, remisując z SZOMBIERKAMI z Bytomia, co temu ostatniemu zespołowi pozwoliło na „awans" o jedno oczko w ligowej tabeli — z pozycji 12 na 11. GKS TYCHY zremisowały na własnym boisku z zabrzańskim GÓRNIKIEM, broniąc tym samym pozycji wicelidera. Piłkarska drużyna z Tych była rewelacją. W Kuwejcie jednak, występując jako reprezentacja młodzieżowa Polski, uległa tamtejszej drużynie w dość wysokim stosunku bramek — 3:1. Kuwejt do tej pory znany był z eksportu ropy naftowej i w tej dziedzinie odgrywał rolę potęgi. Jako piłkarska potęga nie był raczej znany. Wprawdzie piłkarzy Kuwejtu trenują dwaj słynni Brazylijczycy: Mario Zagalo i Costa Pereira, ale to jeszcze nie powód, aby ulegać początkującej drużynie.

Pierwszy mecz tego sezonu drużyny GKS TYCHY zremisowała ze słabym zespołem ŁKS. Drugi — z przełamującym kryzys zespołem GÓRNIKA z Zabrza. Tyski zespół chwalono wprawdzie za kondycję, bojowość, ambicje i poświęcenie w walce, ale w sporcie już tak jest — niestety — że liczy się również wynik. A wynik przemawiał bardziej na korzyść GÓRNIKA, który nie uległ wiceliderowi ligowej tabeli.

Komentatorzy zgodnie podkreślają, że zapowiada się interesująca walka o czołowe miejsce w tabeli pierwszej piłkarskiej ligi, wymieniając siedem drużyn, które w tej walce mogą odegrać decydującą rolę. Łodzian niewątpliwie satysfakcjonuje fakt, że w tej siódemce jest też zespół RTS WIDZEW. Łódzki WIDZEW i krakowską WISŁĘ, dzielą od liderów tylko 4 punkty. Ale warto też pamiętać, że między zespołem łódzkim i krakowskim są jeszcze: STAL Mielec, ŚLĄSK Wrocław i POGOŃ Szczecin. Zespoły te mają coraz więcej do powiedzenia w ligowych spotkaniach.

Jedenastka RTS WIDZEW spotkała się w ubiegłą niedzielę z jedenastką ŁKS. Długo oczekiwano na ten mecz. Kibice toczyli zażarte spory, ale niemal powszechne było przekonanie, że oba łódzkie zespoły „podzielą się punktami". WIDZEWOWI strata jednego punktu nie zaszkodzi, ŁKS — pomoże. Widzewiacy w niedzielnym meczu dowiedli nie tylko swej wyższości nad zespołem ŁKS, ale też pokazali, że w sporcie ważniejsza jest uczciwa rywalizacja niż jakiekolwiek układy. Był to sukces również w kategoriach moralnych.

Bardzo podobała mi się wypowiedź Leszka Jezierskiego, jaka po niedzielnym meczu udzielił przedstawicielowi „Głosu Robotniczego". Leszek Jezierski powiedział:

„Zapytacie, co dalej? Praca, praca i jeszcze raz przed nami żmudna praca. Była i nadal będzie ona naszym sojusznikiem. Nie zamierzamy przecież dreptać w miejscu, lecz wręcz przeciwnie, szukać możliwości do jeszcze bardziej skutecznej gry."

Chciałabym złożyć Leszkowi Jezierskiemu gratulacje z okazji zdobycia tytułu trenera roku nadanego mu przez tygodnik „Piłka Nożna". Tytuł w pełni zasłużony.

A wracając do tematu, wyrazić radość z tego, że przynajmniej w opinii trenera widzewskiego zespołu nie ma obawy, aby widzewiakom groził zawrót głowy od sukcesów. Mam też nadzieję, że jeśli również zespół ŁKS przyjmie tę zasadę, że pozostała im tylko praca, praca i jeszcze raz praca, to uratują się przed spadkiem z I ligi. Łódź zasługuje na to, aby mieć dwie drużyny w pierwszej lidze.

Uważna obserwacja tego, co dzieje się na boiskach pierwszej ligi pozwala na umiarkowany optymizm. Coraz więcej drużyn wzięło się do solidnej roboty. Jeśli następne ligowe spotkania potwierdzą tę obserwację, to można mieć nadzieję, że w walce o olimpijskie laury polscy piłkarze nie przyniosą nam wstydu. Czego im i wszystkim kibicom serdecznie życzę.

BOGDA MADEJ

FOTOREPORTAŻ

WŁODZIMIERZ PARYS

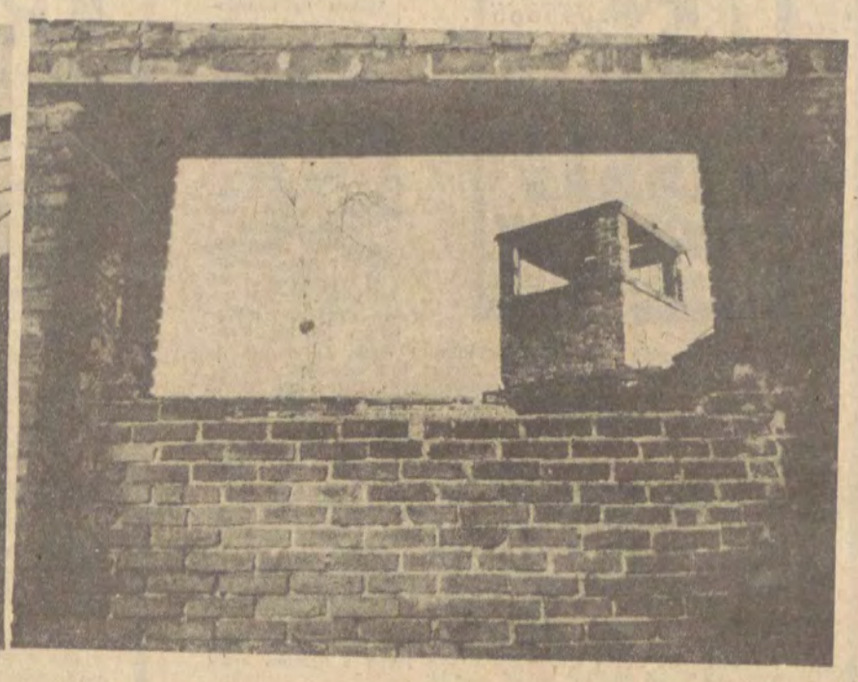

MUZEUM PAMIĘCI

Są słowa tamujące oddech, które wymawia się ciężko, gdyż dotkliwie poruszają wyobraźnię i pamięć. Są takie trudne słowa, które nie my wprowadziliśmy do naszego języka, chociaż pozostaną w nim na zawsze, bo potwierdzają polskie doświadczenie historyczne i narodowe, bo są legitymacją naszej walki i naszych ofiar. Dlatego też, chociaż wymawia się je z bólem, słowa te nie mogą pozostać poza naszą pamięcią. Jesteśmy krajem miejsc uświęconych krwią i męczeństwem milionów naszych ojców i braci, matek i synów, których nie zobaczymy już nigdy. Bez imion i nazwisk z numerami wytatuowanymi na ręce umierali w hitlerowskich kombinatach śmierci w Oświęcimiach, Brzezinkach, Majdankach. Na tej rozległej mapie naszego męczeństwa Radogoszcz jest tylko jednym ze znaków. Ale tego znaku nic nie potrafi wymazać, został wypalony ogniem na żywej tkance umęczonego, wyczekującego wolności miasta.

Nawet teraz, w trzydzieści lat po tragedii tamtej mroźnej nocy 17 stycznia 1945 roku Radogoszcz jest trudnym do wymówienia słowem. Ten obóz, stanowiący jedno z kół hitlerowskiej maszynerii terroru, był dla niemieckich statystyków śmierci pozycją stosunkowo mało znaczącą. Przyzwyczajeni do operowania milionami krwawi buchalterzy nie doceniali zapewne pozycji rzędu trzydziestu tysięcy. W oczach swych przełożonych komendant Radogoszcza Pelzhausen był zaledwie „statecznym urzędnikiem", człowiekiem bez polotu i inicjatywy. Ale kiedy rozległ się z ognia krzyk palonych żywcem ludzi Herr Kommendant udowodnił, że dobrze zasłużył się w służbie śmierci. W pierwszym dniu wolności, kiedy nie dymił ani jeden fabryczny komin, nad Łodzią unosił się swąd spalonych ciał.

Radogoszcz jest dziś muzeum naszej narodowej pamięci. Tej pamięci, która powraca, której nie możemy i nie potrafimy się wyrzec. W trzydziestą rocznicę wyzwolenia Łodzi Pomnik Mauzoleum w Radogoszczu, otaczany powszechną czcią łodzian, wzbogacił się o szczególny akcent. Mam na myśli frontową ścianę wypalonej fabryki Abbego, miejsce pamiętne śmiercią ostatnich ofiar obozu. Na frontonie tym umieszczony został relief dłuta Kazimierza Karpińskiego, artysty młodego, ale posiadającego już poważny dorobek, jest bowiem m.in. twórcą Pomnika Czynu Rewolucyjnego, który został odsłonięty w ubiegłym roku.

Od pewnego czasu śledzę drogę tego utalentowanego rzeźbiarza, który potrafi wypowiadać się w dziedzinie tak trudnej jak sztuka monumentalna. Trzeba coś bardzo głęboko przemyśleć i przeżyć, żeby sprawdzić się nawet tam, gdzie z trudem przychodzą słowa. Relief Karpińskiego przedstawiający skremowane postaci wtopione w czerwony fabryczny mur jest dla mnie najbardziej wstrząsającym pomnikiem Łodzi. Jest tym dziełem, które będzie zawsze poruszać wyobraźnię i pamięć, nawet wówczas, gdyby się ona miała okazać ulotną.

Żyjemy w Europie, która już od trzydziestu lat nie zna wojny. Chciałoby się żyć w świecie, który na zawsze słowo wojna wykreśli ze swego języka. Ale właśnie dlatego pamięć zobowiązuje nas do wierności sprawom, dla których może już przyszłe pokolenia nie będą potrafiły znaleźć określeń.

K. F.

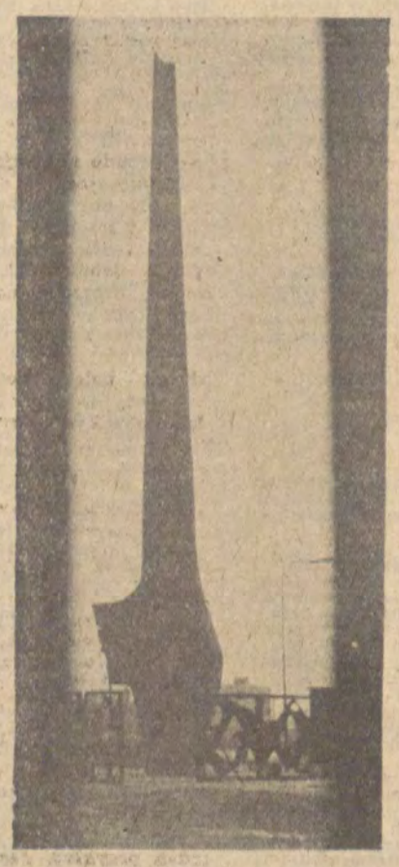

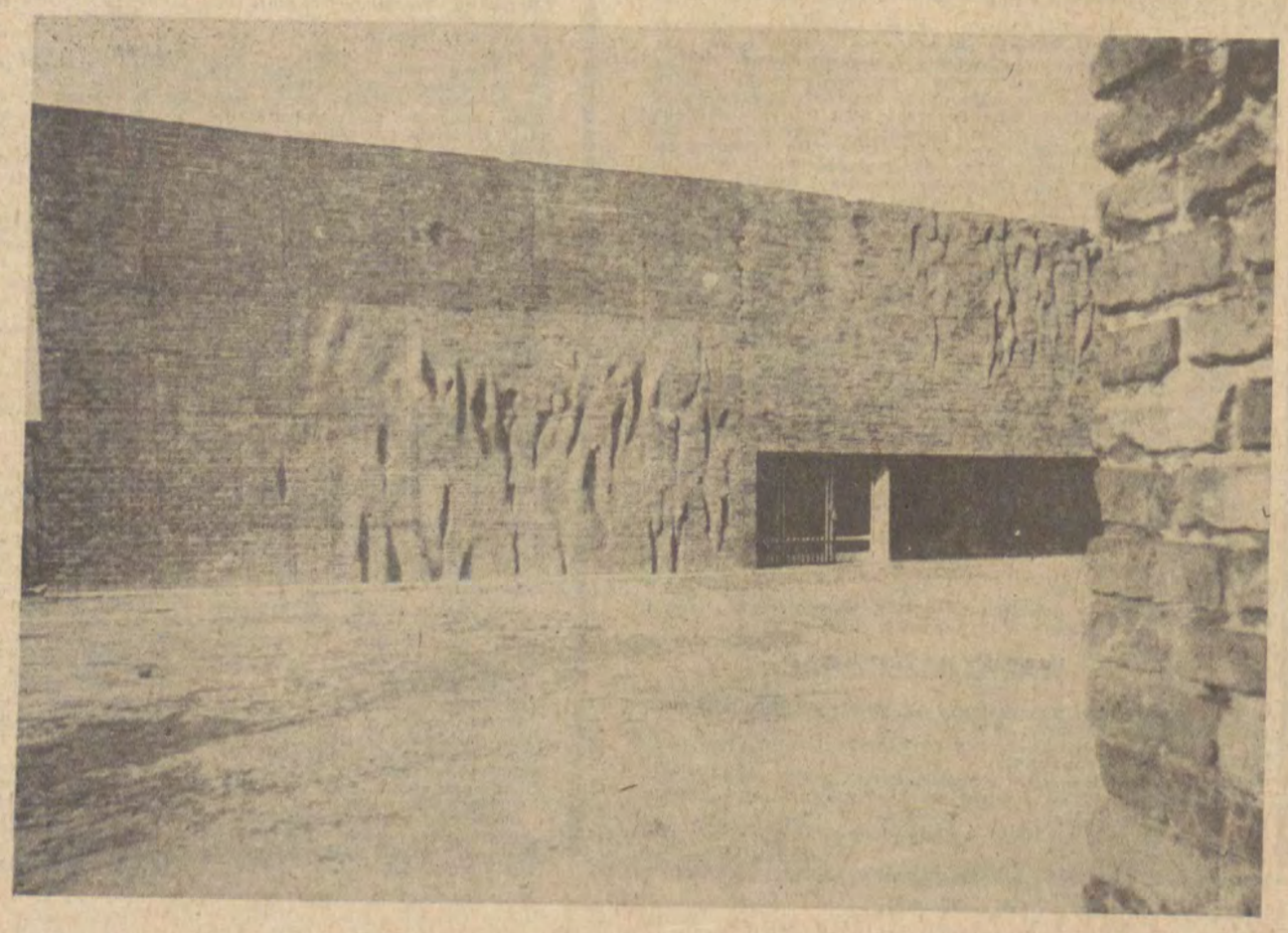

magazyn

ANDRZEJ JÓŹWIAK

PIOSENKA A POLITYKA

Piosenka a polityka. Pozornie dwa, jakżeż odległe od siebie pojęcia. Pieśni protestu (protest-song) stały się jednak ważnym elementem współczesnej kultury muzycznej Stanów Zjednoczonych, zjawiskiem o charakterze politycznym, specyficznym dla intelektualnego klimatu Ameryki lat sześćdziesiątych. Problem rasizmu, wojna wietnamska, krytyka stosunków społecznych, walka przeciwko zbrojeniom atomowym, to główne tematy protest-songów. Ten specyficzny genre muzyczny wywodzi się głównie z muzyki ludowej, ballady folklorystycznej, a nazwiska najpopularniejszych wykonawców to, Joan Baez, Bob Dylan, Peter Seeger, Barry Mc Quire i inni. Ich utwory mają dla współczesnej Ameryki charakter socjologicznej refleksji, buntu przeciwko jawnemu łamaniu haseł demokracji, ich utwory wyrastają z żywego zainteresowania postępowej młodzieży amerykańskiej sytuacją społeczną i wydarzeniami politycznymi swojej epoki i swego kraju. Dr Norman E. Zinberg pisze w „Ameryce" (maj 1967): „Buntownicy z lat sześćdziesiątych nie są już buntownikami bez sprawy. Może często nie umieją jeszcze jasno tej sprawy zdefiniować, wybrać spośród subtelnych odcieni tę, która wydaje im się najwłaściwsza, ale uznają potrzebę zastanowienia się nad jej określeniem i wyborem... Trudno odmówić wartości i zalet tym niezmiernie gorliwym poszukiwaniom etycznym, które podejmuje dzisiejsza młodzież amerykańska oraz zaangażowaniu, stanowiącemu konsekwencję tych poszukiwań".

Wykonawcy protest-songów nie są również buntownikami bez powodu, a o akceptacji ich wokalnych propozycji świadczy fakt, że ich piosenki — mimo zaangażowanej treści — błyskawicznie zajmowały czołowe miejsca na listach przebojów (hit-parade), a takie piosenki antywojenne jak „Eve of Destruction", czy „Universal Soldier" stały się światowymi bestsellerami. Ostre akcenty krytyki społecznej, problemu alienacji, odrzucania starych systemów wartości, zawarte są w nagraniach Mothers Of Invention, Grateful Dead, Country Joe and the Fish, The Kinks (np. utwory: Plastic Men — „Sztuczni ludzie", czy Well Respected Man — „Wielce szanowny człowiek", a nawet u Beatlesów, że wymienię tylko Lady Madonna i Elenaor Rigby). Najbardziej zaangażowaną politycznie grupą rockową jest moim zdaniem nowojorski zespół The Fugs utworzony przez poetów underground (podziemie). Przykładem wielkiego spektaklu agitacji politycznej może być utwór tej grupy „Kill For Peace" (Zabijaj dla pokoju) gdzie elementy muzyczne posiadają również drugą fakturę dźwiękową w postaci odgłosów karabinów maszynowych i samolotów odrzutowych.

Pieśni protestu mają — niestety — również drugą stronę medalu. W ostatnim czasie na Zachodzie pojawił się nurt, który umownie można nazwać anty-protest-songiem. Typowym przykładem może być nagranie Barry Sadlera, st. sierżanta VS Army, który nagrał gloryfikującą wojnę „Balladę o zielonych beretach" (specjalne jednostki wojskowe). Rolf V. Kalser, postępowy krytyk muzyczny z RFN, obserwuje występowanie zjawiska będącego przeciwieństwem protest-songu. Grupy uprawiające tego typu działalność określane są nazwą „sing-out"; „młodzi ludzie wyznający ideologię zimnej wojny nie śpiewają pieśni protestu, lecz aprobują w pełni istniejący porządek rzeczy. Niebezpieczne w tym ruchu pseudoprotestacyjnym jest to, że wykorzystuje on muzyczne środki folk i beatu w wydaniu showu i przez to szybko może być przyswojony przez młodą publiczność rozkochaną w pop-music".

Jest to wprawdzie nikły i marginesowy nurt współczesnej pop-music, ale jeśli dodamy do tego środki przekazu, które produkują także masę wszelkiego rodzaju „liteatury" pomocniczej — może stać się to poważnym problemem. Jeszcze jednym z przykładów może być fakt wykorzystania muzyki beatowej, instrumentarium elektronicznego typowego dla pop-music, nowoczesnej soulowej wersji aranżacyjnej z pewnymi elementami orientalnymi w jednym z hymnów prawicowego amerykańskiego Komitetu Jednego Miliona (organizacji powołanej dla poparcia maoistowskich Chin). Inny przykład: w roku 1968, a więc w czasie kiedy to białe mieszczaństwo — przerażone wielką ofensywą sił wyzwoleńczych w Wietnamie, lawiną wydarzeń, których początkiem była studencka rebelia w Berkeley na University of California — garnęło się do polityków konserwatywnych, na polityczną widownię wkroczył osławiony senator z Arizony Barry Goldwater (emerytowany generał lotnictwa). Goldwater szermujący hasłami politycznego ekstremizmu, skrajnym antykomunizmem, dyskryminujący ludzi na podstawie ich rasy czy grupy etnicznej — ubiegał się o prezydencką kandydaturę z ramienia republikanów. W jego sztabie wyborczym eksperci od kultury wykorzystywali zespoły rockowe do nagrań sławiących Goldwatera, a w programach telewizyjnych uśmiechnięte gwiazdy pop-music (m. in. Frank Sinatra) informowały: „Ja będę głosował na Barry'ego". Menedżerowie Richarda Nixona stosowali zresztą te same tricki reklamowe. W 30 minutowym wokalnym recitalu telewizyjnym słynna piosenkarka Connie Francis informowała telewidzów dlaczego winni oddać swe głosy na Nixona.

Piosenka a polityka. Tylko pozornie dwa odległe od siebie pojęcia.

BOHDAN PIĄTKOWSKI

SKOK W POLSKĘ

Napisałem recenzję, zaniosłem ją znajomemu krytykowi prosząc o wyrażenie opinii. Krytyk omiótł elaborat nieuważnym spojrzeniem, parsknął śmiechem i odczytał:

— „Próba przewartościowywania utartych liczmanów pojęciowych i stereotypów leksykalnych ewokuje ambiwalentne reakcje emocjonalne". Co to ma znaczyć? — pogardliwie odsunął rękopis. — Kto mówi takim językiem? Idź na ulicę, do tramwaju, a nacieszysz uszy piękną, jędrną polszczyzną i u źródła nauczysz się, jak należy wyrażać myśli!

Pokornie schyliłem głowę i wyszedłem.

Na przystanku stała gromadka uczniów. Pamiętając życzliwą radę przysunąłem się do nich, aby coś skorzystać.

— Klawesyn, dej się sztachnąć! — powiedział jeden z nich.

— Na cuga i spitalaj! — łaskawie przystał palacz. — Panowie, bimba sie toczy!

— Rysiek, musi u ciebie sakwa pełna, jakeś se strzelił nowe glany. Być człowiekiem, kopsnij „Tadeusza"! — rzekł malec w drucianych okularach, ale posiadacz lśniących butów wyjaśnił:

— Skoki odpalił mi rodzic. U mnie sie nie klei. Postoimy może szpaki nie przylecą.

Muszę przyznać: nigdy nie sądziłem, że mój język aż tak bardzo odbiega od potocznej polszczyzny. Celem kontynuowania studiów wcisnąłem się do tramwaju i przystanąłem obok dwóch panów, z których jeden opowiadał:

— Obciągnęlim z kumplem pół basa. Mało było. Wzięlimy lornetę, meduzę, jeszczyk lornetę, po utrwalaczu i sioj! Posuwamy na metę. Przykapował nas „blacha", nie widziało mu się, że my trochę na fazie. To my bryzg i prujem do miejskiej komunikacji!

W tej chwili tramwaj zarzucił i znalazłem się pomiędzy jakaś parką, która prowadziła właśnie liryczny dialog:

— Stara! — mówił patrząc w jej oczy.

— No?

— Metraż wolny. Płyniemy? — zaproponował.

— A Jareccy — drożyła się.

— Co się rwiesz? Spadli! — wyjaśnił.

— A jak przyparują? — wyraziła obawę.

— To będę truć.

— A jak nie? — uśmiechnęła się zalotnie.

— Puścimy katarynę. Zatańczymy Niemena.

— Nie pajacuj, operusie! I to wszystko?

— Nooo! — potwierdził poważnie.

— Ale, nie wstawiaj! — była wyraźnie ubawiona. — Zabujałeś się, czy jak?

Młody człowiek poczerwieniał i spuścił oczy.

— Czego się rwiesz? — powiedział brutalnie, usiłując odzyskać rezon. — Nie ma o co skakać.

— Artycha — oburzyła się. — Płyń, flaku, bo spuszczę wodę!

Wzruszony wybuchami młodzieńczych uczuć zdecydowałem, że nie wypada podsłuchiwać sprzeczki zakochanych. Przy pomocy łokci przesunąłem się o kilkanaście centymetrów do miejsca, gdzie jacyś panowie poważnie omawiali wysoce złożony problem.

— Byłem wczoraj po godzinach na hali — referował jeden z nich. — Posuwa do mnie Kwiatek i leje: „Ten wichajster trza doszwejsować do wassersztopsli". Zrobiłem na git i trzyma. Pokazało się, że to była jego lewa fucha. Sprawa się rypła i ktoś musi za to beknąć. Tylko czemu ja? Bo on działka, że mi odpalił dolę?

— Co się łamiesz? — perswadował osobnik w kapeluszu. — Zapodaj odnośne okoliczności i stary leży. Jak drut parę miechów załapie za przeszłe słuchty.

Chciałem być uczciwy do końca. Raz jeszcze odwiedziłem krytyka i powiedziałem od progu:

— Serwus, stary! Posuwam na metę, przetrzaskam wszystko na blaszkę i będzie git — ciągnąłem patrząc w jego otwarte, nic nie rozumiejące oczy. — Co się szczypać, nie?

PŁYTY

10 x CHOPIN

Minęły już dawno emocje IX Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina, przebrzmiały burzliwe dyskusje, zdążyliśmy się już przyzwyczaić do jego wyników. Pozostały odbierane na gorąco wrażenia, które obecnie możemy zweryfikować, słuchając zapisu płytowego. Oczywiście, będzie to zawsze weryfikacja nieco jednostronna, skoro nagrania są jakimś, choć obszernym wyborem, szczęśliwie jednak na tyle bogatym, że dającym wyobrażenie o grze sporej liczby kandydatów, ubiegających się o tytuł laureata konkursu. Polskie Nagrania stanęły bowiem na wysokości zadania — co nie zawsze wszak zdarzało się w ich historii — i otrzymaliśmy 10, dosłownie dziesięć płyt z konkursowymi wykonaniami utworów F. Chopina, zarejestrowanych na gorąco, ale dobrze, tak, że nie odczuwamy, że nie są to nagrania studyjne. Zresztą jest dziś w całym świecie moda na płyty, nagrywane „na żywo", nie zaś na studyjne preparaty specjalistów od dźwięku; te ostatnie zbyt często są falsyfikatami, dającymi obraz wykonania, którego nie ma i nie było. Wobec ewidentnego braku na naszym rynku płytowym współczesnych, interesujących nagrań utworów naszego największego kompozytora — nie można bowiem uważać Dzieł Wszystkich, nawet w ulepszonym tłoczeniu stereofonicznym, za nagrania rzeczywiście współczesne, a i nie wszystko było w nich pod względem wykonawczym najciekawsze — dziesięć płyt z IX Konkursu trafia w dziesiątkę. Jest to bowiem więcej niż spora porcja muzyki, w dodatku w wykonaniach niejednokrotnie bardzo interesujących.

Otrzymaliśmy więc 4 płyty właściwej kroniki Konkursu, wydane jeszcze przed jego zakończeniem (SX 1305 — 8), 2 pełne płyty laureata I Nagrody (SX 1309 — 10), płytę laureatki II Nagrody (SX 1335), 2 wspólne płyty laureatów Nagród III i V oraz IV i VI (SX 1336 — 7), wreszcie — uzupełnienie w postaci całej, pełnej płyty, w wykonaniu kanadyjskiego kandydata, który zyskał sobie ogromną sympatię publiczności, niewspółmierną w stosunku do ocen jurorów — Johna Hendricksona (SX 1338). Można śmiało powiedzieć, że pierwszy raz zdarzyło się, że tak ważne wydarzenie w naszym życiu muzycznym, jakim jest Konkurs Chopinowski, otrzymało tak bogatą i wszechstronną dokumentację.

Zacznijmy od pierwszych czterech płyt, będących właściwą kroniką Konkursu, których pierwsze egzemplarze sprzedawano w budynku Filharmonii Narodowej jeszcze podczas trwania przesłuchań. Z serii tej największe wrażenie zrobiła na mnie płyta opatrzona symbolem SX 1305. K. Zimerman w Balladzie f-moll op. 52 nie tylko olśniewał fantastyczną wręcz biegłością techniczną, temperamentem i stosowanymi przez siebie tempami, lecz również oryginalnością swej koncepcji interpretacyjnej: kontrastował momenty liryczne z dynamicznymi, prezentując swoistą, dramatyczną całość dzieła. Takie wykonania zdarzają się rzadko, podobnie, jak jego Scherzo E-dur op. 54, na mój gust nieco... zbyt wirtuozowskie. Jest w tej grze jakaś młodzieńcza, spontaniczna radość muzykowania, jak gdyby kontakt z klawiaturą stanowił dla artysty jakąś niebywałą frajdę... Na tym tle piękna gra T. Fiedkiny (Walc As-dur op. 64 nr 3, Nokturn E-dur op. 62 nr 2, Mazurek cis-mol op. 30 nr 4), wypada bladziej niż w innym zestawieniu; zwłaszcza jej interpretacja Nokturnu sprawiła mi wiele satysfakcji. Jest to Chopin dobrze nam znany, nie ma tu mowy o przełamywaniu tradycji interpretacyjnej, zakorzenionej w naszym kraju, nie tak indywidualny, jak w wykonaniu wielu innych uczestników Konkursu, ale bardzo piękny. Płytę kończy Scherzo cis-moll op. 39 w pełnym temperamentu wykonaniu D. Cacso: ten brazylijski tym razem Chopin będzie się podobał wielu słuchaczom.

* * *

Na płycie SX 1307 z występu amerykańskiego artysty D. Kramera zarejestrowano bardzo piękną, błyskotliwą, a jednocześnie subtelną interpretację Scherza b-moll op. 31: szczególnie urzekło mnie kapitalne wyczucie tempa, ów rzadko spotykany u młodych, koncentrujących się często na technice pianistów oddech, pozwalający na podkreślenie dramatycznego charakteru wspaniałego dzieła F. Chopina. A. Urwałow przenosi nas z kolei, jak gdyby, w inny świat pianistyczny: chociaż trudno porównywać nagrane w jego wykonaniu utwory ze Scherzem b-moll, wyraźnie odczuwamy, że jego gra, którą poznajemy z czterech Preludiów z op. 28 i Mazurka cis-moll z op. 50 nr 3, bliższa jest tradycjom słowiańskiej, ściślej rosyjskiej pianistyki, z całą jej wrażliwością na liryzm, frazę i barwę. Całą stronę tej płyty poświęcono grze D. Joffie, w której wykonaniu mamy możność ponownego usłyszenia czterech Mazurków z op. 59 oraz Poloneza — Fantazji op. 61. Przesłuchajcie uważnie zwłaszcza Mazurka As-dur i Poloneza — Fantazję, a z pewnością zgodzicie się ze mną, że spotykamy się tu z grą nieprzeciętnego artysty, unikającego powtarzania znanych wzorców, obdarzonego ogromną wrażliwością i temperamentem! Do tych interpretacji chciałoby się często powracać. Szkoda tylko, że zapis utrwalił nie tylko grę artystki, ale — wprawdzie bardzo cichutkie — także jej podśpiewywanie podczas wykonywania utworów.

Płytę SX 1306 rozpoczyna występ W. Wolframa, który osobiście przyjmuję z mieszanymi uczuciami. Po przepięknym Nokturnie Es-dur op. 55 nr 2, następują dziwne Preludia z op. 28: piąte D-dur zagonione tak, że trudno doszukać się w nim myśli, ciekawsze ósme fis-moll. Mazurki z op. 17 na pewno nie należą do atutów chopinowskiego repertuaru artysty. Ballada F-dur op. 38 w wykonaniu E. Tarnawskiej nie pozostawiła mi większego wrażenia. Zawód, jaki sprawiają te interpretacje, częściowo tylko rekompensuje J. Hendrickson swym wykonaniem Barkaroli Fis-dur op. 50; nie należę do przekonanych entuzjastów tego pianisty, choć przyznaję, że wielu słuchaczy może on fascynować. Jego Barkaroli brakuje wewnętrznego napięcia, architektury, chociaż niektóre fragmenty urzekają wspaniałym dźwiękiem i olśniewającą, nieco archaizującą (tak!), techniką. Z gry pięciu pianistów: N. Larrabee, K. Popowej-Zydroń, W. Wasiliewa, D. Atanasiu i P. Giliłowa, utrwalonej na płycie SX 1308 w mej pamięci zostaje bardzo błyskotliwe, technicznie olśniewające, choć mało stylowe, wykonanie Andante spianato i Wielkiego Poloneza Es-dur op. 22 przez N. Larrabee oraz kapitalne: Etiuda h-moll op. 25 nr 10 i Walc Es-dur op. 18 w interpretacji P. Giliłowa, pianisty o wszechstronnych możliwościach, niewątpliwie drugiej indywidualności wśród radzieckich uczestników ostatniego Konkursu Chopinowskiego, tym ciekawszej, że artysta ten nie powtarza znanych wzorów interpretacyjnych szkoły, z której wyszedł. Tyle o tych pierwszych czterech płytach.

XYZ

BIAŁA BROŃ I KRÓLEWSKIE TALARY

O tym, że w Łodzi nie brakuje ludzi z pasjami kolekcjonerskimi wiedziano od dawna, ale dopiero przed rokiem nadano tym prywatnym zainteresowaniom organizacyjne ramy, powołując **Łódzki Klub Kolekcjonerów i Hobbystów.** Klub działający przy Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Polesie zanotował już kilka interesujących przedsięwzięć. Do najbardziej udanych można zaliczyć comiesięczne giełdy hobbystów, w czasie których spotykają się kolekcjonerzy z całego miasta.

O pracy Klubu rozmawiam z jego viceprezesem, a zarazem kustoszem działu numizmatyki Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, znanym kolekcjonerem mg **ANATOLEM GUPIEŃCEM.**

— Jest pan kolekcjonerem ponad 50 lat. W tym czasie poznał pan chyba wszystkich łódzkich zbieraczy. Czy mógłby pan powiedzieć, kto zbiera...

— ... kto i co zbiera? Nim panu odpowiem na to pytanie, chciałbym wprowadzić pewne rozróżnienie. Często utożsamiamy zbieracza i kolekcjonera, albo traktujemy te nazwy wymiennie. Nic błędniejszego. Zbieracz to człowiek, który gromadzi jakieś przedmioty niesystematycznie, od przypadku do przypadku, bez jakiejś idei przewodniej. Natomiast kolekcjoner stara się nie tylko swój zbiór gromadzić systematycznie, ale także opracowuje go, kataloguje, śledzi wszystkie publikacje dotyczące zbieranych przedmiotów. Kolekcjonerstwo jest wyższym stopniem zbieractwa. Wróćmy jednak do pańskiego pytania. Kto zbiera? Nie ma tu żadnej reguły, zbiera ten, kto ma do tego zamiłowanie, bez względu na wiek, wykształcenie, zawód. Z tym trzeba się urodzić. Podobnie trudno dać jednoznaczną odpowiedź na pytanie, co zbierają łódzcy kolekcjonerzy? Można powiedzieć, że wszystko to, co da się zbierać. Czasem są to nieprawdopodobne rzeczy. Na przykład ja ostatnio zacząłem zbierać „kałakolcziki", rosyjskie dzwoneczki pocztowe, wytwarzane w XVIII i XIX wieku w Wałdaju. Mam już 30 takich dzwonków. A inni? Zbierają stare banknoty samowary, białą broń, tzn. szable, szpady, bagnety, a nawet karabiny. Zbierają także porcelanę, szkło, żelazka, ostatnio zaś stało się modne kolekcjonowanie moździerzy.

— Ilu członków liczy Łódzki Klub Kolekcjonerów i Hobbystów?

— Do klubu należy ponad 200 członków, ale muszę dodać, że nasza działalność jest jeszcze w powijakach, pracujemy przecież zaledwie kilkanaście miesięcy. Cieszy mnie jednak ogromne zainteresowanie Klubem. Sądzę więc, że liczba członków będzie systematycznie wzrastać. Od początku istnienia Klubu mamy jednak poważny kłopot. Moim zdaniem, praca takiego klubu tylko wtedy ma sens, jeśli jest poparta jakimiś publikacjami o problemach kolekcjonerskich, choćby tylko informacjami o tym, co i kto zbiera, czego poszukuje, co chce wymienić. Na przykład Wrocław od dawna już ma swój informator kolekcjonerski.

— W jaki sposób pomagacie tym, którzy chcą zbierać lub dopiero zaczynają zbierać?

— Mogę podać dwa przykłady takiej pomocy. Na początku działalności Klubu miałem raz w tygodniu 15 minutowe referaciki, no może nie tyle referaciki, ile informacje o tym, co można zbierać, jak zbierać, na co zwracać uwagę przy gromadzeniu zbiorów. Ta forma kształcenia, czy może dokształcania jakoś się nie utrzymała, a to głównie z powodu różnych pseudo-kolekcjonerów...

— Co to znaczy „pseudo-kolekcjoner"?

— Pseudo-kolekcjoner to ten, który stara się dostać drogą rzecz, aby później odsprzedać ją z sowitym — rzecz jasna — zyskiem. Oni sami nazywają siebie kolekcjonerami, ale to, proszę pana, „kunsthaendlerzy", czyli po prostu handlarze dziełami sztuki. Owszem, owi handlarze są potrzebni kolekcjonerom. Na przykład, ja sam większość „kałakolczików" kupiłem od handlarzy. No, ale działalność Klubu nie jest przeznaczona dla tychże „kunsthaendlerów". Od niedawna siedzę na każdych bazarach, jako rzeczoznawca i oszacowuję zgłaszane do mnie przedmioty. Staram się zawsze podać przy tej okazji pełną ifnormację, co to za przedmiot, ile może mieć lat itd. itd. No cóż, mogę panu powiedzieć, że od dawna jestem biegłym rzeczoznawcą w Łódzkiej Desie i Muzeum.

— Czy w prywatnych zbiorach znajdują się przedmioty interesujące z naukowego punktu widzenia?

— O tak. Podam panu tylko jeden przykład. Jest w Łodzi kolekcjoner odznak pułkowych. Nazywa się Mikołaj Przychoda. Jego zbiór nie ma równego sobie w całej Polsce. Kiedy opracowałem katalog pn. „Falerystyka polska" opierałem się przede wszystkim o zbiory Mikołaja Przychody. Jako ciekawostkę powiem panu, że wielu odznak ze zbioru Przychody nie ma nawet Muzeum Wojska Polskiego.

— Proszę pana, chciałbym na zakończenie rozmowy poprosić pana o kilka rad dla początkujących zbieraczy.

— Mam właściwie tylko dwie uwagi. Ci, którzy zamierzają gromadzić jakiś zbiór niech najpierw poradzą się starych rutynowanych kolekcjonerów. Poza tym rzecz najważniejsza: nie ma kolekcjonerstwa bez nauki, bez systematycznego śledzenia fachowych publikacji. Ostatnio zaś ukazuje się sporo opracowań na te tematy.

— Jednym słowem, aby kolekcjonować trzeba stale się uczyć.

— Tak. To podstawowy warunek wszelkiego kolekcjonerstwa.

Rozmawiał:
MIROSŁAW KUŹNIAK

magazyn

SKAT

Z MARIĄ KOSCIŃSKĄ-JANIK ROZMAWIAMY O GRUPIE BALETOWEJ „SKAT"

— Jest Pani założycielem, solistką, kierownikiem, w ogóle spiritus movens żeńskiej grupy baletowej „Skat". Jaki jest profil i koncepcja artystyczna zespołu?

— Trochę to przesada z tym spiritus movens zespołu. Przede wszystkim chodzi mi o dobry taniec estradowy trochę w tendencjach beatowych, trochę jazzujący, coś na pograniczu rock opery, która pozwala na artystyczną syntezę efektów muzycznych, wokalistycznych, baletowych i scenograficznych.

— Podobnie jak „Sabath" i „Le Solei"?

— Raczej tak. Ale chcemy również tańczyć muzykę klasyczną i barokową. Ściśle współpracuję z choreografem p. Janiną Niesobską, kierownictwo artystyczne sprawuje mgr Andrzej Jóźwiak.

— Czy grupa „Balet A" i „Skat" to ścisły związek...

— Tak. Pierwotna nazwa grupy to „Balet A".

— Jeśli dobrze pamiętam to „Balet A" zdobył brązowy medal w Jarmarku Dominikańskim i przyszły propozycje Pagartu.

— Występowaliśmy z grupą polskich artystów prezentujących program rozrywkowy w Związku Radzieckim na tournee Leningrad—Moskwa, TV—Berlin, oraz w składzie Teatru Piosenki „Bractwo Kurkowe — Piotr Janczerski" występowaliśmy w Norwegii, Oslo i Narviku oraz w Szwecji w skansenie Sztokholmu.

— Kto objął patronat nad Waszą grupą?

— Jak już mówiłam kierownictwo artystyczne mgr Andrzej Jóźwiak, a więc Estrada. Muszę tutaj dodać, że stworzono nam doskonałe warunki do pracy i zapewniono właściwą opiekę. Mamy do dyspozycji salę ćwiczeń, kostiumy, zapewnioną fachową konsultację itd. itd.

— Czyli wszystko, żeby doskonalić swój warsztat artystyczny.

— Tak.

— Obecny skład zespołu „Skat"?

— Teresa Chmielewska, Zofia Gołygowska, Małgorzata Wójcik, Halina Gapińska, Jadwiga Krzyżanowska i ja. Chciałabym dodać, że dziewczęta są bardzo pracowite i nieustannie doskonalą technikę baletową.

— Jest pani nie tylko artyską, ale i dyplomowanym pedagogiem.

— Osobiście wiele zawdzięczam radzieckim pedagogom p. Galinie Kuzniecowej, Ninie Bielikowej, Witoldowi Borkowskiemu, Saszy Sobolowi — to byli moi nauczyciele.

Rozmawiał: B. S.

HORACY SAFRIN

PARADOKSY

NA PEWNĄ PIOSENKĘ

Ma swoją wartość, lecz bardzo względną:
interes k w i t n i e, a uszy w i ę d n ą.

O TŁUMIENIU KRYTYKI

Choć mit o cudach od dawna prysnął,
dziwne się rzeczy dzieją w naturze:
ktoś na zebraniu dowcipem b ł y s n ą ł
i na swą głowę ściągnął wnet b u r z ę.

O ASOCJACJACH

W mowie bywają śmieszne skojarzenia.
Na przykład: ł g a r z z p r a w d z i w e g o zdarzenia.

O CZYSTOŚCI

Ten, co zazwyczaj w b r u d a c h tkwi po szyję,
wciela w czyn słowa: ręka rękę m y j e.

NAGROBEK GRAFOMANA

Twórczości marny plon wzbogacił przez swój zgon:
za życia n i c z y m był — a dziś zeń p r o c h i p y ł.

PIOTR ŚCIEBURA

FRASZKI

PRAWDZIWA CNOTA

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.
Kto za nią stoi?

DYSKUSJA

A to przechera
Rzekło zero do zera.

NA PRZESADNĄ

Była jak anioł
miała nawet skrzydła
Ale mi zbrzydła.

otex

NA WIOSNĘ
– MODNIE, ELEGANCKO
UBIERZE PANIE, PANÓW
I MŁODZIEŻ

ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO
HANDLU ODZIEŻĄ „OTEX"

otex

PROPONUJEMY:

- PŁASZCZE
- KURTKI
- GARNITURY
- TKANINY
- GALANTERIĘ SKÓRZANĄ I ODZIEŻOWĄ

otex

– CIEKAWE KOLORY I FASONY

otex

Zapraszamy do sklepów:

– ul. PIOTRKOWSKA 9, 14, 15, 28, 46, 56, 81, 87, 89, 98, 117, 122, 228.

– ul. OBR. STALINGRADU 24

– ul. JARACZA 1
i do Domu Handlowego „TEOFIL"

otex

958/K

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

DOM STRZELCÓW TARCZOWYCH

Przy urządzaniu osady przemysłowej w Łodzi rząd zapewnił rękodzielnikom osiedlającym się w mieście swobodę założenia przez nich Towarzystwa Strzeleckiego. Powstało ono w 1824 roku. Doroczne strzelanie do tarczy odbywało się w czasie Zielonych Świątek. Przez wiele lat strzelano w prowizorycznych strzelnicach, wreszcie w 1845 roku otwarto stałą strzelnicę w parku miejskim Źródliska. Opisał ją lakonicznie pierwszy historyk Łodzi, Oskar Flatt: „Strzelnica Towarzystwa urządzona jest w oddzielnie na ten cel wzniesionym drewnianym budynku, ozdobionym wewnątrz tarczami i wieńcami, jako trofeami królów".

Strzelanie do tarczy trwało przez dwa dni. Po ukończeniu strzelania tarcze przekazywano sędziom zawodów, którzy po sprawdzeniu wyników strzelania, ogłaszali króla kurkowego. Uroczystość powołania nowego króla strzelców połączona była z balem dla członków Towarzystwa Strzeleckiego i ich rodzin oraz z wielką zabawą ludową na Wodnym Rynku (plac Zwycięstwa).

W 1859 roku strzelcy tarczowi, skupiający w swoich szeregach najzamożniejszych fabrykantów i rzemieślników, wystawili obok strzelnicy długi murowany dom, przeznaczony na siedzibę Towarzystwa Strzeleckiego. Budynek usytuowany został frontem do Wodnego Rynku.

Towarzystwo Strzeleckie działało do 1905 roku, to jest do czasu jego rozwiązania przez władze carskie. Bezpośrednią przyczyną likwidacji Towarzystwa i zamknięcia strzelnicy były wydarzenia rewolucyjne. Budynek wraz z wyposażeniem przejęły władze miejskie.

W 1911 roku „dom strzelecki" przy Wodnym Rynku był przez jakiś czas siedzibą założonej wtedy w Łodzi „Resursy Rzemieślniczej", która urządziła tutaj swój lokal klubowy.

Po pierwszej wojnie światowej w budynku ulokowano wypożyczalnię książek dla dorosłych oraz Miejski Kinematograf Oświatowy. Było to najtańsze kino w Łodzi, do którego bilet wstępu kosztował tylko 10 groszy. Wyświetlano w nim filmy naukowe i rozrywkowe dla młodzieży szkolnej i robotników. Sala kina „Oświatowego" wypożyczana była także na wiece i masówki robotnicze, poprzedzające wystąpienia strajkowe. W budynku dawnego Towarzystwa Strzeleckiego znalazło się również pomieszczenie dla Miejskiego Uniwersytetu Powszechnego. Oprócz szerokiej akcji odczytowej Uniwersytet rozwijał inne formy działalności oświatowej.

W latach trzydziestych zabytkowy „dom strzelców tarczowych" został rozebrany.

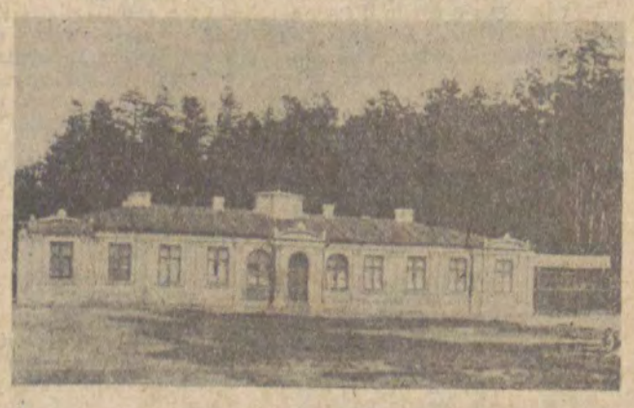

PAŁAC HEINZLÓW W JULIANOWIE

Pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku jeden z najzamożniejszych przemysłowców łódzkich, Juliusz Heinzel, nabył na licytacji folwark Julianów, stanowiący dotąd własność rodu Zawiszów. Około 1890 roku fabrykant ten wystawił na wzniesieniu w starym parku dworskim wspaniały obszerny pałac, widoczny na zamieszczonym zdjęciu. Z tarasu pałacowego szerokie schody wiodły do brzegu stawu, utworzonego przez zamknięcie koryta pobliskiej rzeczki. Pomiędzy pałacem a stawem znajdowała się fontanna. W sąsiedztwie pałacu mieścił się z jednej strony zwierzyniec, z drugiej zaś – ogród owocowy.

Równocześnie z budową siedziby Heinzla nastąpiła przebudowa całego parku. Nestor ogrodnictwa polskiego, Edmund Jankowski, pisał w 1892 roku „W Julianowie nie szczędzono żadnych kosztów, by rzecz wspaniałą stworzyć, tego dowodzą nie tylko kosztowne budowle (schody, fontanny, łazienki itp), ale i wydatki na drzewa. Tak np. chcąc urządzić szybko piękną aleję, sprowadzono z firmy Spaetha z Berlina kilkaset lip, które kosztowały po 50 marek sztuka".

W pałacu julianowskim Heinzlowie zgromadzili cenne zbiory arcydzieł malarstwa i rzeźby, a także kolekcje średniowiecznej broni. Synowie starego Heinzla — Teodor Juliusz i Ludwik — urządzali tutaj wystawne przyjęcia, zimowe kuligi i inne imprezy, odbywające się ściśle według rytuału zapożyczonego z magnackich dworów. Specjalistką w tym względzie była żona Ludwika Heinzla, hrabianka Maria Walewska, wnuczka przyjaciółki Napoleona. Rozrzutność Heinzlów doprowadziła ich z czasem do ruiny materialnej.

Park w Juljanowie pozostawał w rękach Heinzlów do 1938 roku. W tym czasie władze miejskie nabyły go wraz z zabudowaniami od Ryszarda Heinzla za sumę 1200 tys. złotych. Wspaniały pałac przeznaczono na muzeum regionalne.

We wrześniu 1939 roku w pałacu julianowskim kwaterował sztab Armii „Łódź". Niemcy dowiedziawszy się o tym przez swoich szpiegów, zbombardowali pałac z powietrza. W 1942 roku uszkodzony budynek został rozebrany przez okupanta. Po wyzwoleniu w 1948 roku usunięto wysoki mur okalający park, a w rok później ładna, zabytkowa brama znajdująca się od strony ul. Zgierskiej uległa rozbiórce.

WACŁAW PAWLAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 504, R-2. Nr indeksu 26762.